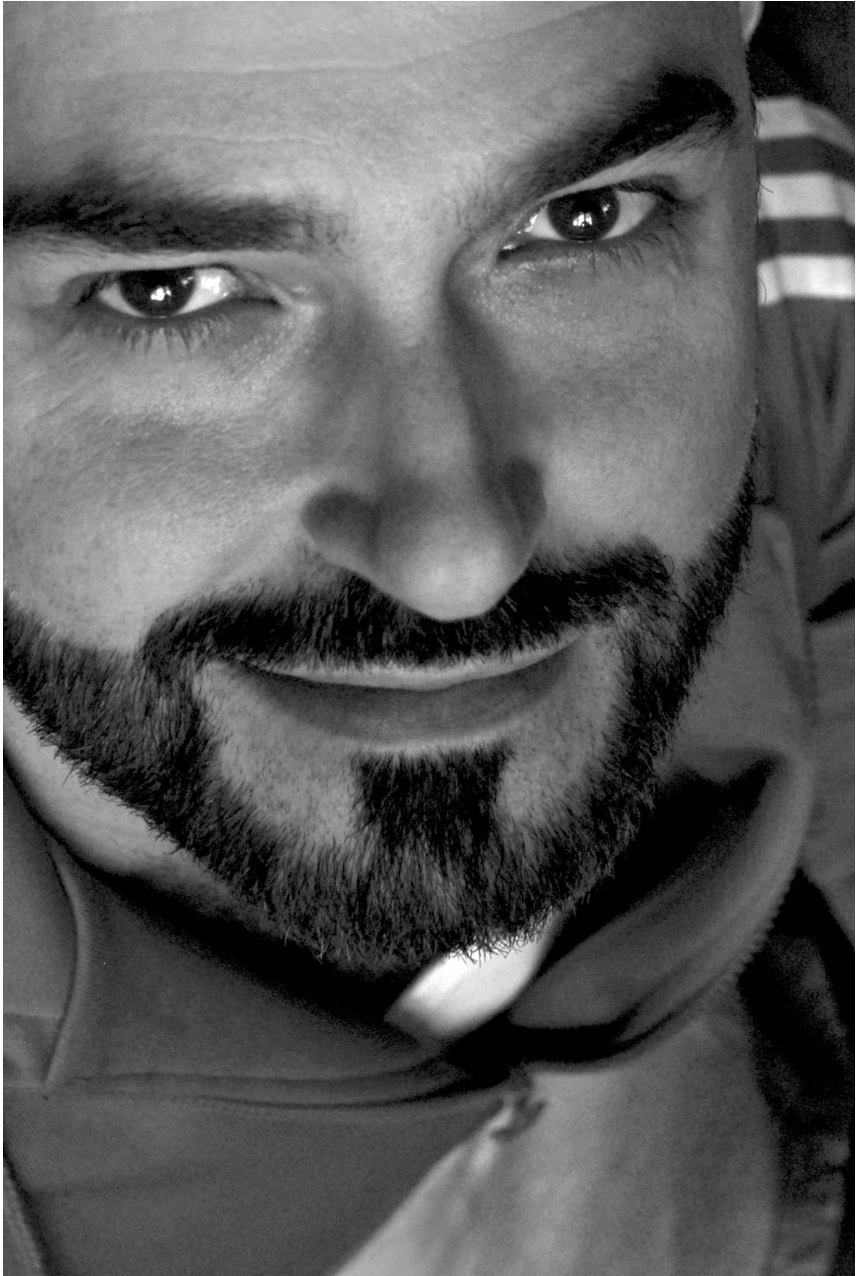


marcin szczygielski

# BŁĘK



**BEREK**



## Marcin Szczygielski

Pisarz, dziennikarz i grafik. Debiutował bestsellerową powieścią *PL-BOY*, potem ukazały się: *Wiosna PL-BOYA*, *Nasturcje i ćwoki*, *Farfole namiętności*.

2007 r. otworzył nowy rozdział w twórczości Szczygielskiego – ukazał się *Berek*, historia geja i przedstawicielki moherowych beretów, których pozornie nie łączy nic poza wzajemną nienawiścią. Książka szybko stała się bestsellerem, a autorska adaptacja teatralna wyreżyserowana przez Andrzeja Rozhina z Ewą Kasprzyk i Pawłem Małaszyńskim w rolach głównych od kilku lat przyciąga tłumy widzów do warszawskiego teatru Kwadrat. W lutym 2010 r. w warszawskim teatrze Komedia Tomasz Dutkiewicz wyreżyserował kolejną sztukę pisarza – *Wydmuszkę* – z Anną Guzik i Joanną Liszowską w obsadzie. Jesienią 2011 r. w tym samym teatrze odbędzie się premiera sztuki Szczygielskiego „*Furie*” z Teresą Lipowską w roli głównej.

Wiosną 2010 r. ukazały się *Bierki*, kolejna część cyklu *Kroniki nierówności*, zapoczątkowanego przez *Berka*. Również ta powieść trafiła na listy bestsellerów, a w rankingach portali gejowskich została uznana za książkę roku.

Odrębnym rozdziałem literackiej aktywności Szczygielskiego są książki dla dzieci i młodzieży. Pierwszą z nich była *Omega* – powieść o przygodach dwunastoletniej fanki gier komputerowych, dla której rzeczywistość w niebezpieczny sposób zaczyna mieszać się ze światem wirtualnym. Książka, zilustrowana przez Bartka Arobała, w 2010 r. trafiła na Listę Skarbów Muzeum Literatury Dziecięcej i została wyróżniona w konkursie im. Hanny Skrobiszewskiej oraz w konkursie Najpiękniejsze Książki Roku organizowanym przez Polskie Towarzystwo Wydawców Książek. Rok później otrzymała nagrodę „Książka Roku 2010” Polskiej Sekcji IBBY.

Kolejną powieść dla młodzieży, *Czarny Młyn*, opowiadającą o dzieciach z popegerowskiej wioski, które muszą zmierzyć się z bezosobowym złem czyhającym w ruinach pobliskiego kombinatu, Marcin Szczygielski napisał na Konkurs Literacki im. Astrid Lindgren organizowany w ramach akcji Cała Polska Czyta Dzieciom. Jury uznało *Czarny Młyn* za najlepszą spośród wszystkich 580 nadesłanych prac, przyznając mu Grand Prix i statuetkę Pippi Langstrump, a także I nagrodę w kategorii powieści dla dzieci w wieku od dziesięciu do czternastu lat.

Trzecią książką autora skierowaną do młodszych nastolatków jest powieść „*Za niebieskimi drzwiami*”, która wiosną 2011 roku została nominowana – zarówno przez jury dziecięce, jak i profesjonalne – do Nagrody DONGA, kontynuatorki wieloletniej tradycji konkursu „Dziecięcy Bestseller Rou”.

Książki tego autora:

- **PL-BOY** (2003)
- **Wiosna PL-BOYa** (2004)
- **Kuchnia na ciężkie czasy** (2004)
- **Nasturcje i ćwoki** (2005)
- **Farfocle namiętności** (2006)
  - **Berek** (2007)
- **Berek+** (III wydanie powieści poszerzone o tekst sztuki teatralnej  
*Berek, czyli upiór w moherze*, 2008)
  - **Omega** (2009)
- **Les Farfocles** (II wydanie *Nasturcji i ćwoków* oraz *Farfocli namiętności*  
– dwie powieści w jednym tomie, 2009)
  - **PL-BOY<sup>2</sup>** (II wydanie *PL-BOYa* oraz *Wiosny PL-BOYa*  
– dwie powieści w jednym tomie, 2009)
    - **Bierki** (2010)
  - **Za niebieskimi drzwiami** (2010)
  - **Czarny Młyn** (2011)

Sztuki teatralne:

- **Berek, czyli upiór w moherze** (2008)
  - **Wydmuszka** (2009)
  - **Furie** (2010)
- **Lody** musical (muz. Marcin Nierubiec) (2011)



---

marcin szczygielski

**KRONIKI NIERÓWNOŚCI VOL. I**

# BEREK



**Z PRZEDMOWĄ**  
tomasza raczka

---

w a r s z a w a 2 0 1 1

Projekt okładki, stron tytułowych i ilustracje  
Marcin Szczygielski

Redakcja  
Anna Nastulanka

© Copyright by Marcin Szczygielski, 2007  
© Copyright by Oficyna Wydawnicza AS, 2011  
© Copyright by Instytut Wydawniczy Latarnik, 2011  
Zdjęcie autora © Oficyna Wydawnicza AS



Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. S.K.A.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 30 00/11, fax 22 721 30 01  
zamówienia internetowe: 22 721 70 07 lub 09  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)  
[www.oramus.pl](http://www.oramus.pl)

Projekt typograficzny i skład komputerowy  
Oficyna Wydawnicza AS

ISBN 978-83-60000-74-8

INSTYTUT WYDAWNICZY LATARNIK  
IM. ZYGMUNTA KAŁUŻYŃSKIEGO  
Warszawa, ul. Cypryjska 89  
tel./fax 22 614 28 34  
e-mail: [latarnik@latarnik.com.pl](mailto:latarnik@latarnik.com.pl)  
[sklep@latarnik.com.pl](mailto:sklep@latarnik.com.pl)

Marketing i promocja: Bartosz Dworzyński  
e-mail: [dworzynski@latarnik.com.pl](mailto:dworzynski@latarnik.com.pl)

Zapraszamy do księgarni internetowej  
**[www.latarnik.com.pl](http://www.latarnik.com.pl)**  
oraz na nasz profil na portalu Facebook  
**[www.facebook.com/iwlatarnik](https://www.facebook.com/iwlatarnik)**

Warszawa 2011  
Wydanie V poprawione

# P

## Przedmowa

Ilekcioć pada słowo gej, podświadomość przełącza rozmowanie na taryfę specjalną. Przed oczy natychmiast pchają się obrazy przebierańców z gejowskich parad: przerysowane, groteskowe postacie u jednych budzące śmiech, u innych obrzydzenie; zwykle jednak trudne do wyobrażenia w zwyczajnym życiu.

Utrwalił się więc schemat: geje są inni, czyli obcy, niezrozumiali, nieprzewidywalni, mogą zagrozić poukładanemu w głowach światu. Przez nich podział na dobro i zło traci biblijny kontrast, a politycy mają nieustanny kłopot. Jedni najchętniej pozbyliby się tego bólu głowy i zesłali wszystkich gejóv gdzieś daleko — najlepiej na Madagaskar, byleby tylko nie musieć ich oglądać i nie mieć z nimi do czynienia. Inni na odwrót — oferują gejom wyciągniętą rękę i swoją tolerancję. Owszem jesteście inni — mówią — ale my jesteśmy tolerancyjni i pozwalamy wam być takimi, jakimi jesteście, mimo że odbiegacie od normy.



Zapamiętajcie te dwa groźne dla polskiego geja słowa: Madagaskar i tolerancja. Odrzucenie i fałszywa życzliwość. Z jednej strony przekonanie, że tylko jeden model życia jest prawidłowy, prowadzące do stawiania się w pozycji sędziego, z drugiej – protekcyjne poklepywanie sprowadzające gejów do roli antropologicznej ciekawostki. W obu wypadkach traktuje się ich jako dziwną grupę odmienców naruszających ogólnie przyjęte standardy, tyle że pierwsi na to się nie zgadzają, a ci drudzy dają przyzwolenie.

Ale jest jeszcze trzeci, znacznie uczciwszy sposób odnośnienia się do gejów: traktowanie ich jako oczywistości – biologicznej, społecznej i kulturowej, mającej naturalne prawo do istnienia.

Pragnienie bycia sobą jest wśród gejów coraz większe. Procesu ich społecznej emancypacji już nic nie powstrzyma. Coraz rzadziej będą się wśród nich zdarzały małżeństwa zawierane pod naciskiem rodziny, żyjące potem w nieszczęściu, a czasem w prawdziwych torturach. Zygmunt Kałużyński powiedział kiedyś: *Uważam, że przyznanie się do faktu bycia homoseksualistą, nie tylko wobec samego siebie, ale także wobec otoczenia, daje wolność. Wtedy nie trzeba udawać, błagować, wykręcać się i kłamać.*

Wolność to pojęcie dla geja najważniejsze, będące kwintesencją istoty jego losu. Wolność bywa jednak i piękna, i niebezpieczna; niesie ze sobą wiele zagrożeń, które – bywa – doprowadzają do jej utraty. Niestety, rozumieją to tylko nieliczni.

Gdy w 1975 roku na plaży w Ostii znaleziono ciało zamordowanego reżysera-geja Piera Paola Pasoliniego, Oriana Fallaci opublikowała głośny List do niego: *Miałeś potrzebę absolutu, ty, który opętałeś nas słowem humanizm. Mogłeś ugasić swą udrękę i zaspokoić swe pragnienie wolności, tylko*

*znajdując taki koniec: z roztrzaskaną głową i rozszarpanym ciałem. To nieprawda, że nienawidziłeś przemocy. Potępiłeś ją przez rozum, lecz duszą ją wzywałeś, bo to był jedyny sposób, żeby tego spalającego cię demona obłaskawić i ukarać. To nieprawda, że przeklinałeś ból. Przeciwnie, służył ci on jako lancet do usuwania anioła, który był w tobie. Pisząc, znieważałeś, raniłeś tak głęboko, aż pękało serce.*

Żeby zrozumieć gejów — i tych zwyczajnych, codziennych, i tych, którzy stają się wielkimi pisarzami, reżyserami, aktorami, poetami — trzeba przyjąć, że mają oni swój własny świat: ani gorszy, ani lepszy od świata większości, ale — rzekłbym — równoległy. Jego potoczność różni się od doświadczenia tych, którzy go nie znają, ale przecież jest tak samo ważna jak świat każdego innego człowieka. Niewymagająca niczyjej zgody ani przyzwolenia na swoje istnienie.

Powieść Marcina Szczygielskiego *Berek* reprezentuje taki właśnie sposób myślenia: nie epatuje środowiskową odmiennością ani nie próbuje na siłę szukać dla niej usprawiedliwienia. Pisana jest z pozycji człowieka pewnego swojej tożsamości i umiającego walczyć o siebie. Ton łagodnej obietnicy szczęścia, jaki się w niej pojawia, jest dla mnie powodem do osobistej radości. Wszak od piętnastu prawie lat jestem życiowym partnerem Autora.

**Tomasz Raczek**



**Tomkowi**



**Marchewkowe pole rośnie wokół mnie  
W marchewkowym polu jak warzywo tkwię  
Głową na dół zakopany niczym struś  
Chcesz mnie spotkać – głowę obok w ziemię wpuść**

**Marchewkowe o ogrodzie miewam sny  
W marchewkowym stanie jest najlepiej mi  
Rosnę sobie – dołem głowa, górą nąć  
– Kto mi powie: co się jeszcze może stać?**

Lady Pank,  
piosenka do filmu animowanego  
O dwóch takich, co ukradli księżyc

**Miasto zamyka się nad moją głową  
Czy jestem Nim? Czy jestem sobą?**



# K

## Koniec kwietnia

I

– Patrz! – Michał przekrzykuje muzykę i szturcha mnie w bok, wskazując jednego z czterech gostków, którzy mijają nas w korytarzu. Chłopak ma na oko dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Dokładnie mój typ. Krótko obcięte, czarne włosy, nieogolony, lekko napakowany, z zamglonym, ciętym spojrzeniem. Seksowny i niegroźny. Czuję mrowienie w podbrzuszu.

– Mój! – odkrzykuję.

Michał powątpiewająco podnosi brew:

– Zobaczymy, Pawełku... Kto pierwszy, ten lepszy.

Wyciągam szyję, żeby zobaczyć, dokąd pójdzie chłopak. Zmierza w kierunku wucetów i darkroomu.

– Chodź – pociągam Michała za ramię.

Odklejamy się od ściany i idziemy w kierunku toalet. Przepychamy się przez stadko małych rzucających tęskne spojrzenia w stronę wejścia do darkroomu i wchodzimy



do kibla. Zamykamy się w jednej z kabin i wciągamy po kresce. Jezu słodki, jest po prostu zajebiste! Czuję się zwinny i szybki jak Aeon Flux; nieomylny i celny jak Violet; męski jak Blade Runner i niepowstrzymany jak Hulk — zabójcza mieszanka.

Zostawiam Michała w kabinie, wychodzę z kibla i zanurzam się w wilgotny, pachnący męskimi ciałami mrok. Wniebowstąpienie. Czekam przez chwilę, żeby mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności, odtrącam czyjąś dłoń, która zaczyna gmerać mi przy rozporku. Wchodzę głębiej, przeciskam się przez gąszcz nagich torsów i rąk. W słabym świetle czerwonej żarówki wypatruję mojego objawienia. Robię jedno, potem dwa kółka i wreszcie go dostrzegam. Zajął miejscówkę w kącie pomieszczenia, tuż obok wejścia — musiałem go minąć. Zdjął T-shirt, spodnie ma lekko rozpięte i opuszczone, widać slipki i ciemną linię gęstych włosów łonowych. Stoi sam, ma uniesioną twarz, półprzymknięte oczy i biernie opuszczone, luźne ręce. Staję przed nim, blisko. Spogląda na mnie przez chwilę, potem zamyka oczy i odchyła się do tyłu. Wzdycha, gdy jego nagie plecy dotykają zimnego tynku. Uśmiecham się i klękam przed nim. Lekko całuję nagi fragment skóry pod pępkiem, dłonią leciutko zaczynam masować jego krocze. Wolno rozpinam suwak rozporka i odchyłam gumkę slippek. Przymykam oczy, przytulam twarz do jego podbrzusza i wciągam zapach. Niebiański zapach. Zapach młodego, gorącego, spoczonego faceta. Faceta, który prawdopodobnie ostatni przysznic brał rankiem. Przeszywa mnie dreszcz rozkoszy, pojękuję cichutko i zabieram się do roboty. Twarde kafle gresu boleśnie uciskają moje kolana, zastanawiam się, czy nie kucnąć, ale mimo wszystko tak jest lepiej. Lepszy dostęp. Lewą ręką trzymam odcignięte slipki, prawą leciutko ściskam jego

jajka i obciążam na całego. Aż do końca. Za każdym powrotem nos zagłębia mi się ciemnych, poskręcanych, błyszczących włosach. Czuję go daleko za migdałkami. Po dwóch czy trzech minutach jądra chłopaka ściskają się, można twarde. Łapie mnie za głowę i usiłuje odepchnąć. O nie, kochany — uśmiecham się w duchu. Nie pozwalam się odsunąć. Lekko przytrzymuję zębami jego kutasa tuż za żołądździą, a potem wciągam głęboko. Chłopak wypina biodra do przodu, potem je cofa i tryska przy wtórze głośnego jęku. Trzy wielkie porcje spermy lądują mi w samym gardle. Kręci mi się w głowie, fala szczęścia zalewa mnie jak przyływ. Połykam go i setki tysięcy potencjalnych ludzkich istnień. Wysysam ostatnią kroplę. Euforia. Dla takich chwil jak ta warto żyć.

## II

— Ania, patrz! — Janka szepcze mi do ucha. — Ta spod piętnastki znowu była w lumpeksie.

Spoglądam na utlenioną kobietę stojącą dwa rzędy przed nami. Wredne babsko ma na sobie turkusową jesionkę. Całkiem ładny płaszcz, chociaż ja nigdy nie założyłabym czegoś w takim kolorze. Stara robi się na liceum.

— Rękawy za krótkie — odszeptuję.

— Chodź, idziemy — mówi Janka półgłosem, szturchając mnie w bok.

Źle stanęłam, ma bliżej do przejścia. Znowu będzie pierwsza, przecież nie będę się z nią ścigała. Janka wtyka torebkę pod pachę i rusza w kierunku ołtarza. Na pewno zjadłam całą szminkę, cholera. Nie zdążyłam sprawdzić w lusterku, kazanie było takie zajmujące. Janka przepycha się między ławkami, roztrąca inne kobiety. Krowa. I jak grubo wygląda z tyłu. Ksiądz Marek spogląda prosto na mnie i uśmiecha się, kiwając głową. Boże, jaki to piękny mężczyzna. Krótko

obcięte, czarne włosy, śniady, białe zęby. Że też tacy piękni mężczyźni chodzą po tej ziemi. Uśmiecham się szeroko do niego i klękam na twardej, zimnej posadzce. Wciągam zapach kadzidła i kwiatów, przytłumiony nieco przez zapach perfum i wilgotnych płaszczy. Majtki wpijają mi się w pupę, ale nie mogę ich poprawić — czuję dziesiątki oczu na swoich plecach. Janka klęczy obok. Jeżeli wstanie sama, to będzie cud boski, moim zdaniem. Jest tłusta jak wieloryb. Boże jedyny, jak pięknie to wszystko wygląda. Ołtarz umajony kwiatami, biała koronkowa serweta. Matka Boska spogląda na mnie z obrazu swoimi mądrymi oczami. Czuję lekki dreszcz szczęścia, zupełnie jakbym już prawie w niebie była. Ksiądz Marek zbliża się do mnie. Spoglądam w górę, na jego silną szczękę, śniade policzki. Potem mój wzrok schodzi w dół, przesuwa się po czarnej sutannie i zatrzymuje na czarnych pantoflach. Duże stopy. Wzdycham, podnoszę twarz i spoglądam mu prosto w oczy. Uśmiecha się dobrotliwie, a ja szeroko otwieram usta. Kiedy kładzie białą hostię na moim języku, jego kciuk przez ułamek sekundy dotyka mojej wargi. Czuję ciepło, a żołądek kurczy się i na moment zwija w kulkę. Nad prawym ramieniem księdza Marka wisi nagi, cierpiący Jezus na krzyżu. Widzę jego szeroko rozpostarte ramiona, białą szatę na biodrach, jasną skórę podbrzusza, krople krwi. Pod beretem robi mi się cholernie gorąco, głowa mnie swędzi. Zamykam oczy i połykam Go. Zbawienie. Zalewa mnie fala szczęścia, uda drżą lekko. Dobry Boże, dziękuję Ci. Dziękuję takim chwilom wiem, po co żyję.

### III

Chłopak ma na imię Łukasz. Fryzjer. No, nie powiem, żeby to był szczyt szczęścia — nie wiem, czy chciałbym mieć faceta fryzjera. Ale generalnie robi wrażenie całkiem fajnego

gościa i jest taki słodki. Częstouję go trawką w kiblu, zaciąga się nieporadnie. Michał zmył się do domu z jakimś szczyłem ponad godzinę temu.

— Słuchaj, już po ósmej! — wykrzykuje, ze zdumieniem spoglądając na zegarek. — Chyba będziemy się zbierali, nie?

— No — mówi.

— Chcesz iść do mnie?

— A gdzie mieszkasz?

— Na Rakowieckiej, rzut beretem.

— Sam?

— Sam.

— Dobra — wzrusza ramionami.

Wychodzimy z Toro. Jest jasny dzień, całkiem dużo ludzi na ulicy, choć to niedziela. Nie lubię wracać z imprezy o tej porze, dla mnie wciąż jest wczoraj. Pochmurne, stalowe niebo, ale jak na kwiecień jest dość ciepło. Mijamy plac Unii Lubelskiej i Silver Screen. Łukasz nic nie mówi. Przyglądam mu się kątem oka. W pełnym świetle wygląda równie dobrze jak w półmroku klubu. Powiedział, że ma dwadzieścia pięć lat, raptem cztery lata mniej ode mnie, ale czuję się przy nim staro. Jestem pewny, że mam czarne wory pod oczami. Potrzebuję prysznic. I snu, chociaż nie wiem, czy uda mi się usnąć po tylu kreskach. Naciągam głębiej czapkę z daszkiem. Docieramy na moje podwórko. Spoglądam w górę na swoje okno, wszystko w porządku. Okno po drugiej stronie klatki schodowej odslonięte. Pewnie ten kurwizjon już poleciał do kościoła. Pieprzona katoholiczka. W całej kamienicy niemal wszystkie mieszkania są wynajmowane na biura, w jednym ma gabinet dentysta. Drugie zajęte mieszkanie jest na moim piętrze i pech nad pechami, że zamiast jakiegoś miłego chłopaczyny mieszka tam ten rozwrzeszczany moher.

– Uwważaj! Gównu – ostrzega mnie Łukasz, przeskakując przez kupę leżącą na chodniku.

Daję duży krok i zatrzymuję się przed drzwiami klatki schodowej.

– Poczekaj, mam pomysł! – mówię, chichocząc.

Przeszukuję kieszenie, szukając jakiegoś kawałka papieru. Mam! Ulotka reklamowa. Trzymałem ją w kieszeni spodni na tyłku, jest nieco wilgotna, ale będzie OK. Przykłam na chodniku i starannie zbieram psią kupę. Staram się jej nie rozmazać, żeby zachowała kształt.

– Pojebało cię? – pyta Łukasz.

– Ale jaja! Zobaczysz! – obiecuję, zaśmiewając się prawie do łez.

Otwieram drzwi na klatkę jedną ręką, w drugiej, wyciągniętej daleko przed siebie, trzymam leżące na kartoniku gówno. Prowadzę chłopaka na moje pierwsze piętro i przystaję przed wejściem do mieszkania tej suki. Kładę palec na ustach i cichutko przykładam ucho do drzwi. Cisza. Na pewno jej nie ma. Założę się, że właśnie się czolga przez nawę kościoła na kolanach albo leży gdzieś tam krzyżem z wypiętym dupskiem. Pochylam się i delikatnie strząsam psią kupę na tandetną, wściekle kolorową wycieraczkę moherówki. Wydaje mi się to niesłychanie zabawne. Łukasz przygląda mi się dziwnie.

– Tu straszna kurwa mieszka, należy jej się – tłumaczę.

– Żebyś ty wiedział...

W tym momencie patrzę na moje drzwi i słowa zamierają mi na ustach. Przez prawie całą ich szerokość biegną wypisane czarnym grubym markerem słowa PEDAŁ ŻYD. Stają jak wryty. Łukasz zaczyna chichotać

– Lubią cię tu – mówi i dodaje, śmiejąc się: – Zostałeś zdemaskowany.

Mam ochotę mu powiedzieć, żeby się zamknął. To są nowe drzwi gerdy, laminat w kolorze buku. W życiu nie zdołam doczyścić tego napisu! Będę je chyba musiał pomalować. Cholera, zupełnie nowe drzwi, prawie dwa i pół tysiąca złotych.

— Żebyś ty zdechła — cedzę przez zęby.

#### IV

— Piękna msza — wzdycha Janka, kiedy wychodzimy z kościoła. — Przepiękna. Dzięki ci, Panie Boże, że nam dałeś takiego księdza.

— Oj, tak, tak. Cudowny człowiek — odpowiadam słabym głosem.

Kolana jeszcze lekko mi drżą. Zapinam płaszcz i poprawiam beret.

— Co ty taka czerwona jesteś? — pyta Janka. — Słabo ci?

— Czerwona? Ja? Coś ci się zdaje — wzruszam ramionami i pytam szybko: — Dzieciaki przychodzą dziś na obiad?

Jakby mnie to cokolwiek obchodziło. Ona i jej dzieciaki. Banda wykolejeńców, moim zdaniem. Ten jej Antek to wyjątkowa dupa wołowa. Marnie skończy. A ta mała bździażwa, którą sobie wziął! Chryste Panie, miej litość. Raz ją widziałam i w zupełności wystarczy. Nadęta, wymalowana cwaniara. Kolczyki miała do łokci, zupełnie jak dwie spłuczki do sedesu. Złapała go na ciężę, już ja znam takie jak ona. To coś, co nazywała spódnica, ledwie jej cipę zasłaniało. Nie to co moja Małgosia. Małgosia nigdy by w czymś takim nie wyszła z domu.

— Nie — wzdycha Janka. — Antoś pracuje, mają teraz jakiś bilans czy coś. W firmie. Znaczą się, podliczają cały rok. Wiesz, bez niego to nic tam nie zrobią. Jest starszym kordynatorem produktu w Orange.

Wiedziała! Wiedziała, że to powie. Słyszałam już pięć milionów razy, czym jest ten jej garbaty owsik. Koordynator produktu! I co to niby znaczy? Zawracanie dupy kijem, jakby mnie kto pytał.

— A Joasia? — pytam.

— Joasia — Jance z miejsca rzednie mina. — Joasia wyjechała. Z Jasiem.

— Wyjechała? Dokąd?

— Na wczasy.

— Na wczasy? W kwietniu? Wiesz, no, dziwię się... Nieźle im się powodzi, skoro ona na wczasy w kwietniu wyjeżdża. Latem pewnie też pojedzie?

— Nie wiem.

— A kiedy wraca?

— Eee... Niedługo.

— Niedługo? Jak to? Nie wiesz, kiedy wraca? — pytam z zapartym tchem.

Ha! Puściła go w trąbę! Jak nic! Dzięki ci, Panie Boże, jest jakaś sprawiedliwość na świecie. Muszę zadzwonić do Ninki, jak tylko wrócę.

— Nie wiem dokładnie. Nie pytałam.

Akurat! Nie pytała! I już w to wierzę. Mała, cwana bździągwa wycykała, co było do wycykania, i zwinęła żagle. Wiedziała, że tak będzie! Zresztą co jej się dziwić. Ten Antek to cielę, a nie chłop.

— Ojej... — mówię, robiąc na pokaz zmartwioną minę.

— Coś mi się zdaje...

— Niech ci się nie zdaje! — błyskawicznie przerywa Janka. — Wszystko dobrze. Joasia była zmęczona i musiała pojechać odpocząć, do mamy.

— Do matki? Wyjechała do matki? A mówiłaś chyba, że na wczasy...

– Wczasy srasy! Ona jest ze Świnoujścia! Tam cały czas są wczasy. To nad morzem.

– Przynajmniej tanio ją to wyniesie, jak do matki pojechała – mówię pojednawczo.

Janka zaciska usta w wąską kreskę. Ninka trupem padnie, jak jej wszystko opowiem.

– A jak Małgosia? – pyta, kiedy skręcamy w Rakowiecką.

– Świetnie – mówię z satysfakcją.

– W pracy dobrze?

– Dobrze.

– Klienci są?

– Są.

– Bo, wiesz, teraz ludzie to ubrania głównie w lumpeksach kupują. Jak kto ma wydać sto złotych na kurtkę w normalnym sklepie albo dziesięć złotych w lumpeksie, raczej pójdzie do lumpeksu. Ludzie się teraz tacy chytry zrobili.

– U Małgosi dobrze.

– Ach tak – mówi Janka. I dodaje po namyśle: – Ale w końcu, jak przestaną kupować, to straci pracę. I nie wiadomo, co będzie.

Już ja wiem, co będzie. Jej Antek weźmie rozwód, tyle będzie. Ale wstyd!

– A za męż się nie wybiera?

– Kto?

– Małgosia.

Żeby cię pokręciło, wścibska krowo.

– Na razie nic nie mówi.

– No bo to wiesz, jakby późno się robi. Trzydziestkę już ma.

– Ma. No i co?

– Szanse małe.

– Na co małe?

– Na ślub. I dzieci.



– Teraz wszystkie później wychodzą za męż. I dzieci później rodzą. Medycyna idzie do przodu.

To jej skutecznie zamyka gębę. Docieramy na nasze podwórko.

– Wejdiesz na kawkę? – pytam dla przyzwoitości. Najchętniej już bym zadzwoniła do Ninki. Poskręca ją, jak się o wszystkim dowie. Nie mogę się doczekać.

– A wiesz, że chętnie.

– Tak?

Czy ona swojej kawy w domu nie ma, czy co? Zawsze taka była – wszystko na krzywy ryj. Wyciągam klucze z torebki i mówię:

– Jak miło.

Spoglądam w górę na swoje okno. Wszystko w porządku. Zerkam na okno po drugiej stronie klatki schodowej. Żaluzje oczywiście zaciągnięte. Zboczeniec już wrócił. Całą noc pewnie się gdzieś gził z takimi samymi jak on. No bo co innego tacy robią? Wąchają sobie tyłki albo coś w tym stylu. Że też nikt z tym nie zrobi porządku. Dlaczego, pytam ja się kogo, jedyny sąsiad, jaki mi został w tej kamienicy, to zboczony pedał? I żyd, jak nic. Otwieram drzwi na klatkę schodową i prowadzę Jankę na moje pierwsze piętro.

– No a jak z tym dewiantem? – pyta, gdy docieramy do podestu.

– Szkoda słów – odpowiadam.

– Oj, masz z tym krzyż pański, masz. Nie wiem, co ja bym zrobiła, gdyby mi coś takiego za ścianą mieszkało.

– Co byś zrobiła? Nic byś nie zrobiła! – ściągam usta.

– Z dozorcą rozmawiałam. I w administracji. A policję dwa razy już wzywałam. I nic. A ja wszystko słyszę!

– Co słyszysz?

– Co on tam robi. Z innymi.

– O Jezusie! Co robi?  
 – Świństwa. Mordy drą tak, że aż się niedobrze robi.  
 – O matko przenajświętsza! Ale co dokładniej?  
 – Lepiej nie wiedzieć – mówię ściszym głosem. – Ale te odgłosy...

– Tfu! Święci pańscy! – Janka przystaje w połowie schodów. Jest całkiem purpurowa. Jak nie schudnie, marnie to widzę. – A jakie te odgłosy?

– Takie, mówię ci, za... – przerywam, bo docieramy już pod moje drzwi. Coś jest na wycieraczce. – A co to mi tu leży? Co to jest? Kamyki jakieś, czy co? Skąd to się tutaj...

Pochyliłam się nad wycieraczką. Jest prześliczna. Widać na niej mały domek za zielonym płotkiem. Na górze świeci słońko, a na dole jest duży napis „Welcome”. Kupiłam ją w Tesco dwa tygodnie temu. Za dziewiętnaście dziewięćdziesiąt. A to, co na niej leży, to nie są kamyki.

– O Boże! – wykrzykuje Janka. – To gówno! Ktoś ci narobił na wycieraczkę! Ani chybi pies.

– Rany boskie! Ale skąd to? Przecież w tym domu żadnych zwierząt nie ma.

– Kot jakiś pewnie wlaźł. Przez piwnicę. Niedobrze mi! – oznajmia Janka.

– Nowa wycieraczka! I co ja zrobię? Ale jak kot... – odwracam się na pięcie i spoglądam na drzwi do mieszkania tego pedała. – Żaden kot! To jego sprawka!

– Jego? O Boże! Nasrał ci na wycieraczkę! Nasrał! Do czego to dochodzi! Zwymiotuję chyba.

– Ja z tym zrobię porządek – syczę przez zaciśnięte zęby. – Żeby człowieka we własnej kamienicy takie coś spotykało. Gówno na progu mi zrobił! Ale smród!

– Och, och... – wykrzykuje Janka, przyciskając dłoń do tych swoich olbrzymich cycków. – Słabo mi.

– Przestań – mówię twardo. – Co ty, gówna nie widziałas?

– No... No wiesz! – Janka przygląda mi się szeroko otwartymi oczami. Przynajmniej przestaje jęczeć. – To ja tu z dobroci serca tak, a ty...

– Bierz z tamtej strony – pochylam się nad wycieraczką i łapię ją za dwa rogi.

– Co chcesz zrobić? – Janka pochyla się z niemałym trudem. – Trzeba by odmoczyć chyba...

– Dobra, trzymaj. I chodź – kiwam głową w stronę drzwi po drugiej stronie podestu. Stajemy pośrodku korytarza. Zaczynam kołysać wycieraczką. – I raz! I dwa! I trzy!

Na trzy zrzucamy gówno. Leci małym łuczkiem, uderza w drzwi i z pacnięciem spada na wycieraczkę Sieniawskiego. Janka zaczyna chichotać.

– Ty to jesteś! – mówi z uznaniem. – Ale się zdziwi.

– Mam nadzieję, że w to wdepnie – mówię mściwie. – Za moją krzywdę.

– Ha – Janka klaszcze w tłuste dłonie. – A co to tu namazane?

– Nie wiem. Chodź, idziemy na tę kawę.

– Ale ktoś mu coś namazał.

– Różni tu tacy przychodzą, pewnie który namazał. Nic mi do tego. Chodź.

Jasne, że namazane. Sama namazałam. Zresztą jego własnym pisakiem, który znalazłam na schodach. Pewnie go zgubił. Bardzo porządny pisak, gruby. Wygląda na zagraniczny. Pół nocy przez tego śmiecia nie mogłam zasnąć. Muzyka waliła tak, że aż mi szklanki na półkach dzwoniły. Wylazł grubo po północy i jak tylko usłyszałam, że drzwi trzasnęły, wyszłam w podomce i napisałam, co napisałam. Rano nawet żałowałam trochę, ale już nie żałuję. Chce wojny, będzie wojna.

## V

Krzyki na klatce schodowej słyszę dokładnie w chwili, kiedy wychodzę z łazienki po prysznicu. Oglądam się w dużym lustrze wiszącym w przedpokoju i nasłuchuję przez chwilę z błogim uśmiechem. Jojczenie i ochy tej starej krowy brzmią jak najpiękniejsza muzyka. Niebiański chór. Odwijam ręcznik i rzucam go na podłogę. Nie jest źle, chociaż przydałoby się trochę siłowni. Napinam mięśnie.

– No idziesz? – woła Łukasz z sypialni.

Uśmiecham się do siebie w lustrze. Pewnie, że idę.

Łukasz leży nagi na kołdrze, odwrócony na brzuch, z nogami na poduszce. Przygląda mi się z lekkim uśmiechem.

– Fajny jesteś – mówi.

Od razu zaczyna mi stawać. Komplementy zawsze tak na mnie działają. Lepiej niż viagra. Wystarczy, że facet powie mi coś miłego, i od razu mam pełne spodnie. Moja psychoanalizycka twierdzi, że to zaburzenie poczucia własnej wartości. Potrzebuję aprobaty. Mój ojciec mi jej nie okazywał, kiedy byłem mały, i teraz to nadrabiam – tak mówi, mniej więcej. Ale ja myślę, że to po prostu cholernie miłe, kiedy facet mi słodzi. Skoro mi mówi coś takiego, znaczy, że mu się podobam, że mnie lubi. Że mnie chce.

Powoli podchodzę do Łukasza. Odwraca się na plecy i wyciąga do mnie ręce. Pochylam się nad nim, całuję. Pociąga mnie na siebie. Kotłujemy się przez kilka minut. W pewnej chwili przewracam się na plecy i opieram mu stopy na ramionach.

– Chodź – mówię.

– Masz gumki? – pyta szeptem.

Sięgam do szuflady nocnej szafki i wydaję tubkę lubrykantu. Sięgam głębiej po prezerwatywy, ale w opakowaniu nie ma już ani jednej.

– Nie mam – odszeptuję. – A ty?

– Nie mam. No, nie wiem...

– Będzie dobrze... Proszę.

Łukasz prostuje się, opiera sobie moje stopy na ramionach i wyciska żel na dłoń. Puszczą do mnie oko i mówi:

– OK. Skoro tak ładnie prosisz...

Wciągając powietrze, kiedy zaczyna napierać, rozluźniam się i wpuszczam go w siebie. Dobrze, że zrobiłem sobie lewatywę przed prysznicem. Boli przez chwilę, ma sporego kutasa. Kiedy wchodzi do końca, przytrzymuję go przez moment i staram się opanować skurcz zwieracza. Po pierwszych kilku ruchach ból mija i zmienia się w przyjemność.

– Ooooooch... – wzdycham. Ujmuję jego twarz w ręce i patrzę prosto w oczy, kiedy zagłębia się we mnie raz za razem. Przy którymś pchnięciu szepczę: – Chyba... Myślę... Czuję, że cię kocham.

– Nie w tej scenie – mówi Łukasz. – Szerzej nogi.

## VI

– Po prostu kocham czekoladę – wzdycha Janka, oblizując upačkane palce.

Jakbym się nie zdążyła zorientować – zeżarła już trzy kawałki murzynka, którego wczoraj upiekłam dla Małgosi. Ale Małgosia i tak pewnie nie przyjdzie.

– Częstuj się – podsuwam talerz w jej stronę.

– Och, nie, nie. Nie mogę już, naprawdę – broni się Janka, łakomie patrząc na ciasto. – No, może jeszcze tylko jeden. Ostatni.

Nakłada kawałek murzynka na talerzyk i podnosi łąpczywie do ust. Przyglądam się jej chłodno, kiedy wtłacza ciasto w usta wysmarowane czekoladową polewą. Policzki jej się trzęsą. Ma raptem dwa lata więcej ode mnie, a wygląda na

starszą o co najmniej dziesięć. Uchowaj dobry Boże, abym miała być kiedyś taka tłusta.

– O, matko, jakie to przyjemne – sapie Janka przed ostatnim kęsem. – To takie przyjemne. Nie umiem się oprzeć. Będę żałowała później.

– Będziesz – mówię. – Ale może dasz się skusić na jeszcze jeden kawałek? Albo dwa? Nie pozwól, abym musiała cię namawiać.

## VII

Śpimy przez resztę niedzieli – z małymi przerwami na seks. Łukasz rewelacyjnie się bzyka. Wspaniale jest budzić się i czuć jego ciało przy swoim boku. Opowiadam mu o sobie, o pracy w agencji, o mieszkaniu i tej trzaśniętej sąsiadce. Słucha, ale niewiele mówi o sobie. Opowiadam o moich ulubionych filmach i książkach science fiction – uwielbiam science fiction! Słucha pobłaźliwie i mówi, że podobał mu się *Raport mniejszości*, ale kiedy zaczynam opowiadać o Philipie K. Dicku, który napisał opowiadanie, na którym oparto scenariusz filmu, zaczyna ziewać. Pod wieczór wstaję na chwilę, biorę prysznic i robię nam kanapki. Jemy w łóżku, a potem znowu się bzykamy. Może to właśnie on? Może to na niego czekałem, może jego szukałem? Byłoby fajnie. Opieram się na łokciu i przyglądam mu, kiedy zasypia w kilka minut po wytrysku. Ma bardzo gęsty zarost, delikatną linię kości policzkowych, duże, ładne usta. Teraz są czerwone i nabrzmiałe – podrażnione moimi nieogolonymi pocałunkami. Dotykam swoich warg, pewnie wyglądają podobnie. Jutro będą mnie piekły, a na brodzie i w kącikach ust zaczną łuszczyć się skóra. Jutro... Może jutro, kiedy wrócę po pracy do domu, nie będzie tu tak pusto. Może będzie on.

Łukasz uchyla powieki i spogląda na mnie, nie zmieniając pozycji.

– Co? – pyta.

– Nic – uśmiecham się. – Dobrze mi z tobą.

– Mhm – mruczy. – Która godzina?

– Dochodzi dziesiąta.

– Muszę już iść.

– Nie zostaniesz na noc?

– Innym razem – mówi.

Będzie inny raz. Wtulam twarz w jego pachę, wciągam zapach. Lekko całuję skórę. Nic o nim nie wiem. Wszystko, co pomyślę, może być prawdą.

Chłopak siada na brzegu łóżka, podnosi z podłogi skarpetki i swoje slipki. Ubiera się.

– Umawiamy się jakoś? – pytam.

– Zobaczymy – mówi. – Zadzwoń.

– Dobrze. Cieszę się, że cię poznałem.

Czekam.

– Ja też.

Wstaję i nagi odprowadzam go do drzwi. Całujemy się, Łukasz łapie mnie za członek i potrząsa nim, jakby potrząsał rękę na pożegnanie.

– Fajnie było, wiesz? – mówi z lekkim uśmiechem. – No, trzymaj się.

– Do zobaczenia, Słonko – odpowiadam cicho.

Chłopak wychodzi z mieszkania i zbiega po schodach. Patrzę w dół na swoją wycieraczkę. Ta cholerna moherzyca podrzuciła mi psią kupę, którą dla niej zostawiłem, a Łukasz oczywiście w nią wszedł. Rozsmarował wszystko i zostawił ślady. Słyszę trzaśnięcie drzwi na dole. Nigdy więcej go nie zobaczę. Ale będę go pamiętał – już na zawsze. Każdego dnia, w każdej godzinie świadomość jego istnienia

i wspomnienie naszego spotkania będą we mnie obecne. Na razie jeszcze tego nie wiem.

## VIII

Janka nareszcie poszła. Boże jedyny, myślałam, że będzie u mnie siedziała do wieczora. Zjadła cztery kawałki murzynka. Cztery kawałki! Mnie to by chyba rozerwało, gdybym tyle zjadła. Następnym razem kupię jakieś ciasto z bitą śmietaną, coś wyjątkowo tuczącego, będzie miała nauczkę. Próbuję zadzwonić do Ninki, ale nie odbiera. Nie zdążyłam, pojechała już do córki i zięcia, w każde niedzielne popołudnie do nich jeździ. Dochodzi czternasta. Włączam telewizor w pokoju i radio w kuchni, lubię jak coś gada. Dziś będzie *Plebania*. Idę do łazienki i piórę wycieraczkę w wannie. Piętnasta — prawie, jest za dwadzieścia. Myję wannę i wynoszę wycieraczkę na balkon, żeby wyschła. Potem gotuję makaron. Odcedzam go, wyrzucam na talerz. Posypuję kruszonym twarogiem i cukrem. Jem. Dochodzi wpół do czwartej. Zmywam, wycieram naczynia, chowam do szafek. Małgosia nawet nie zadzwoniła, a obiecywała, że wpadnie dziś na obiad. Podlewam kwiaty. Rośliny zawsze mi się udawały. Mam bardzo dużo kwiatów, większość jest żywa, tylko w dużym pokoju trzymam sztuczny bluszcz. Świetnie zrobiony, wygląda lepiej niż prawdziwy. Może powinnam do niej zadzwonić? Ale już dwa razy dzwoniłam w tym tygodniu pierwsza. Szesnasta. Niedługo *Plebania*. Biorę krzyżówkę z „Tiny”, długopis i siadam przy stole. Pochwa na pistolet — co to jest? Sześć liter, hm... Nagle coś wali w ścianę. Raz, drugi, trzeci. Co ten cholerny pedał tam wyprawia? Zalewa mnie wściekłość. Nawet w niedzielę człowiek nie może mieć chwili spokoju! Ciskam krzyżówkę na kanapę. Jak sobie pomyślę, co on tam może wyprawiać, słabo mi



się robi. Dlaczego są tacy jak on? Po co? Dlaczego wszyscy nie mogą być dobrzy i normalni? Nie rozumiem, po prostu nie mieści mi się to w głowie, dlaczego się na coś takiego pozwala. Uważam, że ktoś powinien coś zrobić. Na mój rozum powinno się ich kastrować — wszystkich tych pedofilów i innych. Wykastrować, a potem zamknąć. To w końcu też ludzie, nie mówię, żeby ich usypiać, czy coś. Ale zamknąć w jakimś miejscu, leczyć. Najlepiej pracą. Ciężką pracą dla dobra wszystkich. Dostawaliby jeść, siedzieli odizolowani — z daleka od normalnych ludzi i dzieci. Przed wszystkim dziećmi. Przecież jakby nie mieli kontaktu z resztą, toby się to skończyło. Nie deprawowaliby następnych. Wszystko byłoby dobrze. A zresztą im samym byłoby lepiej, byłiby między swoimi, a co by tam ze sobą robili, to już ich sprawa. Byle tego nie wiedzieć. Oni i reszta tej całej żydokomuny. I ci mordercy od aborcji. Cały ten brud, ta chora narośl na społeczeństwie. Są jak rak — na oko nic nie widać, a pod spodem zgnilizna. Zupełnie jak choroba mojej matki. Wszystko wyglądało dobrze. Rumiana była, zawsze uśmiechnięta. To niby miał być jakiś drobny zabieg, a jak ją otworzyli, to tylko pokiwali głowami i zaszyli. Bo w środku była jedna ruina, spróchniała jak pień. Z wierzchu nic nie było widać, nic. A przecież społeczeństwo to jeden wielki organizm, tak mówili w radio, bardzo słusznie. Rozkład zaczyna się od spodu, jedna sparszywiła komórka i bach — nowotwór. I dzieci to widzą, dzieci wszystko zobaczą, wszystko podsłuchają, wszystko wiedzą. Małe garnki mają wielkie uszy, jak mówiła moja mamusia. No to czego się potem spodziewać, jak się naoglądają podobnej gangreny? Wyrosną na takich samych, bo zło potrafi skusić. Ruja, ciężkie tarcie, żadnych problemów, żadnych obowiązków. No bo co taki jak on ma za obowiązki, pytam się ja kogo? Robi, co

chce, gzi się na prawo i lewo i nawet ciąży z tego nie będzie! Każdy by tak chciał! Same przyjemności i żadnych kłopotów. Ale nie na tym polega życie, nie! I przyjdzie dzień sądu, kiedy za to zapłacisz. Ty i cała reszta innych zбочeńców. Bo Jezus otworzył bramy niebios tylko dla tych, którzy z taką samą pokorą niosą swój krzyż przez życie, jak On niósł swój na Golgotę. Ale najgorsze w tym, że to tak bez wstydu, bez skruchy, nawet nie zaprzeczy. Jak to się tak można nie wstydzić, że się jest innym od normalnych ludzi? Jak to się tak można obnosić ze zбочeniem, patrzeć bezczelnie w oczy, nawet nie zaprzeczyć? Jeszcze, żeby to jakoś tak po cichu robił, ukradkiem. Żeby udawał, że jest tacy jak inni, toby było dobrze. No, przynajmniej lepiej. A tak, jak to wszystko jest na widoku, to nie można udać, że się tego nie widzi. Trzeba reagować. To chrześcijański obowiązek. Która to? O, już siedemnasta dochodzi, zaraz *Plebania*. Chwała Bogu, że całego murzynka nie pokroiłam dla Janki, mam jeszcze ze dwa kawałki na serial.

## IX

Ciekawe, czy zadzwoni? — zastanawiam się, znosząc po schodach rower. Złe myślenie. Muszę myśleć pozytywnie — tak mówi Elżbieta, moja psychoterapeutka. A więc — ciekawe, o której zadzwoni? Podciągam nogawkę dzinsów i zapinam ją drewnianą klamerką do bielizny. Super to wygląda. Wsiadam na rower i ruszam w kierunku firmy. Fajnie, że tak wcześnie wyszedłem, mogę nadłożyć drogi i przejechać jeszcze przez Pole Mokotowskie. Jest dopiero parę minut po ósmej rano, w firmie muszę być o dziewiątej. Pracuję w małej agencji reklamowej przy Narbutta, jestem copywriterem. To nawet fajna praca, ludzie są świetni. A w dodatku szef jest gejem, więc przynajmniej normalne stosunki.

Wjeżdżam na Pole. Boże, jakie towary! Obok mnie przebiega dwóch napakowanych gości ubranych w same slipki i adidasy. Przyglądam im się bezkarnie zza szkieł ciemnych ray banów, identycznych jak te, które nosił Keanu w *Matriksie*. Wiem, że już są passé, ale strasznie lubię ten film. No i Keanu, ma się rozumieć. Jeden chłopak pokazuje mnie drugiemu, oglądają się. Wyższy odsłania w uśmiechu białe zęby. Też się uśmiecham i jadę dalej. Od pewnego czasu Pole Mokotowskie zmieniło się w gejowski spaceriak. Parada atrakcji od samego świtu, szczególnie w tygodniu. Na ławce, którą mijam, chłopak w wieku góra szesnastu lat patrzy mi bezczelnie w twarz i jednoznacznie rozchyła uda. Ma na sobie luźne, różowe sportowe szorty, krótkie, białe skarpetki i sneakersy. Zwinięty w kłębek T-shirt leży obok na ławce. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Zwalniam. Chłopak kładzie sobie dłoń na kroczu. Szczęka mi opada, myślę kierunek i wjeżdżam na krawężnik. Cudem boskim się nie przewracam. Dzieciak zaczyna się śmiać.

– Wszystko OK? – pyta.

– OK – odpowiadam.

Czuje, że zaczynam się rumienić, kretyn. Wsiadam na rower i ruszam dalej. Objężdżam Pole dwa razy i jadę w kierunku Narbutta. Wciągam rower do holu i kiedy zapinam blokadę na łańcuchu, uświadamiam sobie, że Łukasz do mnie nie zadzwoni. Ani dziś, ani nigdy. Nie ma mojego numeru telefonu.

# Maj

I

– Oj, mamó! Daj mi wreszcie spokój! – Małgosia jęczy znudzonym tonem do słuchawki.

– Kto to był?! – pytam podniesionym głosem.

– Nikt.

– Co to znaczy nikt? Jaki nikt? Mężczyzna! Co robi u ciebie w domu o dziewiątej wieczorem? Kto to jest?

– Kolega. Z pracy.

– Kolega! Kolega z pracy! A jakich ty możesz mieć kolegów z pracy? Nie powiesz mi, że pracuje z tobą na stoisku z damskimi łachami!

– Nie pracuje.

– To kto to jest?!

– Mówię ci przecież, że kolega.

– Małgosiu...

– Rany boskie, mamó – wzdycha. – Jarek pracuje jako ochroniarz w Giece.

– W kiece?! W jakiej kiece?

- W GIE-CE. W Galerii Centrum.
- Ale dlaczego on twoją komórkę odbiera? Małgosiu, nie podoba mi się to!
- Mamo, na rany Chrystusa, ja mam już trzydzieści dwa lata. Może mnie mama przestać traktować jak dziecko?
- Ale ty jesteś dziecko! Ty życia nie znasz! Żeby w domu samotna dziewczyna wieczorem przyjmowała...
- Mamo, ja nie jestem u siebie w domu.
- Nie w domu? A gdzie ty jesteś? Gdzie ty jesteś o dziewiątej wieczorem?!
- Mama da spokój. Muszę kończyć.
- Małgosiu – mówię błagalnie. – Małgosiu, co się z tobą dzieje? Przecież ty wiesz, że tak nie można.
- Czego nie można?
- Tak się nie robi. Dziewczyna...
- Mamo, bo ja ci zaraz powiem coś, co ci się bardzo nie spodoba. Więc może sobie darujemy, co?
- Nie tak cię wychowałam!
- O Jezu...
- Nie wzywaj imienia nadaremno!
- Mamo, dobranoc.
- Chcesz skończyć tak jak ja? Chcesz?
- Nie, mamo. Nie chcę. To ostatnia rzecz na świecie, której bym sobie życzyła. Dlatego tu jestem. U Jarka. I naprawdę bardzo dobrze się bawiłam, jeszcze przed chwilą. Dobranoc.
- Małgosiu... Mał... – przerywam, bo w słuchawce rozlega się sygnał zajętości.
- Odkładałam powoli telefon i siedzę przez chwilę bez ruchu. Co się z nią porobiło? To było takie dobre dziecko. Nie powinnam była się zgodzić na jej wyprowadzkę. Dlaczego się zgodziłam? I ta praca! Zupełnie niepotrzebna.

Wszystko zaczęło się psuć, musiała poznać jakichś ludzi, coś jej nagadali. To przez koleżanki, teraz te dziewczuchy nie znają poczucia godności. Boże, co ona tam wyprawia? Zostałaby ze mną, jakoś byśmy sobie poradziły. To jest taka dobra dziewczyna, zmarnują mi ją tam. Zmarnują. Uświadamiam sobie, że wykręcam palce tak, że aż trzeszczą. Rozluźniam je, prostuję się i wyglądam podomkę na kolanach. Jeszcze nie wszystko stracone, nie wolno rozpaczać. Załatwię to, wymodłę. Wybłagam. Żeby tylko do mnie przyszła, jak przyjdzie, na pewno się dogadamy. Wystarczy, że ją zobaczę, że popatrzy mi w oczy. Wystarczy, żeby przyszła. Będę mogła jej dotknąć. Wstaję, idę do kuchni i robię sobie herbatę, a potem siadam przed telewizorem. Na Romantice zaczyna się kolejny odcinek *Dlaczego właśnie ja*.

## II

– Włącz dwójkę, co? – Michał mówi zduszonym głosem i wypuszcza dym.

Biorę od niego blanta, który ma już niecałe dwa centymetry długości. Zaciągam się ostrożnie i zatrzymując dym w płucach, pytam:

– A po co?

– Zaraz będzie *M jak miłość*.

– Błagam!

– No co? Lubię ten serial.

– Oszczędź mnie. Jak możesz oglądać te pierdoły? Słuchaj, mam na DVD *Ucieczkę Logana*, wczoraj przyszła paczka z Amazona! Rewelacja! Z Michaeliem Yorkiem, lata siedemdziesiąte. Dzieje się w przyszłości, wszyscy ludzie z całej ziemi mieszkają tylko w jednym wielkim mieście...

– To dopiero pierdoły – przerywa mi Michał, który najwyraźniej pomimo moich usilnych starań nigdy chyba nie

polubi science fiction. — Włącz dwójkę. To mój ulubiony serial. Bardzo życiowy!

Życiowe! Moim zdaniem wioska w mieście, i tyle. No, ale może dla Michała, który pracuje jako nauczyciel polskiego w gimnazjum na Powiślu, to jest życiowe. Wzdycham ciężko, demonstrując ogrom poświęcenia, i podaję mu pilota. Nie znoszę obyczajowych filmów i książek. Po co czytać o czymś albo oglądać coś, co i tak dzieje się na co dzień dookoła? Nie lubię też filmów historycznych, kostiumowych dramatów, filmów sensacyjnych. Science fiction jest lepsze. Tam wszystko jest możliwe. I nic z tego jeszcze się nie wydarzyło, wszystko jest nowe, nieprzewidywalne. W s.f. dzieją się wielkie sprawy, życie jest ciekawe, pełne istotnych wydarzeń i emocji. Nieskończona parada alternatywnych rzeczywistości, z których każda — nawet najbardziej katastroficzna — ma więcej sensu niż ta, w której żyję. Mój ojciec też uwielbiał s.f. — razem z nim oglądałem najlepsze filmy. Kiedy byłem mały. Serial się zaczyna i w tej samej chwili komórka Michała podskakuje na blacie stolika. Dostał SMS-a.

— Od kogo to? — pytam, kiedy z rozanielonym uśmiechem kończy pisać i wysyła odpowiedź.

— Od Darka. Żebym włączył dwójkę.

Darek to chłopak Michała. Są ze sobą już prawie trzy lata. Dziwny to związek, trochę tego nie rozumiem. Darek mieszka w Krakowie, widują się raz na miesiąc. W dodatku Michał puszcza się tu na potęgę i z tego co wiem, Darek robi to samo w Krakowie, przy czym obaj doskonale o tym wiedzą. A mimo to cały czas twierdzą, że są ze sobą, i rzeczywiście wygląda na to, że im na sobie zależy.

— Co w pracy? — pytam.

— Nie pytaj — odpowiada Michał, nie odrywając wzroku od ekranu.

- To znaczy?
- Nie wiem, co zrobić.
- A co się dzieje?
- Piotrek się dzieje. Pierwsza gimnazjalna.
- Jezuu, nie powiesz mi, że się dobierasz do ucznia!
- No, pewnie, że nie! Zwariowałeś? On ma niecałe trzynaście lat. Dziecko.
- To, co zrobił? Podstawił koleżance nogę na przerwie?
- Znalazł mnie.
- Na czym? – od razu wiem, o co chodzi. Dzieciak musiał znaleźć jego profil na którymś z gejowskich randkowych serwisów internetowych.
- Gayromeo.
- Po coś dał zdjęcie, kretynie?
- Oj, tak sobie. Nie sądziłem, że mnie ktoś rozpozna, zupełnie niepodobny jestem.
- No i? Czego chce? Kasy?
- O, nie. Absolutnie. Nic z tych rzeczy.
- To czego?
- Mnie.
- Ciebie?
- Ano mnie.
- To znaczy? Przestań się gapić w ten telewizor i mów normalnie.
- Ale poczekaj, nie wiem, czy ona się z nim spotka, czy nie. To ważne.
- Michał!
- Kurnia! No, dobrze. Przyszedł do mnie na długiej przerwie w zeszłym tygodniu. We wtorek, równo tydzień temu. Mam wychowawstwo w jego klasie. Gówniarz podszedł do mojego biurka cały roztrzęsiony i mówi, że chciałby ze mną porozmawiać.



– No i?

– No to mówię: OK. Siadaj, chłopie, i gadaj. Myślałem, że może coś z historią, wiesz, baba od historii to psychopatką, znęca się nad dziećmi. Ta mała ruda Aśka miesiąc temu mała w psychiatryku przez nią nie wylądowała. No więc pytam, czy chodzi o Śliwę. Bo ta nauczycielka ma Śliwa na nazwisko. Ale on głową kręci, że nie. No to o co chodzi, pytam. Patrz, nie spotkała się z nim.

– Co?

– Kinga. Nie przyszła na spotkanie.

– Jaka Kinga?

– No, Cichopek, żona Mrocza.

– Michał, co ty pierdolisz?

– Cichopek. O, ta – Michał pokazuje na ekran. – Gra żonę Mrocza.

– Cichopek i Mroczek. Rany boskie, co to jest? Krasnoludki z *Królowny Śnieżki*? *Na jagody*?

– No coś ty! To największe polskie gwiazdy aktualnie!

– Straszne! Pewnie w następnym odcinku okaże się, że Cichopek i Koszałek Opalek mają romans, a Mroczek zawoła Żwirka i Muchomorka, żeby mu razem spuścili łomot.

– Głupi jesteś, ona jest bardzo fajna.

– Przeróżające – mówię i zaciągam się blantem. Jestem już całkiem nieźle ujarany. – Idole masowej świadomości na miarę naszych czasów. Hejkum-kejcum. Rany boskie, żyjemy w Kingsajzie!

– Wiesz co? Zostaw ty sobie lepiej te koncepty do pracy. Przyda ci się do wymyślania haseł reklamowych.

– Dobra, mów, co z tym dziećmi!

– A! No więc pytam, o co chodzi. A on, rozumiesz, cały w wypiekach, roztrzęsiony mówi, że chciałby ze mną porozmawiać prywatnie. Po szkole.

– A ty co?

– A mnie się gorąco zrobiło, bo już zacząłem przeczuwać pismo nosem. Ten Piotrek to taki klasowy lider. Najlepszy w piłce nożnej, przewodniczący klasy, w ogóle taki, wiesz, najpiękniejszy, najmądrzejszy, najbogatszy. Od razu sobie pomyślałem, że się o mnie dowiedział i będą kłopoty.

– No i?

– No i postanowiłem na belfra zagrać. Wiesz, zmarszczyłem brwi, obniżyłem głos i mu powiedziałem, że jak chce, to możemy od razu pójść do dyrektora, żeby ten jego problem omówić. A on na to, że nie o to chodzi, że źle zaczął i że przeprasza. No to pytam, o co w takim razie chodzi. A on mi wali prosto z mostu, że mnie znalazł na Gayromeo i że też jest gejem.

– O Boże! Pewnie chciał porozmawiać, szuka pomocy...

– Jakiej pomocy? Człowieku! Ja też najpierw pomyślałem, że może pomocy szuka. Wiesz – sam jeden, inny, niezrozumiany, oszołomiony hormonalną burzą itp. No więc mówię, że jeśli chce o tym porozmawiać, to możemy rozmawiać, ale to delikatna sprawa i lepiej, żeby poszedł do psychologa szkolnego. Jeśli ma z tym problem.

– Bardzo mądrze mu doradziłeś.

– Bardzo. Tyle tylko, że on się zaśmiał, rozumiesz, że jaki problem! On nie ma problemu, jest gejem i w ogóle to cudownie, wszystko wie, głównie z internetu. Po prostu nie miał pewności co do mnie. Teraz już ma, a ja mu się od dawna – rozumiesz, od dawna – podobałem, nawet bardzo, więc skoro już wie, że jestem gejem, to chciał zapytać, czybym się z nim nie umówił. I jeszcze dodał – a ja się tu mało nogami nie nakryłem – że nie chodzi tylko o seks, bo to jest coś dużo więcej z jego strony niż tylko seks. Nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić moją minę, bo ja bym

chyba nie umiał. Zamieniłem się w słup soli i patrzyłem na niego przez minutę baraním wzrokiem.

– No, ty chyba jaja sobie robisz!

– Nie, absolutnie. Co najmniej minutę.

– Ale nie z tym! Tylko z tym wszystkim! Mówiłeś, że ile on ma lat?

– Trzynaćcie.

– Trzynaćcie lat...

– Tak. Jakoś się w końcu otrząsnąłem, pomyślałem chwilę i w końcu mu powiedziałem, że bardzo mi jest miło i że na pewno jest wspaniałym chłopcem – wyobrazasz sobie, coś takiego powiedziałem – ale że ja kogoś mam, jestem w związku i nie mogę się umawiać z innymi. Idiotyczne to było, ale zupełnie nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Jakbym zrobił coś nie tak, to mógłby zacząć o mnie gadać i byłby kłopoty. Musiałem jakoś tak delikatnie.

– Trzynaćcie lat...

– No, trzynaćcie. Ja w tym wieku jeszcze w ogóle nie wiedziałem do czego służy członek. Poza sikaniem oczywiście. A ty wiedziałeś?

– No... – odpowiadam powoli, otrząsając się z osłupienia. – Wiesz, tego... Coś niesamowitego! Kiedy ja miałem trzynaćcie lat... Kiedy miałem trzynaćcie lat, oczywiście, że dokładnie wiedziałem! Waliłem wtedy konia po pięć razy dziennie wyłącznie pod facetów. Ale chyba bym prędzej umarł, niż poszedł do dorosłego mężczyzny i mu się oświadczył. Nawet gdybym miał dwieście procent pewności, że jest gejem! W ogóle wtedy chyba bym umarł, gdyby ktoś się zorientował, że mnie kręca chłopaki. Boże, jak to się zmienia wszystko...

– Zmienia się. Owszem. Oni teraz dojrzewają dwa razy szybciej niż my. Nie wiem, co teraz będzie.

– E, nic nie będzie. On wie, że ty jesteś, ale ty wiesz, że on jest. Patowa sytuacja, nic nie może zrobić.

– O, właśnie, że nie! Ty nie rozumiesz, jak to teraz z nimi jest! Ja się już zorientowałem, że teraz dla tych dzieciaków to nie jest żaden problem. Nawet bycie gejem jest modne. Trendy. Zupełnie bez żenady o tym ze sobą rozmawiają. Ale jeśli zaczną plotkować o tym, że ja jestem gejem, rewelacja prędzej czy później dojdzie do rodziców i zaczną się kłopoty. To zwyczajne gimnazjum, nie prywatna szkoła. Różne bachory tam chodzą. Mogę wylecieć z pracy, jakby ich starzy zrobili krucjatę.

– No, ale chyba mu powiedziałaś...

– Pewnie, że powiedziałem! Obiecał, że nikomu o mnie nie powie. Ale on, rozumiesz, się nie poddał.

– Nie poddał?

– Nie, skąd. Pisze do mnie na Gayromeo. Nie tylko pisze, ale przysyła też zdjęcia. Czy ty sobie wyobrażasz, co by się działo, jakby ktoś to zobaczył? Z miejsca by mnie zamknęli. Dziecięca pornografia!

– To on ci gołe zdjęcia przysyła?

– Nie, całkiem gołe nie są. Ale roznegliżowane. Robi sobie cyfrówką. Na przykład w kąpielówkach albo w slipkach na łóżku. I co ja mam zrobić?

– Nie odpisuj pod żadnym pozorem! I zlikwiduj profil.

– To mi zaczniesz przysyłać na mail. Adresy mailowe nauczycieli są łatwo osiągalne. Albo jeszcze zaczniesz mi przysyłać wydruki w kopercie do domu. Albo do szkoły, rany boskie! Zostawi na moim biurku! To by było najgorsze!

– Porozmawiaj z matką.

– Myślałem o tym. Ale wyobraź sobie, że idę do niej, mówię, że jej trzynastoletni Piotrek jest gejem i molestuje mnie seksualnie. Mnie, swojego trzydziestoletniego wychowawcę.

I co ona na to? Myślisz, że powie: „Ojejku, no co ja z nim mam, a to urwis jeden niedobry, będzie miał szlaban na internet i Cartoon Network przez tydzień”. Raczej tak nie powie. Prędzej usłyszę coś w rodzaju: „Ty pojebany pedale, zboczeńcu jeden, pedofilu! Dziecko mi uwiodłeś!”. W tle już słyszę sygnał policyjnego koguta, szczęk zasuwanej kraty więziennej, a w oddali rozbrzmiewa krótki, urwany, przerażający wrzask mojej matki rzucającej się w samobójczym skoku z wieży ratusza w naszym Zamościu.

— O Jezu — wzdycham oniemiały. — To wcale nie jest śmieszne.

— Wiem. Ale co? Mam płakać?

— A dyrektorka? Nie możesz z nią pogadać?

— To już wolałbym z matką Piotrka. Piekarska mnie nie-  
nawidzi, tylko czeka na okazję, żeby mi dowalić. Gdyby nie to, że brakuje nauczycieli, już dawno by mnie wywaliła.

— A ten psycholog szkolny?

— Mariusz? Kochany, on by zawału dostał, gdybym mu o tym opowiedział. Pierwszy podłożyłby ogień pod mój stos. Ten facet umiera ze strachu, żeby nikt się o nim nie dowiedział. Tacy są najgorsi, wiesz przecież sam. Przerażona kryptociota to najgorszy homofob — żeby ustrzec się przed zdemaskowaniem, pogrąży wszystkich innych. A poza tym bzykałem się z nim dwa razy w schronisku młodzieżowym na szkolnej wycieczce do Kazimierza kilka miesięcy temu i on ma do mnie ewidentną pretensję, że nie było dalszego ciągu. Odpada.

— O, kurde. Naprawdę jesteś w totalnie czarnej dupie. No i co zrobisz?

— Nie wiem. Spróbuję jakoś przeczekać tego nieletniego Romea. Może się przerwuci na któregoś kolegę z klasy czy kogoś innego i da mi spokój.

Na dwójce *M jak miłość* już się kończy. Zaczynają się kulisy serialu. Michał skręca drugiego blanta, podpala, zaciąga się. Biorę od niego skręta i mówię:

– Jakoś to będzie. A co Darek na to?

– To samo.

– To znaczy?

– Że jakoś to będzie.

Zaciągam się głęboko. Przerażająca historia, straszna. Ale uświadamiam sobie, że trochę mu zazdroszczę. Tego, że jest kochany, że ktoś się w nim zakochał. I zadaje sobie tyle trudu, żeby go zdobyć. Nawet jeśli jest to tylko mały, niebezpieczny chłopiec.

### III

O Boże, jak późno! Zaraz Janka tu będzie, a ja jeszcze bez spódnicy. Którą założyć? Fioletowa za wesoła do kościoła. Z drugiej strony ładnie mi w niej. Wyjmuję z szafy fioletową spódnicę. Chłodno dziś, założę do niej żakiet. Albo nie, sweterek. I beret, ten fiołkowy. Prawdziwy moher. Maluje usta i chowam szminkę do torebki. W tym momencie rozlega się dzwonek domofonu.

– Już schodzę, kochaniutka! – wołam do słuchawki.

Sprawdzam, czy zakręciłam wodę, zgasiłam światło w łazience i czy okna są pozamykane. Dobrze. Wychodzę na korytarz i zamykam dokładnie drzwi na wszystkie zamki. Szarpnię kłamką na wszelki wypadek, zawsze lepiej dwa razy sprawdzić, i odwracam się do schodów. Obok drzwi tego pedała stoi plastikowy wór ze śmieciami! Co za brudas! Czy ci ludzie teraz to w ogóle poczucia wstydu nie mają, pytam ja się kogo? Jak można śmieci wystawiać na korytarz, na widok publiczny, przecież to się krew w człowieku gotuje! Tak trudno jest zejść to jedno piętro na dół i zanieść torbę do

śmietnika? Przyglądam się workowi przez chwilę, zaciskając usta, i otwieram torebkę. Nie będę już wracała do domu, to przynosi pecha, ale gdzieś tu miałam... Sięgam głębiej. Jest! Wyciągam klucze od piwnicy, do których przyczepiony jest podłużny breloczek. Jak to się otwiera? Chyba tu trzeba pociągnąć... Nie, to otwieracz do butelek. A z tej? Mały scyzoryk otwiera się z cichym kliknięciem. Uśmiecham się pod nosem, podchodzę cichutko do sąsiednich drzwi i nasłuchuję przez chwilę, wstrzymując powietrze. Cisza. Jeszcze nie wrócił, w niedzielę zawsze wraca koło południa. Kucam przy worku i szybko przecinam niebieski plastik. Raz, drugi. Śmieci wysypują się na podłogę. Oczywiście puszki od piwa, chyba z pięć. Jakieś gazety, na pewno same świństwa. Skórka od banana, skorupki jajek. Z przeciętego worka wysuwa się na wpół opróżniony kubek kefiru, gęsty, biały płyn wylewa się na wycieraczkę. Świnia, świnia. To cię oduczy. Wstaję z trudnością, dysząc ciężko. Rozkopuję śmieci czubkiem bucika. Dobrze ci tak. Czuję się wspaniale, chcę jeszcze! Podnoszę scyzoryk i przykładam do drzwi. Doczyścił je jakoś, ciekawe czym. Ten pisak nawet na szkle się trzyma, próbowałam. Przyciskam ostrze do drewna. Wiem, ile kosztują podobne drzwi, sprawdziłam. Dwa tysiące złotych. Skąd taki zbok bierze pieniądze? Kradnie! Na pewno. Normalnego, uczciwego człowieka nie byłoby stać na takie drzwi. Nie z moją emeryturą, tysiąc trzysta złotych miesięcznie. Prawie czterdzieści lat harówki i nawet na porządne drzwi mnie nie stać! A taki śmieć, zboczeniec, młodszy od Małgosi... Wycany fircyk z tą swoją śliczną, opaloną buźką, niebieskimi oczkami i wystrzyżoną blond grzywką. Śmieć! Przyciskam ostrze i ciągnę w dół. To nie drewno, jakiś plastik. Scyzoryk zostawia cienką kreskę, widać pod spodem metal. Podnoszę nożyk i tnę jeszcze raz. Cichy

zgrzyt metalu o metal wywołuje we mnie rozkoszne dreszcze, tnę znowu, czuję, jak podnoszą mi się włosy na karku. Podbrzusze zaczyna mi pulsować gorącem, w środku kurczy się i rozpręża. Łapię dłonią krocze przez spódnice, przyciskam. Zesikałam się chyba trochę, czuję, że mam całkiem mokrą szparkę. Majtki się po niej przesuwały tak lekko. Ubranie jest suche, nie czuję ręką wilgoci. Przyciskam mocniej, muszę sprawdzić, przyciskam jeszcze raz. Przecież nie wyjdę z domu w mokrych majtkach. Ale czy na pewno są mokre? Wbijam palce w tkaninę, wciskam ją głęboko. Drugą dłonią przestaję dźgać gładką powierzchnię. Zamykam scyzoryk w pięści, opieram się na niej o drzwi i spoglądam na poszarpaną folię na drzwiach. Głębiej. Mocniej. Spokojnie, spo... Oddech robi się krótki, urwany i nagle, ach! Tłumię ręką okrzyk. Nogi mi miękną, opieram się o framugę drzwi. O, Boże najśłodszy, co się ze mną... Dotykam czołem futryny z jękiem, odwracam się tyłem i opieram o ścianę korytarza plecami. Serce podskakuje mi do gardła, kiedy za drzwiami rozlega się przeraźliwy dźwięk dzwonka. Odwracam się i mało nie łamiąc nóg, szybko schodzę w dół. Na parterze uświadamiam sobie, że musiałam się oprzeć o przycisk przy drzwiach. Przystaję na moment, łapię oddech i poprawiam spódnice. Sprawdzam w świetle padającym z okienka w drzwiach wejściowych, czy nie ma jakichś plam, ale wszystko jest w porządku. Składam scyzoryk, chowam do torebki. Obciążam sweterek, poprawiam берет i wychodzę przed klatkę schodową.

— Aniu, co tak długo? — wykrzykuje Janka na mój widok. — Już myślałam... Ale co ci się stało?

— Co? — spoglądam z lekkim popłochem w dół na ubranie. — Co się stało?

— Co ty masz na twarzy?



Wyciągam z torebki puderniczkę i przeglądam się. Na widok swojego odbicia wciągam głośno powietrze i ze zgrozą otwieram szeroko oczy. Ale to tylko szminka, moja czerwona szminka, którą rozmazałam po brodzie. Wyglądam jak wściekły pies, jak ta suka na podwórku wuja Mariana w Bliźne, która zagryzła cztery kurczaki, kiedy byłam mała. Oszałała — tak powiedział wuj. Cały pysk miała we krwi, czerwone, wytrzeszczone oczy. Chociaż ciotka zaraz potem rozwała jej łeb siekierą i wiedziałam, że ta suka nie żyje, że nic mi nie może zrobić, to jednak śniła mi się potem latami. Budziłam się z tych snów z krzykiem, nawet gdy już byłam w gastronomiku. Ale to tylko szminka. Dostałam ją gratis z którymś z numerów „Vivy”. Wyjmuję chusteczkę higieniczną i wycieram brodę.

— Dobrze się czujesz? — pyta Janka zatroskanym tonem.

— Może chcesz wejść na górę?

— Nie, wszystko w porządku. Nie wiem, jak to się stało. Chodźmy, bo się spóźnimy na mszę.

Nakładam szminkę jeszcze raz, cmokam ustami trzy razy i zamykam puderniczkę z trzaskiem. Jestem gotowa. Janka bierze mnie pod rękę i wychodzimy z cienia bramy na zalaną majowym słońcem ulicę.

#### IV

Budzę się nagle, serce bije mi mocno. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. Nie ruszam się i patrzę szeroko otwartymi oczami w obcy sufit. Spałem na wznak, będąc mnie bolały plecy przez cały dzień, zawsze tak się dzieje, gdy śpię w tej pozycji. Wyciągam nogi jak najdalej mogę przed siebie, prostuję stopy i zginam z całej siły palce, aż strzelają stawy. Odwracam głowę i patrzę na śpiącego obok mnie faceta. Jak on ma na imię? Zapomniałem. Pierwszy, jakiego poznałem

od czasu Łukasza. Tak naprawdę poszedłem do Utopii, licząc po cichu, że może właśnie Łukasza tam spotkam, ale go nie było. Był ten, też fajny. Chyba. Przyglądam się chłopakowi. Leży na brzuchu, twarz ma skierowaną w moją stronę. Widać jedno zamknięte oko, długie, czarne rzęsy, gęstą brew. Ma weekendową brodę, troszkę siwych włosów w zmierzwionej, krótkiej czuprynie. Lekko uchylone usta, zniekształcone przyciśniętą poduszką, nadają jego twarzy zrozpaczony wygląd. Przypomina jedną z teatralnych masek, tę płaczącą. Podeszedł do mnie przy barze w Utopii, tańczyliśmy. Potem Kaśka — która chyba jest zameldowana w Utopii na stałe, bo zawsze ją tam spotykam — dała mi dropsa. Co to było? Jakies prochy, nie pamiętam. W ogóle potem już prawie nic nie pamiętam, same oderwane, pojedyncze obrazy. Podnoszę się, opieram na łokciu i delikatnie odchylam kołdrę. Facet ma około czterdziestki, ładne ciało. Wysportowany, ale bez przesady. Tacy zawsze najbardziej mi się podobali. Mój typ. Odkrywam kołdrę bardziej, odsłaniam jego pośladki, fragment porośniętych gęstymi, ciemnymi włosami ud. Całkiem duży gość, na pewno wyższy ode mnie. Podpieram głowę na zgiętym łokciu i przyglądam mu się uważnie.

— Kim ty jesteś? — pytam szeptem.

Przewracam się na brzuch z twarzą zwróconą w jego stronę, układam obok.

— Właściwie nieważne — mówię bardzo cicho. — Nieważne, kim jesteś. Chciałbym tylko, żebyś to był właśnie ty. Jestem już zmęczony. Taki zmęczony szukaniem. Zmęczony czekaniem. Na ciebie. Dopóki śpisz, mogę myśleć, że to ty. Dopóki nie otworzysz oczu, to jest możliwe. Dopóki się nie odezwiesz, mogę udawać, że nareszcie jest tak, jak powinno być. Och, proszę. Proszę, żebyś to był właśnie ty. Proszę,

żebym ja był właśnie tym, kogo szukasz... Bo jestem nim — jeśli tylko zechcesz...

Kładę delikatnie dłoń na jego łopatkę, przesuвам ją w dół pleców, głaszczę pośladki, a potem wsuwam między nie palce.

— Mmmmm... — mruczy facet. — Ale fajnie...

Przeciąga się i chowa twarz w poduszce. Unosi nieco biodra i rozchyła nogi, ułatwiając mi dostęp. Uśmiecham się, wchodzę głębiej. Bawię się nim przez kilka chwil. Mężczyzna pojękuje z twarzą wciśniętą w poduszkę, wypina się bardziej. Po chwili delikatnie cofam dłoń i wymierzam mu siarczystego klapsa. Za bardzo się rozochocił i ja też zresztą, a niezbyt lubię seks zaraz po przebudzeniu, wolę najpierw wziąć prysznic. I umyć zęby. Facet wzdycha, rozluźnia się i przekręca głowę na poduszce w moją stronę. Wpatruje się w moją twarz przez kilkanaście sekund, uśmiecha się i mówi:

— Cześć.

— Cześć.

— Dobrze spałeś, Mały? — pyta.

— Chyba tak, nie pamiętam.

— Jedno pewne, że krótko.

— Co krótko?

— Krótko spałeś. Ja też. Która jest?

— Nie wiem, nie mam zegarka.

Facet przewraca się na plecy i sięga na podłogę po swojej stronie łóżka.

— Wow! — wykrzykuję cicho. — Ale z ciebie niedźwiadek!

Wygląda jak Wolverine z *X-Menów*. To mój ulubiony film — ostatnio. A Wolverine, czyli filmowy Logan, to mój ulubiony bohater — najseksowniejszy gość wszech czasów! Mam wszystkie komiksy *X-Menów*, jakie u nas wydało TM-SEMIC, wszyscyścieńkie. I całą trylogię *X-Men* na DVD,

specjalne wydanie kolekcjonerskie. Niedługo Wolverine będzie miał swój zupełnie oddzielny film, podobno już się zaczęły zdjęcia. Ale ten facet, który przeciąga się obok mnie, wygląda nawet lepiej niż Wolverine. Chyba nie widziałem jeszcze tak mocno owłosionego gościa. Całą klatkę piersiową i brzuch porasta mu gęsty, ciemny zarost, który łączy się z ciemnym trójkątem włosów na podbrzuszu i przerzedza się dopiero na udach. Z tej gęstwiny sterczy w pełnej erekcji, leciutko przechylony w lewo, zgrabny penis. Ani za duży, ani za mały — idealny rozmiar. Ale mi się ciacho trafiło!

— Dopiero teraz się zorientowałeś? — pyta mężczyzna i podnosi z podłogi komórkę. — Kurczę, nie widzę. Prawie nic nie widzę bez szkieł kontaktowych. Weź, zobacz.

Biorę komórkę, nie odrywając oczu od jego lekko pulsującego i kołyszącego się w rytm ciśnienia krwi kutasa. Chyba daruję sobie ten prysznic i mycie zębów — myślę, przelżykając głośno ślinę.

— Hej — śmieje się facet. — Popatrz lepiej na komórkę! Która jest?

Spoglądam na wyświetlacz.

— Czekaj... Rany, ale jeszcze wcześniej! — wykrzykuję cicho. — Wpół do ósmej.

— Wpół do ósmej? — nagle zrywa się z łóżka. — Chole-  
ra jasna, nastawiałem budzik na siódmą. Kurczę!

— Co? — pytam zdezorientowany.

Jest niedziela! Jak można nastawić budzik na siódmą rano w niedzielę?

— Sorry, Mały, musimy się pospieszyć. Wstawaj.

— Ale...

— Spóźnię się do pracy.

— Do pracy?

On pracuje w niedzielę? Co to za praca? Siedzi na kasie w Auchan? Akurat. Wstaję szybko i zaczynam się rozglądać za swoim ubraniem. Słyszałem już w życiu lepsze wymówki. Tak jak myślałem — mogłem w niego wierzyć, tylko dopóki nie otworzył oczu.

— W dużym pokoju — facet macha ręką w kierunku drzwi.

— Chcesz kawy? Zrobię szybko.

— Nie, dzięki — cedzę.

Wychodzę z sypialni. W dużym pokoju znajduję nasze ubrania porozrzucane po podłodze. Co tu się działo? Szkoda, że tego nie pamiętam. Mieszkanie wygląda na niezamieszkaną. Kanapa, stolik, prawie puste półki przy ścianie, lampa stojąca z IKEA. Nawet telewizora nie ma czy komputera. Ubieram się szybko, wydaję komórkę z kieszeni i pukam do drzwi łazienki, w której zamknął się chłopak.

— Jaki tu jest adres? — wołam. — Chcę zamówić taksówkę.

— Grottgera 7. Już wychodzę!

Nie trudź się — myślę. Odblokowuję komórkę i już mam wybrać numer taxi, kiedy uświadamiam sobie, że na piechotę mam stąd do domu dziesięć minut. Chowam telefon do kieszeni, siadam na kanapie i wiążę sznurówki butów. Chyba wszystko. Sprawdzam jeszcze, czy mam klucze od mieszkania, i idę do przedpokoju.

— No, to na razie! — mówię głośno i odblokowuję zasuwę w drzwiach.

— Hej, Paweł, zaczekaj! — facet wypada z łazienki w samych skarpetkach i T-shircie. Kurde, ale fajne z niego ciacho. Trochę w typie George'a Clooneya z *Solaris*, tylko trochę młodszy. Ma takie fajne oczy... — Co ty? Chyba nie chcesz wyjść bez pożegnania?

— Nie będę ci zabierał czasu — odpowiadam chłodnym tonem. — Spieszysz się.

— No, spieszę, ale przecież... Mały, przepraszam, że tak wyszło, ale... — podchodzi do mnie i próbuje mnie objąć. Odsuwam się. — No, przestań. Muszę iść do roboty, na prawdę. Fajnie mi było z tobą. Spotkaj się ze mną jeszcze.

— Nie wiem — mówię i dodaję zgryźliwym tonem: — Mam dużo pracy.

— Daj mi swój numer, zadzwonię.

— Wolę nie — mówię.

To prawda. Rzeczywiście nie chcę mu dawać swojego numeru. Jeśli go zapisze, będę czekał. A jeśli nie — przynajmniej daruję sobie głupie złudzenia. Poza tym przejmuję kontrolę nad sytuacją, tak jak radzi moja psychoterapeutka. I co z tego, że w ten sposób zamykam całą sprawę? Przynajmniej ja o tym decyduję, a nie on.

— Rozumiem, OK. W takim razie zapisz sobie mój numer, dobrze?

Tego nie przewidziałem. Nie za bardzo wiem, co powiedzieć, więc wyjmuję komórkę i wstukuję numer, który mi podaje. Nie wiem, jak go zapisać w książce telefonicznej, a głupio mi teraz zapytać, jak się nazywa, szczególnie po tym, jak się okazało, że on zna moje imię. Wpisuję „Wolverine“. Facet przysuwa się do mnie znowu i całuje lekko w ucho. Czuję mrowienie w karku.

— Gdybym nie musiał iść do pracy, chciałbym spędzić z tobą cały dzień. W łóżku — szepcze. — Jesteś taki słodziutki, Mały.

Kolana robią mi się miękkie. Nie odsuwam się od niego, ale odwracam głowę.

— A co to za praca? — pytam. — Gdzie pracujesz?

— Eee... — facet odpowiada z wahaniem w głosie. — Nie wiem, czy ci mówić. To znaczy, czy już. To znaczy, jeśli się nie pogniewasz, wolalbym...

Super! Mógłby przynajmniej się postarać i skłamać coś wiarygodnego. A ten się jąka. Zaciskam usta w wąską kre-skę i odtrącam jego ramiona.

— Do widzenia — mówię lodowatym tonem i otwieram drzwi na korytarz.

— Paweł! Zadzwoń, proszę. Dobrze? Zadzwonisz? — wo-ła za mną mężczyzna, ale nawet nie wychodzi na korytarz.

Co z tego, że jest bez gaci? Jakby mi się naprawdę jakiś gostek podobał, wybiegłbym za nim nago nawet na ulicę. Sranie w banię. Nie odpowiadam mu i nie oglądam się za siebie. Mijam windę — nie lubię wind. Docieram do scho-dów i ruszam w dół.

## V

— Przepraszam — brudny, śmierdzący na odległość męż-cyzna podchodzi do nas, gdy stoimy z Janką przy przejściu dla pieszych i czekamy na zielone światło. — Przepraszam, może mogłaby...

— Nie! — przerywa mu Janka podniesionym tonem.

— Nie mamy pieniędzy — wtóruje jej.

— Ale ja tylko...

— Co tylko? Co tylko? — wykrzykuje Janka.

Spoglądam na dziadogę. W ułamku sekundy wszystko w środku przewraca mi się do góry nogami i mam wraże-nie, że zemdleję. Poznają go od razu. Że też akurat z Janką idę, cholera jasna. Może mnie nie pozna?

— Weź się do pracy — mówię głośno. — Pijaku jeden!

Patrzy na mnie bez mrugnięcia okiem. Ma napuchniętą, czerwona twarz i obrzydliwą bliznę na policzku. Prawie cał-kiem już wyłysiał. Jest ostro przepity, ledwo stoi na nogach. Nie poznał mnie, oczywiście. Nic dla mnie nowego, jakby mnie kto pytał. Gnida.

– Nie jestem pijakiem.

– Taaa! Pewnie! I nigdy w życiu alkoholu nie próbowałeś – mrugam porozumiewawczo do Janki, która zaśmiewa się piskliwie.

– Ja chciałem tylko...

Mężczyzna dotyka mojego ramienia. Cofam się dwa kroki i wykrzykuje:

– Spieprzaj, śmierdzący brudasie! Czego mnie obmacujesz? Wykap się, przebierz! Jak ty wyglądasz? Jak ci nie wstyd, człowieku w niedzielę tak wyjść z domu na ulicę?

– Ja... – facet mruży chytrze oczy. – Ja nie mam domu.

– To jest wyłącznie twoja własna zasługa. A zresztą to nie znaczy, że musisz być brudny – mówię.

– Właśnie! – dodaje Janka. – Umyć się można i przy hydrancie. Chodź, Ania, zielone jest.

– Znajdź sobie jakąś pracę i przestań ludzi naciągać. O! – mówię do dziadygi.

Biorę Jankę pod rękę i wchodzimy na pasy. Jesteśmy już w połowie jezdni, kiedy lump zaczyna się wydzierać:

– Ty kurwo stara jedna, żebyś zdechła! Pięć złotych żałuje, stara sucha pizda. Żeby cię pokręciło! A swoje rady to lepiej zostaw dla siebie! Naskocz mi na chuja, ty cipo niedorzębna!!! I wcale nie jestem bezdomny, jakbyś chciała wiedzieć! Słyszysz, frajerko?!

– O, Boże! – mówi Janka. – Chodź szybciej!

– Coś... coś niesłychanego! – oburzenie aż dławi mnie w gardle. – Ty tu takiemu uwagę poświęcasz, radzisz z dobroci serca i to po tym wszystkim, a on cię jeszcze zelży za plecami!

Dochodzimy do krawężnika, dziad nie przestaje się wydzierać. Krew mnie zalewa. Wyszarpuję rękę spod łokcia Janki, staję w miejscu i odwracam się na pięcie. Śmieciarz



stoi przy latarni po drugiej stronie przejścia dla pieszych i podpira się o nią ręką.

— Daj spokój, Ania — Janka szarpie mnie nerwowo za rękaw swetra.

Nie zwracam na nią uwagi. Wpatruję się przymrużonymi oczami w mężczyznę. Przestał się drzeć i patrzy na mnie.

— No i czego się gapisz, kurwo? — krzyczy po chwili.

Pęka we mnie tama. Gdyby nie to, że jest czerwone, od razu bym przeszła na drugą stronę i zrobiła z nim porządek. Dokładnie tak jak wtedy po tej rozmowie w bufecie, kiedy się okazał taką skończoną kanalią. Mocny w gębie, słaby w kłębnie. Biorę się pod boki, zapieram nogami, nabieram tchu i jak nie ryknę:

— Ty dziadu hitlerowski, ubeku jeden!!! Komuchu pierdolony! Zaraz na ciebie policję naśle! Co ty myślisz, że ja cię nie znam? Że cię nie poznałam, wszarzu jeden? W rękę mnie pocałują, jak do nich pójde i powiem, gdzie cię szukać! Gnido jebana, kanalio, że też cię jeszcze szlag nie trafił! Tyłu Bogu ducha winnych ludzi co dzień umiera, a taki śmieć po ziemi ciągle chodzi. Spieprzaj stąd, ubeku! Ale już! Bo jak nie...

Przerywam, bo aż mnie zatchnęło z wściekłości. Mężczyzna wysuwa twarz do przodu, lekko przechyla głowę i przygląda mi się uważnie.

— Ania? — krzyczy wreszcie. — To ty, Aniutek?

Niedobrze. Zerkam na Jankę, która aż wypieków dostała i patrzy raz na lumpa, raz na mnie okrągłymi oczami. Odwracam się szybko i łapię ją za ramię.

— Chodź.

— Kto to? — pyta Janka po chwili.

— Nie wiem.

— Ale po imieniu do ciebie zawołał! Znasz go?

– A skąd ja bym miała znać takiego moczymordę, no co ty! Nie znam go.

– No, ale on po imieniu do ciebie...

– Oj tam, po imieniu. Co drugiej Anna na imię. Przypadek, i tyle. Chodź, bo się spóźnimy.

– No, ale ty mówiłaś do niego, że to ubek. Skąd wiesz, że to ubek?

– A mało to ubeków? Teraz każdy śmieciarz to były ubek. Chodź prędzej.

Przyspieszam kroku i zgodnie z moją nadzieją Janka przestaje mnie wypytywać. Jest za gruba na takie tempo, błyskawicznie traci oddech. Ciągnę ją bezlitośnie za sobą. Ale skończył. Na samym dnie dna. Dzięki ci, Panie Jezu, moje modlitwy zostały wysłuchane! I jak tu można wątpić w istnienie Boga? A co to ma być, jak nie jakiś cud, dowód boskiej sprawiedliwości? Że wielki pan dyrektor, który rządził taką masą ludzi, miał willę na Mokotowie, lancję i każdy urlop spędzał w Bułgarii, teraz wygrzebuje resztki po śmietnikach i prosi mnie – MNIE! – o pięć złotych? On mnie prosi, koń by się uśmieł. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Dam za to dziś na tacę nie dziesięć, ale dwadzieścia złotych. I za to, żeby trzymał się z daleka, żeby go już więcej nie spotkała. Przynajmniej w towarzystwie, sama mogę. Taka Janka na przykład chybaby dostała zawału ze szczęścia, gdyby się dowiedziała, że mężczyzną, który zaczepił nas przy przejściu, był Krzysztof, ojciec Małgosi. Miałaby o czym opowiadać do końca życia.

Docieramy do kościoła dosłownie w ostatniej chwili. Ławki w pierwszych rzędach są już oczywiście zajęte, musimy usiąść z tyłu. Ksiądz Marek wygląda dziś jakoś nieporządnie, zupełnie jak nie on. Wymiętolony taki. Coś mi się wydaje, że się nawet nie ogolił, ale nie widzę dokładnie z tej

odległości. Coś niesłychanego! Widział to kto nieogolonego księdza? Ale kazanie jest piękne. O dobroci dla bliźnich. Wzruszam się, choć nie czuję takiego uniesienia jak zazwyczaj. Pewnie dlatego, że siedzę zbyt daleko od ołtarza.

## VI

Naciągam czapkę głęboko na oczy i maszeruję w górę przez park. Mijam zamkniętą na cztery spusty restaurację Blue Cactus. Po alejkach parku Morskie Oko snuje się tylko kilka staruszek, które wyprowadziły na poranny spacer swoje utuczone, pokraczne małe psy. Taki fajny facet. Żałuję, że wziąłem dropsa od Kaśki, gdybym nie przyćpał, na pewno wszystko byłoby inaczej. Właściwie nie wiem, dlaczego nie dałem mu swojego numeru telefonu. Nie, wiem doskonale. Nic by mi to nie dało, nigdy by do mnie nie zadzwonił. Taki facet jak on i ktoś taki jak ja – to by dopiero była fantastyka. Nawet ja bym w nią nie uwierzył. Jestem potwornie zmęczony.

Wchodzę na moje podwórko i sprawdzam z przyzwyczajenia okno. Moje w porządku. Moherzyca już wylazła. Kiedy jest u siebie, zawsze wietrzy. Wchodzę do klatki schodowej. Śmieci leżą wszędzie – na podeście półpiętra, na schodach. Puszka po piwie dotarła nawet na parter, pod same drzwi wejściowe. Zatrzymuję się i patrzę z niedowierzaniem. Co to jest? Wchodzę ostrożnie po stopniach, na których leżą kawałki papierowych ręczników, opakowanie po kawie, zużyte torebki herbaty, skórki od bananów. Nie rozumiem. Docieram do swoich drzwi. Plastikowy worek ze śmieciami, który wystawiłem wczoraj, jest rozszarpany. Zapomniałem go zanieść do śmietnika. Ale jak to się stało? Dlaczego jest podarty? Kucam przy pobojowisku i oglądam plastik. Nie jest poszarpany, tylko pocięty. To ta kurwa!

Uśmiecham się pod nosem. No i dobrze! Sama sobie naro-  
biła kłopotu. Będzie teraz łaźła po tych śmieciach tak samo  
jak ja. Na pewno tego nie posprzątam! Podnoszę się, wy-  
jmuję klucz z kieszeni dzinsów i dopiero spostrzegam, że po-  
darty worek to tylko przygrywka. Moje drzwi są pocięte,  
poszarpane. Wyglądają jak po ataku wilkołaka, jakiejś dzi-  
kiej bestii, która pazurami usiłowała pokonać przeszkodę,  
za którą schroniła się jej ofiara. Nemesis ścigające Alice w  
*Resident Evil*. Oniemiały stoję przez kilka sekund bez ruchu.  
Nagle wściekłość wybucha we mnie jak bomba. Tego już za  
wiele! Wezwę policję, powinni zamknąć tę wściekłą staru-  
chę, odizolować. Powiesić! Zapłaci mi za to! Trzęsącą się rę-  
ką otwieram zamek, odgarniam stopą śmieci na bok, żeby  
nie wtoczyły mi się do mieszkania. Kopię kubek po kefirze,  
turla się w kierunku wycieraczki tego kurwizsona, zostawia-  
jąc za sobą biały ślad. Wchodzę do mieszkania i trzaskam za  
sobą drzwiami. Idę do dużego pokoju, rzucam po drodze  
czapkę na szafkę pod lustrem, wydaję komórkę. Podcho-  
dzę do okna i wybieram numer policji. Już mam nacisnąć  
zielony klawisz, gdy powolutku zaczynam uświadamiać so-  
bie, do czego to doprowadzi. Po pierwsze, przez pół niedzie-  
li będę się użerał z gliniarzami i składał zeznania. Po drugie,  
ta jebnięta moherzyca zacznie na mnie nadawać. Już widzę  
te spojrzenia policjantów, to, jak się zaczną do mnie odno-  
sić. Już słyszę te komentarze. A w rezultacie i tak nic z tego  
nie wyniknie. Babsztyl nie tylko nie będzie musiał zapłacić  
za moje drzwi, ale kiedy przekona się o swojej bezkarności,  
zacznie mi zatruwać życie na potęgę. Nie! Odkładam ko-  
mórkę na regał. Nic nie mogę zrobić. Wracam do przedpo-  
koju, otwieram drzwi na korytarz i zaczynam przerzucać  
śmieci w stronę mieszkania sąsiadki. Kopię z furją odpad-  
ki, plastik worka. Zaczyna mi być gorąco, włosy przyklejają

się do mokrego czoła. Gdybym wiedział, że mieszka tu ta maniaczka, nigdy nie kupiłbym tego mieszkania. Nigdy! Już bym wolał jakąś kawalerkę w wielkiej płycie, nawet na Ursynowie albo na takim kompletnym zadupiu jak Tarchomin. Wdeptuję śmieci w jej wycieraczkę, rozmazuję po niej kawałki pomidora. Co jeszcze? Staję w lekkim rozkroku przed drzwiami i zaciskam z wściekłością pięści. Dam ci nauczkę! Zawracam na pięcie, biegnę do łazienki i otwieram szafkę nad umywalką. Na górnej półce stoi pojemnik z benzyną do zapalniczek. To będzie dobre — myślę. Zamykam drzwi szafki i widzę swoje odbicie w lustrze. Podniesiona górna warga, zmarszczone brwi, szeroko otwarte oczy. Czerwone placki na policzkach i szyi, strąki włosów przyklejone do czoła. Wyglądam, jakbym oszalał. Jak wściekłe zwierzę. Wypuszczam blaszaną puszkę z ręki. Naczynie z głuchym stukotem odbija się od kranu i spada do umywalki. Opieram się dłońmi o brzeg blatu i pochylam czoło w stronę szklanej tafli. Co jest ze mną nie tak? Dlaczego nic mi się nie udaje? Dlaczego mam takiego cholernego pecha? To był naprawdę fajny facet. Najfajniejszy, z jakim kiedykolwiek miałem coś wspólnego. Dlaczego mnie nie chciał? Dlaczego nikt mnie nie chce? Zaczynam płakać. Mazać się, jakby powiedział mój ojciec.

— No! No i co? Czego się znowu mażesz? — pytam swojego odbicia.

Płacz zmienia się w szloch. Pochylam się bardziej nad umywalką, dotykam wilgotnym czołem lodowatego lustra i ryczę na całego. Łzy ciekną mi po policzkach, czuję ich smak w ustach. Kapią z nosa, z brody prosto do umywalki. No proszę — myślę idiotycznie. — Wypłacę sobie oczy prosto do kanalizacji. Modelowy gej dwudziestego pierwszego stulecia. Mistrz recyklingu.

## VII

– Był nieogolony – zgorzonym tonem wygłasza Janka, gdy wychodzimy z kościoła. – Jak ksiądz może być nieogolony? Ja nawet nigdy nie przypuszczałam, że może mieć zarost! To znaczy... nie myślałam o tym po prostu. Nigdy.

– No wiesz, w końcu ksiądz to mężczyzna – mówię, choć muszę przyznać, że też jestem nieco zszokowana wyglądem naszego duszpasterza.

– Co ty mówisz?! – wykrzykuje Janka. – Jak możesz!

– Ale to przecież prawda.

– Niby tak. Ale to jakieś niewłaściwe. Ksiądz to ksiądz. Żaden mężczyzna.

– Ale kiedyś był – mówię niepewnym tonem.

– Kiedyś? Kiedyś tak. Ale po święceniach już nie.

– Ale... – zaczynam, bo mnie to nurtuje.

– Co ty za temat sobie znalazłaś! – Janka przerywa mi błyskawicznie. – Lepiej nie mówmy o takich rzeczach, bo zaczynam się denerwować.

Biorę ją pod rękę i idziemy przez chwilę w milczeniu. Rozglądam się ukradkiem, czy gdzieś tu nie kręci się jeszcze Krzysztof, ale nie ma go w zasięgu wzroku.

– Dzieciaki dziś przychodzą? – pytam wreszcie pojednawczo.

– Nie – mówi Janka ponuro.

– Nie? W tamtym tygodniu nie byli, dziś też nie?

– Nie.

– A Joasia wróciła?

Janka zaciska usta. Czyli nie wróciła! Dzięki ci, Boże, za twe drobne dary! Przystanie się już teraz chęłpić tym swoim Antusiem Starszym Dupooperatorem w czymś tam. Ze wszystkich sił staram się ukryć satysfakcję i szybko spuszczać wzrok na chodnik.

– Ojku-jej... – mówię pełnym współczucia tonem, ścisnąc delikatnie jej łokieć.

– Daruj sobie, Aneczko! – mówi podniesionym tonem Janka i odtrąca moje ramię. – Doskonale wiesz, o co chodzi! I wiesz, że ja wiem, że tylko czekałaś na taką okazję, żeby triumfować! Bo zawsze byłaś zazdrosna o mojego Antusia! I czekałaś na to, żeby mu się noga powinęła. Ciekawe, ileś na tacę dała w tej intencji!

– Janeczko, ty chyba oszalałaś. To prawda, że czasami trochę mnie irytowałaś, kiedy się tak puszyłaś tym, że on coś tam koryguje w tym jakimś... eee...

– Orange! Nie udawaj, Aneczko, że nie pamiętasz! I nie koryguje, tylko jest Starszym Koordynatorem Produktu. Starszym Koordynatorem! Po prostu żółć cię zalewa, bo ta twoja Małgosia...

– Co moja Małgosia, Janeczko? – pytam powoli ściszym tonem.

– Nieudaczna, i tyle! Stara panna i na dodatek sklepowa. No, co jak co, ale chwalić się to raczej nie ma czym.

– Ach, tak Janeczko? – mówię groźnym tonem. – No, to może ty się teraz pochwalisz, co? Bo jakoś dla mnie rozwodnik, szczególnie po kościelnym, to niewielki powód do chluby.

– Jeszcze nie mają rozwodu!!!

– Jeszcze. Ale popatrz na to inaczej, w końcu się ożenił, choćby i na chwilę. A szanse były mizerne.

– Mizerne? Mizerne? Po prostu szlag cię trafia, że mój Antuś tej twojej krzywonożnej córki nawet kijem tknąć nie chciał, choć żeś już zęby ostrzyła na takiego zięcia.

– Chyba po to, Janeczko, żeby sobie prędnę własną rękę odgryźć, niż nią taki związek pobłogosławić. Zawsze na impotentę wyglądał, ty sprawdź lepiej, czy to jego ten Jasio.

Bo jak na Joaškę popatrzeć, to po oczach widać, że kieckę z każdym chętnie zadrze.

– Do zadzierania kiecki, Aneczko, to raczej twoja Małgosiunia chętna była od najmłodszych lat!

– Każdy drugiego, Janeczko, własną miarą ocenia! – cedzę wolno, choć złość aż mnie trzęsie.

– Tak? Tak? No, ty lepiej Ninki zapytaj, jak to było, bo jej syn ma co nieco na ten temat do powiedzenia! Zepsute jabłko, ot co!

– Ty mi tu o jabłkach lepiej nie mów! Bo wiadomo, że niedaleko od jabłoni padają. A skoro tak, to tylko patrzeć, aż Antkowi dupsko wyrośnie takie, że się ruszyć nie będzie mógł jak i jego mamusia.

– Wolę mieć okrągłe kształty, niż być taką suchą zmarłą jak ty!

– Przynajmniej mogę sama sprawdzić na oko, jakie buty włożyłam na nogi, bo ty swoje to tylko na półce możesz obejrzeć!

– Nie rozmawiam z tobą! – wykrzykuje Janka.

– To nie – odwarkuję zapalczywie. – Będzie tego!

– Sama sobie chodź do kościoła.

– A będę!

– Byle nie do mojego!

– Kościół jest dla każdego, kto w Boga wierzy!

Janka czerwona jak pomidor wpatruje się we mnie błyszczącymi oczami, po czym odwraca się na pięcie i idzie do swojej klatki. Całkiem szybko jak na taką górę sadła, jakby mnie kto pytał. Jeszcze do mnie przyjdiesz – myślę mściwie. – Pożałujesz! Jeszcze mnie będziesz prosiła! I zobaczymy, kto na tym gorzej wyjdzie.

Wchodzę do kamienicy. Śmieci tego zбочerńca są porozwalane po całych schodach. Ale się musiał wściec! Poprawia



mi to humor. Oglądam swoje drzwi uważnie, szukając jakichś uszkodzeń albo pułapki. Nic nie ma. Dziwne. A może coś do niego dotarło? Robię kawę, nakładam sobie sernika. Bardzo mi dobry wyszedł, Janka by się pokroić dała za jeden kawałek. Sama sobie winna. Zmywam i sprawdzam przez judasza, czy posprzątał korytarz. Nie, brudy dalej leżą. Nawet przez wizjer widać, jakie te drzwi pocięte. Hm. Po obiedzie zakładam gumowe rękawiczki, biorę dużą reklamówkę z Tesco i wychodzę na klatkę schodową po zbierać śmieci. Po cichu.

## VIII

— Co się dzieje? — pyta Elżbieta, kiedy rozsiadam się wygodnie na fotelu w jej gabinecie.

Właściwie to nie jest gabinet, po prostu jeden z pokoi w jej ogromnym mieszkaniu na Mariensztacie. Całkiem niezłe musi zarabiać na takich jak ja — metr kwadratowy kosztuje tu jakieś astronomiczne pieniądze. Chociaż nie, pacjentów przyjmuje w domu podobno od niedawna. Nieważne. Czekam, aż skończy zasłaniać okna, zapali świecę zapachową — dziś patchuli — i usiądzie naprzeciw mnie. Zastanawiam się, o czym mówić. Nie dlatego, że brakuje tematów, przeciwnie — jest ich tyle, że nie wiem, co wybrać na te czterdzieści pięć minut. Ile zdążę powiedzieć za swoje sto dwadzieścia złotych?

— Generalnie bardzo dobrze — zaczynam wreszcie. — Poznałem kogoś.

— Aha — mówi Elżbieta, wpatrując się we mnie bez mrugnięcia okiem.

Nigdy nie zapytała w takiej sytuacji „znowu?” i między innymi za to ją lubię. Chociaż niekiedy w naszych rozmowach nie jest do końca obiektywna i czasami mnie ocenia,

co nie jest typowe dla psychoterapeutów. Wiem to, bo zaliczyłem już trzech. Ale ona na samym początku uprzedziła mnie, że ma swoje specyficzne metody terapii — jak to kreśliła — „eklektyczne”. I to mi się właśnie podoba. Mam wrażenie, że rozmawiam z prawdziwym, żywym człowiekiem, który naprawdę jest mną zainteresowany, a nie z jakąś psychoterapeutyczną maszyną. I te nasze spotkania dają mi dużo więcej niż poprzednie terapie, które przerywałem po kilku sesjach.

— Kogo? — pyta.

— Faceta.

— Jak ma na imię?

— Nie wiem.

— Aha. I?

— Nic z tego nie będzie — wzruszam ramionami — ale nie o to chodzi. Postąpiłem tak, jak mówiłaś. Tym razem wziąłem inicjatywę w swoje ręce.

— To znaczy?

— Nie dałem mu swojego numeru telefonu. Zorientowałem się, że mnie spławia, więc nie skomlałem, tylko po prostu wyszedłem. To chyba dobrze? — szukam potwierdzenia, czy zasłużyłem na pochwałę.

— Nie wiem. A jak się z tym czujesz?

— Szkoda mi. To był bardzo fajny facet.

— Wiesz o nim coś więcej poza tym, jak wygląda?

— Jakby... No, nie.

— Więc nie wiesz, czy jest fajny.

— Czuję to.

— Aha.

— Ale przełamałem schemat, jak kazałaś.

— Niczego ci nie kazałam.

— Ale mówiłaś...

– Mówiłam tylko, że jeśli będziesz od początku ustawiał się w relacjach z kochankami na gorszej pozycji, niczego nie zbudujesz. Układ, w którym ty wyłącznie dajesz i jesteś, podczas gdy druga strona bierze i tylko się zjawia, jest niezdrowy. Dla ciebie.

– No, tak. Teraz postąpiłem inaczej.

– Dlaczego?

– Dlatego, że zorientowałem się, że facet po wspólnej nocy chce się mnie pozbyć. Więc skończyłem to pierwszy.

– Skąd wiesz, że kłamał?

– Wiem, to oczywiste. Powiedział, że musi iść do pracy w niedzielę, na ósmą rano. To bzdura.

– Może rzeczywiście musiał.

– Tak. A wcześniej poszedł do Utopii, gdzie spędził niemal całą noc, a potem jeszcze wyrwał sobie chłopaka do łóżka. Nigdy w życiu nie przebalowałbym całej nocy, wiedząc, że bladym świtem muszę iść do pracy. Proszę cię!

– To ty byś tak postąpił. On może mieć inne podejście.

Zaczynam być zły. Przyglądam się Elżbiecie przez chwilę w milczeniu i mówię wreszcie:

– Przecież zrobiłem, jak mówiłaś, a ty mi teraz robisz wodę z mózgu!

Elżbieta wzdycha i zaczyna przyglądać się swoim paznokciom. Poprawia spódnicę i podnosi głowę.

– Chodzi o to, żebyś w swoim życiu postępował tak, jak chcesz ty, a nie, jak chce ktoś. Obojętne, czy będę to ja, czy jakiś facet. Czego chciałeś?

– Kiedy?

– Podczas spotkania z tym mężczyzną poznanym w klubie. Tym, który, jak mówisz, cię splawił.

– Jak to czego chciałem?

– Czego chciałeś tak naprawdę.

– Chciałem spędzić z nim dzień. Poznać się. Pójść na spacer. I do łóżka.

– A chciałeś dać mu swój numer?

– Pewnie, że chciałem!

– Więc dlaczego nie dałeś?

– Bo i tak by nie zadzwonił! Czekałbym tylko jak głupi przez kilka dni, łudził się, wymyślał niestworzone rzeczy, a on i tak by mnie olał!

– Dobrze więc, że nie dałeś mu swojego telefonu. Ale mogłeś wziąć jego numer.

– Wziąłem. To znaczy – on mi go dał.

– Aha. To trochę zmienia postać rzeczy. Myślisz, że dałby ci swój numer, jeśli chciałby cię splawić?

– Nie wiem. Może. Mógł mieć wyrzuty sumienia.

– Ale teraz to ty masz przewagę. Zadzwon i sprawdź.

– Nigdy w życiu! Nie zadzwonię pierwszy. Nie będę się narzucał. Poza tym... – przerywam na moment i zwilżam językiem wargi. – Poza tym on i tak nie był dla mnie. Nie ta półka.

– To znaczy, że byłeś „za dobry” dla niego?

– Nie! – mówię szybko z lekkim zachnięciem. – Odwro... Hm... nie wiem.

– Aha. Jak długo do mnie przychodzisz?

– Co? Mhm... Prawie od pół roku, no przecież wiesz. Mówiłaś, że wcześniej nie prowadziłaś prywatnej praktyki przez kilka lat.

– Prawda. A po co?

– Co po co?

– Po co do mnie przychodzisz?

– No jak to? Żebyś mi pomogła.

– W czym?

– Jak to w czym?

- W czym mam ci pomóc?
- Żeby mi było lepiej! Żebym był szczęśliwy i spokojny! Żebym odnalazł sens!
- W tym możesz pomóc sobie tylko ty sam.
- Gdyby tak było, nie musiałbym do ciebie przychodzić.
- A co mogłoby sprawić, żebyś poczuł się szczęśliwy?
- Przecież wiesz! Chciałbym poznać kogoś, kto pokochałby mnie, a ja jego. Chciałbym z kimś być! To oczywiste.
- I naprawdę uważasz, że drugi człowiek da ci szczęście? Zastanów się. Jak możesz uzależniać sens swojego istnienia od drugiego człowieka?
- Jak to jak?
- Każdy człowiek idzie przez życie sam. Ważne, żeby właściwie wybierać własne drogi i wiedzieć, dokąd prowadzą. Nie możesz iść ścieżką należącą do kogoś innego. Zgubisz się. A raczej – zgubisz siebie.
- Nie rozumiem. Przecież ludzie wiążą się ze sobą, idą przez życie razem. Taki jest cel każdego.
- Nie. Jeśli pojawi się ktoś, kto będzie chciał iść przy tobie, a ty przy nim, wtedy wasze drogi mogą biec równolegle przez jakiś czas. Niekiedy nawet długi. Ale ostatecznie można polegać tylko na sobie.
- Polegam na sobie. Rany!
- Naprawdę? Gdyby tak było, nie potrzebowałbyś innych, żeby mówili ci, czy robisz coś dobrze, czy źle. A przede wszystkim – żeby mówili ci, że jesteś coś wart, że jesteś fajny. Byłbyś pewny siebie.
- Jestem pewny siebie! Mam dobrą pracę, dużo zarabiam. Mam swoje mieszkanie. I jestem przystojny.
- Dobrze! To są twoje atuty, zresztą bardzo silne. Dlaczego w takim razie pozwalasz, żeby inni decydowali za ciebie? Dlaczego nie bierzesz sobie tego, na co masz ochotę?

– To nieprawda! Jeśli podoba mi się jakiś facet, którego widzę w klubie, podchodzę do niego. Tak jak tamten Łukasz. To ja go poderwałem w darkroomie. Działałem! On tylko czekał.

– On tylko pozwolił, żebyś mu zrobił dobrze. To ty znalazłeś się na kolanach. Wcale nie miałeś przewagi.

– Ale teraz to ten drugi podszedł do mnie! To on się mną zainteresował!

– Tak. A ty uznałeś, że jest dla ciebie za dobry. Że jest z wyższej półki. I stchórzyłeś.

O co jej chodzi? Kurczę, przychodzę tu przecież, żeby poczuć się lepiej, a ona sprawia, że każda najdrobniejsza rzecz, która wydaje mi się istotna, traci znaczenie. Zawsze wykręca kota ogonem.

– Nie wiem, o co ci chodzi! Twoim zdaniem wszystko robię źle!

– Moje zdanie nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne jest twoje zdanie i to, jak postępujesz. Podporządkowujesz całe swoje życie zdobyciu wymyślanego superidealnego chłopaka, a jednocześnie niweczysz każdą szansę, która się pojawia. Od pierwszej chwili, gdy tylko kogoś poznasz, ustawiasz się na straconej pozycji. Pozwalasz się wykorzystać seksualnie, zanim jeszcze poznasz czyjeś imię. Pozwalasz, żeby inni traktowali cię, jak chcą oni, a nie – jak chcesz ty. Nie oczekuj, że ktoś będzie cię szanował, jeśli nie szanujesz sam siebie. Ilu było tych potencjalnych wspaniałych partnerów podczas tego pół roku, od kiedy do mnie przychodzisz?

– Nie wiem. Kilku.

– A ja wiem. Dwunastu, liczyłam dokładnie. Poznawałeś ich, szliście do łóżka, a ty przybiegałeś do mnie na drugi dzień jak na skrzydłach, piejąc peany na ich cześć. I za

każdym razem słyszałam: „On jest inny, z nim będzie inaczej”. Z iloma z nich spotkałeś się więcej niż raz?

– Z kilkoma. Nie wiem, nie pamiętam.

– Z trzema. Z Darkiem widziałeś się najwięcej razy. Dzwonił do ciebie, kiedy miał ochotę na seks, przyjeżdżał, szliście do łóżka, a potem wychodził. Ty nie mogłeś do niego nawet wysłać SMS-a, nie mówiąc o telefonie, bo mieszkał z rodzicami i swoją dziewczyną. Mogłeś tylko czekać, aż sobie ciebie weźmie. Robiłeś mu prezenty, na które nie było cię stać, i warowałaś przy telefonie przez trzy tygodnie.

– To był dupek.

– Był jeszcze Piotrek. Ten, który lubił skóry. Kupiłeś sobie jakieś skórzane akcesoria nabijane ćwiekami specjalnie dla niego. Co to było? Obroża? Nie pamiętam.

– O Jezu...

– Spotykałeś się z nim w południe, bo miał czas tylko w przerwie na lunch. Ponieważ był w związku. Dwa razy nie pozwolił ci się nawet odezwać w trakcie spotkania, bo lubił anonimowy seks. A raz cię związał i zakneblował. Skarpetkami.

– Zgodziłem się!

– Wiem. Ale nie sprawiło ci to przyjemności, prawda?

– No, nie lubię takich klimatów. Ale on...

– On lubi. I realizuje swoje upodobania, nie licząc się z nikim. Z tobą też się nie liczył.

– Mówił mi...

– O, na pewno! Na pewno mówił ci różne miłe rzeczy. Ale nie dlatego, że chciał ci sprawić przyjemność. Chciał ją sprawić sobie, a mówienie czułych rzeczy było drogą do celu. Do jego celu. A potem był ten siedemnastolatek. Adrian. Ten, który pozwalał ci tylko, żebyś mu zrobił dobrze oralnie, a sam nawet nie chciał cię pocałować.

– Nie lubił całowania.

– Ale ty lubisz. Jednak zrezygnowałaś z tego, żeby sprawić mu przyjemność. Postępowałaś tak, jak chce druga strona. I rezygnowałaś z siebie.

– To się nazywa kompromis! – wykrzykuje ze złością.

– Kompromis to spotkanie na moście, a nie na jednym z brzegów rzeki, która dzieli obie strony. Ci mężczyźni używali cię tylko, a potem szli dalej swoją drogą.

– Nieprawda! Kochali się ze mną. To znaczy, że im na mnie zależało.

– Utożsamiasz seks z uczuciem. Większość – ogromna większość – mężczyzn robi i myśli inaczej. I w tym leży twój największy problem. Dla większości mężczyzn to tylko fizjologia. Tak jak defekacja. Załatwiają sprawę, i tyle. Dla ciebie jest to jednoznaczne z zaangażowaniem. I to jest cenne – to, że tak czujesz. Ale tylko wtedy, jeżeli będziesz szanował sam siebie i nie roztrwonisz siebie, nie rozmienisz. Jeżeli każdą relację zaczniesz od seksu i na nim ją będziesz opierał, nie stworzysz nic wartościowego i stałego. Spróbuj raz czy drugi nie zaczynać wszystkiego od łóżka. Pozwól, aby ktoś zaczął cię zdobywać, walczyć o ciebie. Aby ktoś czuł, że musi zasłużyć na to, by cię mieć. Żeby pomyślał, że to właśnie ty jesteś z tej wyższej półki i że musi sprostać wyzwaniu. To tylko podniesie twoją wartość w cudzych oczach. Coś, co jest trudne do zdobycia, jest dużo bardziej szanowane i cenione niż to, co samo przychodzi bez wysiłku.

– Nie wiem, jak mam to zrobić.

– Na początek możesz zadzwonić do tego chłopaka, który dał ci swój numer telefonu.

– Przecież wtedy znowu to ja będę się starał!

– Nie. Dasz mu tylko sygnał. Na razie masz przewagę – ty masz jego numer, on nie ma twojego. Zadzwoni i sprawdź,



jak zareaguje. Jeśli zaproponuje spotkanie, możesz się zgodzić, ale na twoich warunkach. I może warto byłoby spotkać się gdzieś w mieście, a nie u ciebie czy u niego. Nie zaczynaj znowu od seksu.

– Mogę tego nie proponować. Ale jeśli on będzie chciał, to przecież będzie znaczyło, że mnie pragnie. Że zależy mu na mnie.

– Nie. To będzie tylko znaczyło, że ma ochotę na twoje ciało. Albo że chce sobie ulżyć. Nie utożsamiaj czyjś apetytu na twoje ciało z fascynacją tobą jako człowiekiem. A swoją drogą – mam nadzieję, że pamiętasz, żeby się zabezpieczać?

– Pewnie – kłamię gładko.

Nie mam pojęcia, co się tam działo, ale na pewno jej nie powiem, że mi się urwał film. Elżbieta spogląda na zegarek. Zostało mi jeszcze prawie dziesięć minut, chyba nie skończy przed czasem? W końcu zapłaciłem za całe czterdzieści pięć minut! Sprawdza coś w notatkach, przewraca jedną kartkę, po czym odkłada zeszyt na stolik.

– Ważne jest, żebyśmy zrozumieli, z czego wynika u ciebie ten mechanizm. Dlaczego pożądanie, jakie okazuje ci jakiś mężczyzna, jest dla ciebie jednoznaczne z okazywaniem przez niego uczucia?

– Nie wiem – wzruszam ramionami.

– To istotne. Jeżeli znajdziemy genezę, będziemy mogli pokonać problem.

– Nie wiem – powtarzam. Sprawdzam zegarek, zaraz i tak koniec.

– Dlaczego nie chcesz rozmawiać o swoich rodzicach?

– pyta Elżbieta.

– Nie ma o czym. Prawie nie pamiętam matki. Wyjechała, kiedy miałem niecałe siedem lat.

– Człowiek w tym wieku może bardzo dużo zapamiętać.  
A twój ojciec? To on cię wychował.

– Czas się kończy – odpowiadam.

– Jeszcze nie. Zostało ponad dziesięć minut.

– Muszę jechać do pracy.

– Twój ojciec...

– Nie!

– Dlaczego?

– Bo nie!

– Tak odpowiadają dzieci.

– Więc widocznie jestem dziecinny! Jeszcze jedna, kolejna beznadziejna cecha mojej beznadziejnej osoby.

– Paweł, nie jesteś beznadziejny – wzdycha Elżbieta. Pochyliła się nad stolikiem i zdmuchuje płomień świeczki.

– Dobrze. Jeśli chcesz, możemy skończyć na dziś. Do zobaczenia za tydzień.

Biorę od niej receptę na mianserin, bo już mi się kończy. Nie lubię tego lekarstwa, mam wrażenie, że zupełnie nie działa. Wcale nie czuję się po nim lepiej.

## IX

Od czterech dni mam potworną obstrukcję. Nic nie pomaga. Jestem pełna, tak pełna, że chyba pękne. Jak jeden z pierożków mojej mamusi. Potrafiła w jeden mały kwadracik ciasta zawinąć czubatą łyżkę mięsa. Oj, niedobrze, że o tym pomyślałam. Najlepiej nie myśleć, zapomnieć. Jak Bóg da, przyjdzie chwila ulgi. Przełączam na jedynekowe wiadomości. Unia! Znowu o Unii, czy naprawdę nic ciekawego w kraju się nie dzieje? Bez przerwy o tej Unii – wolno to, nie wolno tego. Co nam będą obcy mówili, co nam wolno, a czego nie w naszej własnej ojczyźnie! Polskę sprzedały komuchy jedne. Niedługo to się człowiek wysrać nie będzie

mógł bez zgody Unii! O, Jezusie, co mi się stało? Jak żyję podobnego zatwardzenia nie miałam. Rozerwie mnie chyba, czy co. No i znowu o pedałach mówią! Po prostu człowiekowi żyć się odechciewa. Nie wiem, w tej Unii chyba same pedały żyją, bez przerwy o pedałach trąbią. No, ale co chcesz, zagranica. Boga w sercu nie mają. Dla mnie w ogóle to wszystko mocno podejrzone. Jak można ufać komuś, kto mówi w obcym języku? Skoro nawet jego słów człowiek nie zrozumie, to co dopiero tego, co w głowie. Śluby! Koniec świata, chłop z chłopem do ołtarza idzie. Sodoma i gomora, dokładnie jak zapisano. Nadchodzi koniec świata, nie oszukujmy się. Znaki są jasne. Wszystko nie tak, kiedyś coś podobnego byłoby nie do pomyślenia. I pogoda jakaś normalna była – w zimie śnieg, latem słońce. A teraz co? Ni pies, ni wydra, co to za zima była w tym roku? Nie wiem, czy śnieg poleżał z tydzień. Wszystko się na gorsze obraca. O święty Boże! Pocałowali się! No, że coś takiego w telewizji puszczają! Kiedyś to była telewizja. *Kapitan Kloss*, *Czterej pancerni*. To była telewizja! Coś normalnego przynajmniej. A teraz pokazują, jak dwóch chłopów w garniturach ślub bierze. I po co im ten ślub? Papier im potrzebny, żeby jeden drugiemu fiuta w dupę wsadzał. O, Boże, co mi się porobiło, no po prostu jakby mnie kto zaszył. Rozsadzi mnie, czuję. Niepotrzebnie o tych pierożkach mamusi pomyślałam, teraz ciągle mam je przed oczami. Oj! Siedzę przez moment jak skamieniała, po czym rzucaam pilota i kłusem pędzę do toalety. Podnoszę spódnicę, przytrzymuję ją brodą, ściągam rajstopy i matki. Szybciej! Bach – siadam na desce. Panie Jezu, daj mi siłę! Napinam się z całej siły, oczy prawie mi na wierzch wychodzą, krew do głowy idzie. I jeszcze raz! Ojczy nasz, któryś jest w niebie, przyjdź... PRZYJDŹ!!! I nic. Łapię powietrze jak ryba

wyrzucona na piasek, gorąco mi, serce wali jak młotem, a tu nic. Jakby kto beczkę zaszpunktował. Co ze mną będzie? Ja nie wiem, jak mnie nie odetka do jutra, to chyba do doktora pójde. Strach pomyśleć, co tam we mnie jest, nawet wolę sobie nie przypominać, co jadłam. I ile. To na pewno przez tę ogórki małosolne, wiedziałam, że tak będzie. Pół kamionki zjadłam, złe podkusiło jak nic. Głowa mnie rozboleła przez to całe napinanie, jeszcze wylewu dostanę. To by dopiero było nieszczęście.

Podciągam majtki i rajstopy, zamykam pokrywę sedesu i z przyzwyczajenia spuszczam wodę. A wodomierz bije. Kiedy wracam do pokoju, akurat leci pogoda. Siadam. No, pokazże w końcu, krowo jedna, ile u nas będzie stopni... Jak ona jest ubrana, wszystko wymiętolone. I cały czas głądzi o tym, jaka pogoda w Europie. Co mnie obchodzi na Boga, że deszcz w Hiszpanii spadnie? A ile będzie stopni u nas w Warszawie? W dupie mam Hiszpanię! Oj, niedobrze, że o tym pomyślałam. Co mnie się porobiło, na rany Chrystusa? Jak żyję czegoś takiego nie miałam! Piąty dzień idzie. Koniec świata. I Małgosia nie dzwoni. Nie wiem, co się z nią dzieje. Zadzwońię jutro. A jak nie odbierze, zadzwonię do Galerii. Na co jej ta praca w ogóle, ile ona tam zarobi? Tysiąc? No, może i więcej. Ale same szkody z tego. Niepotrzebnie się zgodziłam, żeby tam poszła. Córka powinna być przy matce, zanim za mąż nie wyjdzie. Po to się tak mordowałam, po to ją rodziłam, karmiłam i chowałam, żeby się teraz ode mnie odwracała i na złą drogę szła? Siedem godzin ze mnie wychodziła, cud, że żyję. Dziewięć miesięcy ją pod sercem nosiłam, a ona jeszcze ze mnie wyjść nie chciała. O, Boże jedyny, Matko Przenajświętsza, co mnie się porobiło? Nie do pomyślenia, żeby to się tak człowiek wysrać nie mógł tyle dni!

X

– Mamy nowy produkt! – oznajmia Arek, nasz kreatywny, wchodząc do studia.

– O! – Łusia odrywa się od monitora, na którym przeglądamy razem nowe aukcje na Allegro.

Łuska jest moim dyrektorem artystycznym, tworzymy team. Już od całych czterech lat. Lubię z nią pracować, bo jest szybka, zawsze spokojna i ma angielskie poczucie humoru – nigdy nie wiadomo, co ją rozśmieszy, ale kiedy już zacznie chichotać, nie sposób jej nie wtórować. Nie znam nikogo, kto miałby równie zaraźliwy śmiech. Łuska ma chłopaka Kazika, z którym toczy bezustannie niekończące się wojny – rozstają się regularnie przynajmniej raz na dwa tygodnie. Mam wrażenie, że głównie po to, aby móc się zaraz pogodzić – nie później niż po trzech dniach. Poza Kazikiem Łusia lubi stare polskie filmy muzyczne z Polą Raksą i Elżbietą Czyżewską, design z lat siedemdziesiątych oraz Nicka Cave’a i Ninę Hagen. Jest bardzo eklektyczna. Spogląda przez ramię na Arka i pyta:

– Jaki produkt? Mam nadzieję, że nie tampony.

– Nie tym razem.

– Bo ja już mam dosyć tamponów. „Zaprojektowane przez kobietę ginekologa”, blech... Jakby ginekolog nie mógł sam tych tamponów zaprojektować, tylko się musiał swoją kobietą wysługiwać.

– Ale to nie o to... – Arek przerywa i mówi: – To nie są tampony. Jogurt.

– Jogurt? O matko, znowu... – wzdycham. – I co ten jogurt? Uodparnia na raka? Czy na katar?

– Reguluje.

– Co reguluje?

– Trawienie.

– Aha – Łusia marszczy brwi i deklamuje uroczyście po krótkiej chwili: – Pijąc jogurt zamiast soka, co dzień klocek w mgnieniu oka. Już.

– Łuska – ganię ją przesadnie surowym tonem – to ja jestem copywrighterem! Ale hasło dobre.

– Bardzo śmieszne – Arek przysuwa krzesło do naszych biurek i siada, eksponując nowe buty.

– Nieźle laczki – mówię, pokazując je brodą.

– Pумы. Najnowsza kolekcja. Jeszcze ich u nas nie ma.

Arek z reguły ma coś, czego jeszcze u nas nie można dostać. Podejrzewam, że popołudnia spędza w internecie na wyszukiwaniu najgorętszych nowinek. Najnowszy model PlayStation, najnowsze dżinsy Levis'a, sylikonowe bransoletki (w swoim czasie), które zaczynały być modne w Stanach, a nikt jeszcze nie nosił ich w Europie. To taki szczególny rodzaj snobizmu – mało ostentacyjny, niewulgarny, niesłychanie czasochłonny w realizacji. Wymaga bezustannego śledzenia trendów i regularnego czytania modnych pism shoppingowych. To samo odnosi się do zainteresowań – Arek kupuje tylko te płyty, o których ktoś istotny powiedział, że są dobre, czyta tylko takie książki, które dostały się na zachodnie listy bestsellerów, zanim jeszcze trafiły na nasze, i chodzi na filmy, o których wiadomo, że będą przebojami, zanim jeszcze się nimi stały. Trudno powiedzieć, czy ma własny gust, ponieważ opinie, które wygłasza, są opiniami zasłyszаныmi lub przeczytanymi w liczących się magazynach. Jest inteligentny, więc cytuje je trafnie, niemniej bez specjalnego zrozumienia. Choć zdecydowanie stać go na własne sądy i niezależne opinie, nie ryzykuje – być może z braku czasu na przemyślenia, ale raczej z lęku przed popełnieniem błędu i omsknięcia się z piedestału idealnego, metroseksualnego lidera. Zanim wybierze się do empiku, czyta

recenzje, podkreśla odpowiednie fragmenty, które zapamiętuje i według nich sporządza listy zakupów. Jeśli akurat modne jest chodzenie do opery, Arek będzie tam co tydzień, choć opery nie lubi i nie czuje. Jeśli z mody pomалу wychodzi jedzenie w indyjskich knajpach, Arek przestaje się w nich pojawiać, zanim reszta trendowców połapie się, że zaczynają być *passé*. Raz w miesiącu bywa w Utopii, codziennie na siłowni. Nie jada mięsa, wyłącznie warzywa i preparaty białkowe. Mieszkanie ma urządzone w klimacie *art déco*, większość mebli jest oryginalna, starannie odnowiona i wypieszczona. Generalnie każdy najdrobniejszy element jego istnienia obliczony jest na pokaz, wliczając partnerów. Każdy kolejny facet Arka jest młody, przystojny i „interesujący”. Zawsze na poziomie — to warunek, choć Arek raczej nie przejawia zbytniego zainteresowania osobowością czy walorami intelektualnymi danego gościa. Za to partner musi interesować się osobowością Arka — dlatego ten poziom jest wymagany. No i oczywiście dlatego, żeby partnera można było prezentować w towarzystwie. Związki, które tworzy Arek, trwają od dwóch tygodni do dwóch lat. Przerywa je, gdy zaczynają robić się nudne, rutynowe lub po prostu, gdy wymagają zbyt dużo wysiłku. Lub gdy partner zaangażuje się na tyle, że związek robi się poważny i trwały, a w powietrzu pojawia się groźba, że być może nie ma widoków na kolejny, ciekawszy i bardziej spektakularny romans. Partnerzy Arka pojawiają się w jego życiu na jego warunkach — mieszkają u niego w domu i dostają swoją półkę w jego szafie, ale żaden z elementów Arkowego życia nie ulega istotnej zmianie wraz z pojawieniem się kolejnego faceta. A gdy po pewnym czasie facet nieuchronnie znika, wszystko pozostaje tak, jak było wcześniej. W odzyskane nieduże puste miejsce może wskoczyć następny delikwent.

Arek rozpaczliwie stara się kontrolować każdy aspekt swojego życia, wmawia sobie i wszystkim dookoła, że jest niezależny, samowystarczalny, doskonale zorganizowany. Ale nie pamiętam, żebym widział go kiedyś naprawdę szczęśliwego. Przeciwnie! Pomimo całej tej perfekcji — ułożonego co do milimetra każdego kosmyka włosów, wypielegnowanej opalenizny, zadbanego, żurnalowego mieszkania — Arek pozostaje bez przerwy w stanie cichej, przyczajonej depresji. Liczy upływające dni i lata, a kolejne urodziny przyjmuje jak wyrok. Panicznie boi się starości, tego, że z każdym rokiem będzie mniej atrakcyjny, że dostępna mu pula mężczyzn będzie malała, a wybór będzie coraz skromniejszy. Śmiertelnym lękiem napełnia go świadomość, że czas w końcu nieubłagane przesunie go z centralnego punktu towarzyskiej sceny na obrzeża, a w końcu — za kulis. Bo tak naprawdę Arek nie ma niczego innego w życiu, czego mógłby się przytrzymać, na czym mógłby oprzeć swoje poczucie wartości, poczucie sensu i celu istnienia. Jedyne, co się dla niego liczy, to odbicie w oczach innych — pełne podziwu lustra obcych oczu, w których może się przeglądać i które potwierdzają, że jest wspaniały. Grono jego przyjaciół składa się wyłącznie z osób oryginalnych i Arkowi oddanych — takich, które warto zaprosić na każde przyjęcie, bo wzbudzą zainteresowanie, ale jednocześnie nie będą bezpośrednią konkurencją dla Arka. Wśród jego znajomych pojawiają się też osoby, których na przyjęcie zaprosić nie warto, ale bywają użyteczne — tak zwane nie najostrejsze noże w szufladzie. Przydają się choćby po to, żeby zawieźć go gdzieś, gdzie zapagnie się znaleźć; pożyczyć samochód, gdy będzie tego potrzebował; wytrzasnąć spod ziemi elektryczną dmuchawę do wysuszenia wypranego dywanu lub przywieźć zakupy z hipermarketu budowlanego i wtaszczyć



je do mieszkania. Arek nie rewanżuje się za podobne usługi. Przyjmuje je jako coś oczywistego, a godziwą — z jego punktu widzenia — zapłatą dla usługodawcy jest możliwość skapania się w blasku króla miejskiej dżungli. Ja przez pewien czas dostępowałem zaszczytu satelitowania w kręgu jego kumpli, ale zdaje się, że nie spełniłem oczekiwań — być może okazałem się zbyt mało interesujący, a może zbyt mało pomocny i użyteczny. Koniec końców zostałem z tego grona wyeliminowany.

Oczywiście podziwiam Arka i naśladowę — od czasu do czasu — bo generalnie jestem zbyt leniwy i nie zależy mi na tym aż tak bardzo.

W pracy Arek jest dobry, pomimo że jej nie lubi. Jedyny problem, że nie do końca potrafi nam jasno przekazać swoją wizję. Efekt jest taki, że z Łušką przygotowujemy czasami po kilkadziesiąt propozycji krańcowo różnych szkiców kampanii reklamowych, próbując trafić w to, czego oczekuje nasz szef. A gdy nam się w końcu udaje, przystępujemy do kolejnej serii prób, by zadowolić klienta. Przeczyszczający jogurt będzie trudnym wyzwaniem, już to czuję.

— To musi być... — zaczyna z namysłem Arek. — To musi być coś nieoczywistego. Eleganckiego. Ten produkt skierowany jest do kobiet. Później wam prześlę badania rynkowe i dokładne określenie targetu. Generalnie mamy stworzyć wrażenie, że jest to coś, co poprawia życie, dzięki czemu staje się ono przyjemniejsze, bardziej uporządkowane. Fakt, że ten jogurt reguluje sranie, jest oczywiście najważniejszy, ale nie można tego powiedzieć dosłownie.

— Może coś o lekkości? Kobieta motyl?

— Dobrze, dobrze — mruczy Arek. — Ale bardziej coś w stronę: panujesz nad swoim życiem, kontrolujesz je, jesteś szczęśliwą, zadbaną kobietą sukcesu. Coś w tę stronę...

– Mamy stworzyć takie wrażenie, chcąc sprzedać coś, co reguluje wypróżnienia? Trochę przesada, nie? – pytam poważającym tonem.

– Coś ty! – Łuśka robi wielkie oczy. – To naprawdę jest wielki problem dla wielu bab! Żyjemy w społeczeństwie, które nie akceptuje fizjologii kobiety, tylko jej fizyczność. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie blokady u dziewczyn wywołuje taki wpajany od lat wizerunek seksaniola, którego pochwa i odbyt służą wyłącznie do seksu, a oprawa tych skarbów dla ozdoby. Nic dziwnego, że większość bab ma zaparcia, skoro czają się pod kiblem całymi dniami i załatwiają tylko wtedy, gdy mają stuprocentową pewność, że nikt się nie zorientuje.

– Chyba przesadzasz – mruczę.

– Wcale nie – potwierdza energicznie Arek. – Badania dowodzą, że większość kobiet ma zaparcia. I to na tle psychicznym.

– Tak? A ty, Łuśka – pytam – też masz ten problem?

– Nie – Łuśka prostuje się na krześle z godnością. – Nie mam. Ja nie żyję ze ściśniętą dupą.

## XI

Nie zadzwoniła. Nawet nie zadzwoniła! Już ponad tydzień. Co się dzieje z tym dzieckiem? Ostatni raz ją widziałam... zaraz... Sześć tygodni temu! Ponad sześć tygodni. Wpadła jak po ogień, zabrała coś z kredensu w kuchni, w którym została mizerna reszta jej rzeczy, posiedziała z pięć minut i poszła. Nawet herbaty nie chciała wypić. I taka obca jakaś była, zupełnie jak nie ona. Wymalowana, w spodniach. I taka szczupła, prawie chuda. To dziecko nigdy nie było chude, gdy ze mną mieszkała, zawsze była jak ten pączek, już ja o to dbałam. A teraz co? Sucha tyka.

Podchodzę do okna i wyglądam na podwórko. Dwóch śmieciarzy ciągnie kontener w kierunku bramy, przy trzepaku banda wyrostków. Przesiadują tu całymi dniami, narkomani z nich wyrosną jak nic. Gdzie ich matki, ja się pytam? Boże święty, co ja mam zrobić z tą dziewczyną? Trudna rada, trzeba działać.

Odwracam się od okna i podchodzę do regału. Gdzieś tu miałam numer... Jest! Biorę kartkę i siadam przy telefonie. Najważniejsze to ta praca! Gdyby nie praca, nie odwróciła by się ode mnie. Przewrócili jej tam w głowie, ot co. Zakładam okulary do czytania, podnoszę słuchawkę i wykręcam numer Galerii Centrum. Włącza się automat. Jeśli chcesz się połączyć... wybierz numer. Nic nie będę wybierała! Czekam twardo, aż się zgłosi człowiek.

– Z kierowniczką chciałam – mówię niskim głosem.

– Z którą kierowniczką?

Nie wiem z którą. Ile oni tam mają kierowniczek?

– Z główną.

– A w jakiej sprawie?

– Reklamację chciałam złożyć.

– Proszę przynieść towar i zgłosić się na stoisko, w którym go pani kupiła.

– Ale ja nie w sprawie towaru, tylko obsługi.

– Jaki dział?

– Damski w Sawie. Na pierwszym piętrze.

– Tam jest kilka działów – wzdycha kobieta. – Który dokładnie?

– Bielizna.

– Łączę.

Coś pyka i w słuchawce słychać muzykę. Gra i gra, a impulsy lecą! Czekam.

– Halo – odzywa się jakaś następna baba.

- Chciałam złożyć reklamację – zaczynam bez wstępów.
- Na obsługę.
- Jaki dział?
- Bielizna damska! – wykrzykuję.
- Słucham.
- Pani jest kierowniczką? – pytam.
- Tak jakby.
- Na pewno?
- Tak. O co chodzi?
- Czuję się w obowiązku poinformować panią – recytuję ściszym głosem – że dopiero co robiłam u państwa zakupy.
- Dopiero co?
- Tak.
- To znaczy kiedy?
- Muszę poinformować panią... – ignoruję ją, bo nie wiem, kiedy mogłam robić te zakupy, lepiej nie wchodzić w szczegóły. – Czuję się w obowiązku poinformować, że jedna z ekspedientek, Małgorzata Lewandowska, zachowała się wobec mnie wyjątkowo niegrzecznie.
- Niegrzecznie?
- Wyjątkowo! Ale nie dość tego! Kiedy odchodziłam, zaobserwowałam, że ta pani, e... – co też ona mogła robić? – ...że ta pani wyjmuje z kasy pieniądze i chowa je do kieszeni! Że kradnie!
- Aha – mówi po chwili kobieta. – Z kasy?
- No tak! Z kasy! Moja osoba skłonna by była zaakceptować przeprosiny, ale sama pani widzi, że ta dziewczyna nie może...
- Proszę poczekać.
- Czekam. Po chwili kobieta wraca do słuchawki.
- Pani Anna Lewandowska? – pyta.

Skąd ona zna moje nazwisko? Nie przedstawiałam się! Przyciskam słuchawkę do ucha i milczę.

– Halo, jest tam pani? Małgosia uprzedzała, że może pani robić takie numery, ale szczerze mówiąc, jej nie wierzyłam. Żeby rodzona matka... Halo?

Rzucam słuchawkę na widełki, jakby mnie oparzyła. Uprzedzała! Boże, to dziecko serca nie ma! O własnej matce takie rzeczy opowiada obcym! Co się z nią porobiło! I jaka chytra, kiedyś by taka chytra nie była. Kiedyś... Raz mi się prawie wymknęła, ile to ona miała lat wtedy? Siedemnaście może, a może jeszcze nie. To było w dziewięćdziesiątym pierwszy, jak dziś pamiętam, wiosna taka późna była. Zaraz przed Wielkanocą się zaczęła z tym Ninkowym Januszem prowadzać. Ze szkoły – razem, po szkole – razem. Jeszcze pracowałam na Siennej, pamiętam. Wieczorami mi zaczęła z domu znikać, pyskata się zrobiła. I w kółko Janusz to, Janusz tamto. Jak ich w końcu przyłapałam na klatce schodowej, to już prawie za późno było! Nogi się pode mną ugięły, gdy ich tam po ciemku zobaczyłam. Odskoczyła od Janusza, jakby ją prąd popieścił. Najpierw się zmieszała, ale po chwili hardo mi popatrzyła w oczy i mówi:

– A co ty, mam, tak wcześniej dzisiaj?

Wcześniej! Pan Bóg mnie strzegł wtedy, że awantury nie zrobiłam. Policzyłam w myślach do pięciu, odetchnęłam głęboko i mówię wesoło:

– A to was mam! Dobry wieczór, Januszku! Nie zasiedź mi się tu tylko, Małgosiu, kolacja zaraz.

Tak powiedziałam. Jakby nigdy nic. Oczy zrobili oboje okrągłe i nawet się nie odezwali, a ja ich tylko minęłam i poszłam na górę. Jakby nigdy nic, tyle że mi prawie tchu zabrakło. Jak już weszłam do mieszkania i drzwi za sobą zamknęłam, to się aż na ścianę zatoczyłam, tak mi się z nerw

w głowie kołowało. Ale wiedziałam dobrze, że jakbym krzyki zaczęła, toby tylko gorzej było, boby się oboje zapiekli i żeby mi na złość zrobić, toby się dalej razem prowadzali. I raz dwa by z tego nieszczęście było. Gdzie tam ten Janusz dla mojej Małgosi? Niewydarzony taki, widać, że raz dwa ły sieć zacznie, a poza tym co to za mąż po technikum? Co by on za przyszłość jej zapewnił? Ale nic nie powiedziałam, Małgosia do domu przyszła, kolację na stole postawiłam i coś tam plotłam o pracy. Jakby nigdy nic. A ona się we mnie wpatrywała jak cielę w malowane wrota. Całą noc potem nie spałam i sobie układałam, co zrobić. A na drugi dzień z pracy zadzwoniłam do Ninki — jeszcze jej nie znałam wtedy dobrze. Pracowała jako księgowa w restauracji Jaś i Małgosia. Przedstawiłam się i mówię, że bym się spotkać chciała, bo dobrze by było, żebyśmy się poznały, skoro nasze dzieci tak się ku sobie mają. Bardzo miła byłam i spokojna, choć mnie to dużo kosztowało. Ninka trochę się zdziwiła, ale mówi, że chętnie się spotka. No to ja mówię, że po co to czekać, najlepiej zaraz. Sama wtedy na bufecie byłam, powiesiłam więc kartkę, że remanent, wsiałam w tramwaj i raz dwa się u niej w Jasiu i Małgosi znalazłam. Ile mi ta rozmowa zajęła wtedy? Godzinę, może nawet nie tyle. Bardzo mi to dobrze poszło. Nic nie mówiłam na Janusza złego, wręcz przeciwnie. Pod niebiosa go wychwalałam, że to taki skarb się znalazł dla Małgosi, bo z nią same kłopoty, a tak to się może wreszcie naprostuje i na ludzi przy Januszu wyjdzie. Takie dyrdymały plotłam, a ta wszystko łykała. No, bo która matka się nie połaszczy na słodkie słowa o jej dziecku. Podkreśliłam parę razy te moje kłopoty z Małgosią, ale i tak już się prawie bałam, że mnie nie zapyta. Ale zapytała. No to mówię, że nie wiem, czy powinnam o tym opowiadać, bo to takie trudne rzeczy, a przy tym, żeby

o mojej Małgosi złej opinii nie nabrała. Ona oczywiście od razu powiedziała, że nie nabierze i że jej mogę w pełni zaufać. No bo i co miała innego powiedzieć? Sama bym tak powiedziała. Na to ja się rozplakałam jak na zawołanie – trudne to nie było, bo przez te całe nerwy prawie ze skóry wyskakiwałam, a i nieprzespana noc swoje robiła. Zaczęłam opowiadać, jaki to ja krzyż pański z Małgosią mam. Że się łajdaczyła z chłopakami od zeszłej zimy, że jej upilnować nie sposób i takie tam. A na koniec to zapytałam, czy ona pamięta, że my obie w marcu na trzy tygodnie musiałyśmy wyjechać? Wiedziałam, że Małgosia już wtedy z tym Januszem chodziła, bo pamiętam, jak wzdychała, że musi wyjeżdżać ze mną do mojej siostry do Łodzi. Ślub jej najstarszego był akurat, nie dało się nie pojechać, chociaż nie powiem, że bym się tam rwała. Ninka na to, że pamięta, bo jej Janusz mówił, że Małgosia do rodziny na wesele jedzie. Jeszcze mocniej zaczęłam płakać i mówię, że to żadne wesele nie było, tylko nieszczęście wielkie, bo Małgosia w ciążę zaszła i na zabieg musiała iść. A żeby wstydu nie było, tośmy pojechały do innego miasta, co by się nikt u nas o niczym nie dowiedział. Ninka prawie trupem padła przy tym stoliku, a ja to już nic więcej mówić nie musiałam, bo jak na jej minę popatrzyłam, to od razu wiedziałam, że Janusza mam z głowy. No i miałam, bo się więcej u nas nie pokazał. Małgosia trochę popłakiwała po kątach przez miesiąc czy dwa, a potem wszystko do normy wróciło. Wczasy mi później przyznali w Szklarskiej Porębie i ją zabrałam, chociaż gór nie lubię. Ale jej dobrze zrobiły – doszła do siebie raz dwa. I wyszło na moje, że rację miałam.

No a teraz taka chytra się zrobiła! Żeby obcym ludziom na własną matkę rodzoną podobne rzeczy mówić. I co ja mam zrobić?

## XII

– Jesteś zdenerwowany – mówi Elżbieta, patrząc znacząco na moje podskakujące kolano.

– Nie jestem – przestaję podrygiwać nogą.

– Co słyhać?

– Dobrze. Mam dużo pracy.

– Zadzwońeś do tego chłopaka?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie chciałem.

– Nie chciaeś?

– Nie.

– Dobrze. O czym chciałbyś dziś porozmawiać?

– Sam nie wiem. Wszystko jest dobrze – mówię. – Siedzę w fabryce od rana do późnej nocy. Nie mam czasu na myślenie.

– W takim razie, chciałabym porozmawiać o tobie.

– To znaczy? – poprawiam się na fotelu, który nagle przestaje być tak wygodny.

– Opowiedz mi o swojej matce.

– Nie mam o czym opowiadać – odpowiadam niemal opryskliwie. – Mówiłem, że prawie jej nie pamiętam.

– Kiedy wyjechała miałaś siedem lat?

– Niecałe.

– A czym się zajmowała?

– Była pilotem.

– Pilotem? W samolocie?

– Nie – uśmiecham się mimo woli. – W Orbisie. Pilotowała wycieczki. Głównie do demoludów, ale czasami też do Europy Zachodniej. Przez jakiś jeździła też jako opiekun artystów wyjeżdżających na zagraniczne tournée z Pagartu.

– Czyli często wyjeżdżała, gdy byłeś mały.



- Tak.
- I zawsze się tym zajmowała?
- Nie, nie zawsze. Wcześniej pracowała jako nauczycielka polskiego w szkole. Skończyła polonistykę. Słuchaj, naprawdę nie ma o czym mówić, ja...
- Dlaczego wyjechała?
- Nie wiem! Uciekła na Zachód, chciała, żeby jej się lepiej żyło, i tyle.
- Nie rozmawiałeś z nią później?
- Nie. To znaczy raz.
- Kiedy?
- Gdy przyjechała do Polski. Tuż przed moją maturą.
- Przyszła do ciebie? Zadzwoiła?
- Nie, coś ty. Skontaktowała się z moją ciotką Maryską. A ona zadzwoniła do mnie i zaprosiła mnie na ciastko do Marriotta.
- Nie powiedziała ci, że chodzi o twoją matkę?
- Nie. Wiedziała, że w życiu bym nie poszedł. Wiesz, ale ja wolalbym porozmawiać o moich związkach. Dlaczego na przykład...
- Później. Dlaczego byś nie poszedł?
- Bo nie! Czekałem na nią przez dziesięć lat, potem już nie. Przestała mnie obchodzić.
- Nie kontaktowała się z tobą przez ten czas?
- Pisała kartki. Parę razy przysłała pieniądze.
- A ty do niej nie pisałeś?
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo nie podała adresu — mówię z politowaniem. — To były zwykłe kartki pocztowe. Z Mikołajem na święta, z jakimś rysowankami na moje urodziny.
- A twój ojciec?

– Słuchaj, to naprawdę wszystko bez znaczenia! Nie chciała mnie, i tyle. Najpierw było mi przez to źle, a potem przestało mnie to obchodzić.

Elżbieta wpatruje się we mnie z namysłem, składając ręce jak do modlitwy i opierając brodę na czubkach palców. Nie cierpię tego jej gestu. Zaciskam usta i z chmurną miną spoglądam w okno.

– A o czym rozmawialiście w Marrioticie?

– O niczym. Tak naprawdę to nie była żadna rozmowa, tylko jej monolog.

– To znaczy? Nie pytałeś ją o nic?

– Nie. W ogóle jej nie poznałem, wiesz? Podszedłem do stolika, przy którym siedziała moja ciotka, i myślałem, że to jakaś jej koleżanka. Obca baba, którą Maryśka przypadkiem spotkała w restauracji czy na ulicy i zabrała na kawę. Przedstawiłem się nawet. Idiota.

– Miałeś pełne prawo, żeby jej nie poznać.

– Wiem, że miałem!

– A twoja ciotka?

– Maryśka? Powiedziała: To twoja mama, Pawciu. Zawsze na mnie tak mówi – Pawcio.

– Tylko ona?

– Co tylko ona?

– Czy tylko ona tak do ciebie mówi?

– Tak. Nie. To znaczy kiedyś tak do mnie mówił ojciec. Ale to było dawno, kiedy byłem mały.

– I co było dalej?

– O Jezu – wzdygam. – Ciotka wstała i poszła, a ja zostałem sam z tą kobietą.

– Z twoją matką.

– Tak, z nią.

– O czym rozmawialiście?

– Wcale nie rozmawialiśmy! Mówiłem ci, że to ona gadała. Ja się prawie nie odzywałem.

– Co mówiła?

– Jakieś pierdy. Że wyrosłem i że jestem przystojnym facetem. Jak mój ojciec, chociaż powiedziała, że ma nadzieję, że nie we wszystkim jestem do niego podobny.

– O co jej chodziło?

– A skąd mogę wiedzieć? Nie mam pojęcia.

– Powiedziała ci, dlaczego wyjechała?

– Nie. Powiedziała tylko, że musiała wyjechać, że gdyby została, byłoby jakieś nieszczęście. Ale nie powiedziała jakie.

– Nieszczęście? Nie zapytałeś ojca, o co chodziło?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo już wtedy ze mną nie rozmawiał!

– Dlaczego... Dobrze, zostawmy to na razie – mówi szybko Elżbieta na widok mojej miny. – Co jeszcze powiedziała ci matka?

– Powiedziała, że mieszka pod Londynem. Wyszła tam za mąż. Rozwiodła się z moim ojcem korespondencyjnie jeszcze w latach osiemdziesiątych. Nawet mi o tym nie powiedział.

– A czym się zajmowała w Anglii?

– Niczym. Prowadziła dom temu facetowi. Pokazała mi jego zdjęcie – wyglądał jak garbata, chuda małpa z rumieńcami na policzkach.

– Tylko to robiła? Prowadziła dom?

– Tak. I wychowywała dzieci.

– Czyli masz rodzeństwo?

– Nie. To nie były jej dzieci, tylko jego. Dwoje: dziewczyna w moim wieku i dwa lata młodszy chłopak.

– Czyli... była ich macochą.

– Tak. Moja mamusia! Zostawiła mego ojca i mnie, uciekła na Zachód i zajęła się wychowywaniem obcych bachorów jakiegoś dzianego angola. Zostawiła swojego sześćioletniego syna i prysnęła. Przez te wszystkie lata przysłała kilkanaście kartek z życzeniami i w sumie dwadzieścia funtów, bo była tak cholernie zajęta podcieraniem tyłków tych obcych, angielskich gnojów. I nawet nie podała swojego adresu, bo tamten gość nie wiedział, że ona ma swoje własne dziecko, i bała się, żeby to nie wyszło na jaw. Nie wiedział o moim istnieniu! Masz jeszcze jakieś pytania?

– Tak. Czy... powiedziałaś jej, co czujesz?

– Pewnie, że powiedziałam! Powiedziałam, że czuję, że ją pierdołę! I żeby nigdy więcej się do mnie nie odzywała, bo jest dla mnie nikim. A z pewnością nie moją matką.

– Co ci odpowiedziała?

– Nic. Nie czekałem, aż coś z siebie wydusi tą swoją łamaną polszczyzną. Wstałem i wyszedłem. Czas się kończy.

Elżbieta pochyła się i spod stolika stojącego przy fotelu wyjmuje paczkę klinexów. Podaje mi bez słowa. Wyjmuję chusteczkę z opakowania i wycieram twarz.

– Możemy dziś przedłużyć, jeśli chcesz – odzywa się po chwili. – Następną pacjentka odwołała wizytę.

– Nie – zwijam chusteczkę w twardą kulkę i chowam do kieszeni bluzy z kapturem. – Muszę jechać do fabryki.

### XIII

Parę minut po trzynastej ubieram się, wyłączam telewizor i wychodzę z domu. Najpierw idę do kościoła, modłę się krótko. Rozglądam się ukradkiem, czy nie ma tu gdzieś Janki, ale nie. Nie widziałam jej już z tydzień, ale się zawzięła. Zawsze była uparta. No, ja się pierwsza nie odezwę! Wychodzę i jadę do domów towarowych. Boże święty, jakie tu

tłumy! A jakie ceny! No, ja nie mam pojęcia, na czyją kieszeń te rzeczy, uczciwego człowieka na nic tu nie stać! Wjeżdżam ruchomymi schodami na pierwsze piętro, przystaję za wysokim stojakiem z kolorowymi sukienkami i przyglądam się stoisku, w którym pracuje Małgosia. Jest! Poznaję ją dopiero po chwili. Obcięła włosy, mają teraz jasny kolor. Ale to nie jest najgorsze! Najgorsze, że jest taka chuda. Wygląda na chorą. Nie wiem, ile ona waży, ale jedno pewne, że o wiele za mało. Zaciskam z całej siły dłoń na wieszaku. Małgosia ma na sobie jasnoróżową podkoszulkę z jakimiś napisami i krótką spódnicę z teksasu. Jak ona mogła tak przyjść do pracy, jest prawie goła! Ręce ma cienkie jak pacyzki. Śmieje się.

— Mogę jakoś pomóc? — słyszę nagle. Podskakuję i odwracam się szybko. Młoda dziewczyna, obcięta podobnie jak Małgosia, przypatruje mi się uważnie.

— Tylko oglądam!

— Szuka pani czegoś konkretnego?

— Nie. Nie wiem... — zaczynam się plątać. — Ta sukienka. Ale nie dla mnie. Na prezent.

— Aha. Jakiego rozmiaru pani szuka?

— Na metr sześćdziesiąt — mówię szybko.

— Ale emka czy elka?

— Elka?

— Czy medium, czy large?

— Co? — pytam nerwowo. Zaczyna mi się robić gorąco.

— No, czy rozmiar ma być...

— Wioleta, w porządku. Ja się zajmę tą panią — przerywa jej głos zza moich pleców. Odwracam głowę i widzę Małgosię. Wpatruje się we mnie bez cienia uśmiechu.

— Ojej... — mówię. — Ojej, Małgosiu...

— Co ty tu robisz?

— Przyszłam... — zająkuję się przez chwilę, ale nagle uświadamiam sobie, że to przecież moja Małgosia! Co ja się mam przed nią tłumaczyć, a w ogóle to jak ona się do mnie odnosi? Nabieram tchu i pytam normalnym głosem: — Jak ty do matki mówisz?

Małgosia łapie mnie gwałtownie za ramię i zaczyna ciągnąć w kierunku klatki schodowej. Idę przez chwilę posłusznie, ale w połowie drogi stoję nagle i wyrwam łokieć z jej uścisku.

— Może się ze mną przywitasz? — pytam. — Gdzie mnie ciagniesz?

— Nie rób mi tutaj sceny — mówi Małgosia ściszym głosem, takim tonem, że aż mnie zimny dreszcz przechodzi. — Chodź.

Odwraca się i rusza w kierunku wyjścia. Idę za nią. Wchodzimy na schody, Małgosia przystaje na półpiętrze i odwraca się w moją stronę.

— No? Po co przyszłaś?

— Jak to — po co? — pytam ze zdumieniem. — Jak to po co? Dlaczego nie dzwonisz do mnie wcale? Dlaczego nie przyszłaś w niedzielę? Miałaś przyjść, mówiłaś. Ja czekałam, obiad był...

— Mamo, czy ty, do cholery, mogłabyś mi dać wreszcie święty spokój? — moja córka marszczy brwi i wpatruje się we mnie twardo.

— Jak ty...

— Co ty znowu kombinujesz? Asia mówiła mi, że wydzwaniałaś i opowiadałaś jakieś bzdury o mnie. Czego ty chcesz ode mnie?

— Boże święty, dziecko! — wykrzykuję i czuję, że do oczu zaczynają napływać mi łzy. — Co się z tobą porobiło? Jak ty wyglądasz? Jak ty do mnie mówisz? Dziecko!

Małgosia przyryka oczy i bierze głęboki wdech. Po kilku sekundach wypuszcza powietrze, spogląda na mnie i odzywa się trochę łagodniejszym tonem:

– Mamo, czy mogłabyś stąd iść? Lubię tę pracę, zależy mi na niej. Nie chcę tu żadnych awantur.

– Ale...

– Jak będę mogła, to przyjadę w niedzielę, dobra? Po południu. To porozmawiamy.

– Ale ja bym...

– Muszę wracać, nie mogę na tak długo zniknąć ze stoiska. Jedź do domu albo do kościoła, czy gdzie tam lubisz. Włącz sobie telewizor. I zajmij się sobą, dobra?

– Małgosiu...

– Muszę iść. I nie przyjeżdżaj tu więcej. Po prostu daj mi spokój. Do widzenia.

Małgosia odwraca się do mnie plecami, wchodzi po schodach. Patrzą na jej sterzące ramiona, cienki kark, który wygląda jak kurza szyjka. Łzy nie przestają płynąć mi po twarzy. Przyciskam otwartą dłoń do ust, żeby stłumić szloch. Robię z siebie widowisko, ludzie zaczynają się na mnie gapić. Odwracam się do nich plecami, stoję w rogu klatki schodowej, twarzą do ściany i usiłuję ze wszystkich sił nad sobą zapanować.

#### XIV

– Napij się – mówi Michał, kiwając na barmana ubranego w czarną, obcisłą koszulkę z napisem „Toro”.

– Nie chcę – odpowiadam bełkotliwie, machając ręką. Ostro kręci mi się w głowie, niepotrzebnie wypaliłem tego jointa w kiblu.

– Pij, mówię ci. W końcu to moje pożegnanie, nie?

– Ale jakie tam pożegnanie...

– W przyszłym tygodniu składam wypowiedzenie. Myślę, że wszystkim spadnie kamień z serca, a Piekarska to chyba zemdleje z radości.

– Masz okres... – mówię, zbierając myśli. – To znaczy, ileś tam jeszcze musisz zostać, nawet jak się zwolnisz. Miejsię czy coś.

– Coś ty! Teraz to mnie puszcza z dnia na dzień. Żeby tylko nie było afery.

– Ale co ty będziesz robił w Krakowie?

– Na razie nic. Posiedzę trochę u Darka. Wiesz, to pierwszy raz, kiedy będziemy ze sobą non stop dłużej niż kilka dni, zobaczymy, jak będzie. A potem poszukam jakiejś roboty. Coś się wymyśli. Widzisz, od początku wiedziałem, że będzie afera z tym dzieciakiem.

– Ale to nie twoja wina!

– Pewnie, że nie. I nawet Piekarska sobie z tego zdaje sprawę. Tyle tylko, że mamusia Piotrka jest innego zdania. Właściwie powinienem się cieszyć, że gdy przechwyciła jego mail do mnie, nie wezwała z miejsca policji, tylko poszła do Piekary.

– No, ale może mógłbyś porozmawiać – bełkoczę, opierając się na jego ramieniu. Okropnie źle się czuję. Nigdy więcej nie będę tyle pił, przysięgam.

– Stary, ale co ja mam rozmawiać? Piotrek to jedna sprawa, ale teraz już się oficjalnie wydało, że jestem pedałem. Czy ty wiesz, co by się tam działo, gdybym został?

– Ale przecież jesteś bardzo dobrym nauczycielem. Dzieciaki cię lubią.

– A co to ma do rzeczy? Napij się! – Michał podsuwa mi drinka.

– No, dobra. Ostatniego – mówię, kiwając mu dobitnie wyprostowanym palcem przed nosem.



Piję wódkę z colą i film mi się urywa. Pamiętam, jak przewracam się na parkiecie Toro, później, jak siedzę na murku przy Marszałkowskiej z jakimś chłopakiem, który jest jeszcze bardziej pijany ode mnie. Nie wiem, w jaki sposób znajduję się przed drzwiami mojego własnego mieszkania. Przez cholernie długi, długi czas usiłuję wydobyć klucze z kieszeni džinsów. Wreszcie mi się to udaje, ale następnych kilka godzin spędzam zgięty w pół, usiłując trafić w dziurkę zamka. Jest taka cholernie mała...

— Bingo! — mówię, gdy klucz w końcu wślizguje się do środka. Prostuję się zbyt szybko i robi mi się zajebiście niedobrze. Odwracam się na pięcie i puszczam gigantycznego pawia na schody i wycieraczkę tej starej kurwy z naprzeciwka. Wycieram usta wierzchem dłoni, chichoczę krótko i wchodzę do mojego przedpokoju.

## XV

— Tym razem się nie wywiniesz, skurwysynu! — warczę przez zaciśnięte zęby, stojąc na progu i patrząc na zarzygane schody. — Nie tym razem!

Zamykam z rozmachem drzwi, wałą w futrynę, że aż mi się lampa pod sufitem kołysze. Odstawiam torebkę na szafkę pod lustrem i idę do pokoju. Podnoszę słuchawkę i wybieram numer policji. Skończyło się babci sranie! Żeby na głowie miała stanąć, pożałujesz!

Policjanci przyjeżdżają po czterdziestu minutach. Wpuszczam ich do przedpokoju i opowiadam ze szczegółami o tym zbrojeńcu i o tym, jak mi życie nie daje. O szykanach i o wszystkim. Nie wydają się specjalnie poruszeni, starszy facet notuje coś i pyta mnie o poprzednie doniesienia. Pewnie, że wzywałam! Muzykę tak głośno puszcza nocami, że nawet kamień by się przecknął, że już o tych odgłosach nie

wspomnę! No, bo to i pedał, a może i co gorszego, kto go tam wie! Bardzo chętnie się stawię, choćby zaraz, i wszystko podpiszę. Oczywiście, że można mnie przesłuchiwać — dzień i noc! Nie spocznę, póki z nim ktoś porządku nie zrobi! Policjanci wychodzą i zaczynają się dobijać do drzwi tego śmiecia. Patrzę przez wizjer. Wpuszcza ich w końcu, wchodzi do środka. Siedzą u niego ze dwadzieścia minut, aż mnie nogi rozboleły od tego stania. Wychodzą! Uchyłam drzwi na kilkanaście centymetrów i pytam:

— I co będzie, panowie?

Starszy zatrzymuje się na stopniu i patrzy na mnie przez krótką chwilę. Wreszcie mówi:

— A co ma być? Sprawę będzie miał. Zakłócanie spokoju i dewastacja mienia. W dodatku to już trzecie wezwanie.

— Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! Zamknąć go i najlepiej klucz wyrzucić! Bo to przez takich uczciwi ludzie...

— A wie pani — przerywa mi młodszy policjant — może coś o tych drzwiach Sieniawskiego? Kto mu je pociął?

Zaciskam usta i patrzę na niego w lekkim popłochu przez ułamek sekundy, ale błyskawicznie udaje mi się opanować.

— A co ja mam wiedzieć? Co pan myśli, że ja nic innego do roboty nie mam, tylko jego drzwi pilnować? Sam se je pewnie pociął po pijaku, albo co. Nie mam pojęcia!

— Jest pani pewna — zaczyna wolno starszy — że chce pani tę skargę wnosić? Będzie miał chłopak niezłe kłopoty przez to.

— I bardzo dobrze! Pewnie, że jestem pewna!

Starszy odwraca się i zaczyna schodzić w dół. Słyszę, jak wzdycha pod nosem: „Oj, ludzie, ludzie..”. „Ludzie” — będzie mi tu wzdychał! „Ludzie”! Jacy ludzie?

## Jesień 1993

We wrześniu przeprowadzamy się z ojcem z małego, dwupokojowego mieszkania na Powiślu do większego na Nowym Mieście. Mój ojciec zaczął lepiej zarabiać. Nie skończył jeszcze czterdziestki — jest barczystym, dużym, przystojnym facetem. Ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, gęste jasne włosy, białe równe zęby, błękitne oczy i szerokie brwi, o ton ciemniejsze od czupryny. Od czasu do czasu zapuszcza brodę, ale zazwyczaj nosi jednodniowy zarost lub gładko się goli. Do czytania — a czyta dużo — zakłada małe okulary w grubej szylkretowej oprawie. Lubi zsiadłe mleko z ziemniakami i science fiction. Odkąd pamiętam, prenumeruje „Literaturę na Świecie” i „Fantastykę”. Skończył polonistykę, przez krótki czas pracował na uczelni. Miał zostać wielkim pisarzem, drugim Lemem. Wkrótce po studiach wydał swoją pierwszą i jedyną książkę — ukazała się w tym samym miesiącu, w którym uciekła na Zachód moja matka. *Imny wariant*, 384 strony, nakład 30 000 egzemplarzy. Z groszami. Akcja rozgrywa się w 2030 roku. Cała nasza planeta

w glorii i chwale kultywuje jedynie słuszny system socjalistyczny, rozwijając się bez przeszkód w pokoju i dobrobycie. Główny bohater Jons staje na czele międzynarodowej ekipy astronautów, która rusza w kierunku Alfę Centauri, aby zbadać źródło nadchodzących stamtąd tajemniczych przekazów radiowych. Podróżują hipernowoczesnym statkiem międzygwiazdowym Jupiter 3. W rozdziale drugim ojciec zawarł bardzo dokładny opis wehikułu, zajmujący ponad pięć stron. Pomimo niesłychanie zaawansowanego napędu, droga zajmuje im niemal szesnaście lat. Podczas podróży główny bohater nawiązuje płomienny romans z rosyjską nawigatorką Rosłaną, która rodzi mu syna. Zazdrosny Hector – astrofizyk amerykańskiego pochodzenia i najbliższy przyjaciel Jonsa – nie może ścierpieć szczęścia dwojga kochanków. Przeprogramowuje pokładowy komputer, który symuluje awarię głównego napędu. Jedynie Jons może naprawić usterkę. Operacja jest niesłychanie niebezpieczna, ponieważ wymaga wejścia pod reaktor atomowy stanowiący serce napędu, a jedyną ochronę dla ratownika stanowi specjalny antyradiacyjny skafander. Hector po kryjomu uszkadza kombinezon, Jons wślizguje się do maszynowni. Z każdą upływającą sekundą jego ciało przyjmuje coraz większe dawki promieniowania – czytelnik wie, że jeżeli bohater pozostanie przy reaktorze dłużej niż pięć minut, czeka go straszliwa choroba popromienna i powolna śmierć. Hector i Rosłana obserwują poczynania Jonsa przez nieduże okienko wyposażone w specjalne, kosmiczne szkło nieprzepuszczające promieniowania – mój ojciec o to zadbał. W ostatniej chwili Hector decyduje się jednak ocalić przyjaciela. Wchodzi do reaktora bez skafandra i wyciąga stamtąd Jonsa, a następnie – potwornie zeszpecony radiacyjnymi poparzeniami – umiera w jego ramionach, wyznając prawdę.

Jons wybacza mu, roniąc łzę, a następnie razem z Roslaną urządzają skromny pogrzeb Hectorowi i wyrzucają jego ciało w przestrzeń kosmiczną. Jednak to nie koniec. Napromieniowane ciało Hectora zaczyna mutować. Astrofizyk ożywa, choć pamięć o wcześniejszym życiu ma zredukowaną do kilku podstawowych informacji. Zamienia się w przerażającego potwora i zaczyna ścigać statek. Wdziera się na pokład, zabija całą załogę oraz Roslanę. W ostatecznej potyczce, nad bestialsko rozszarpanym, martwym ciałem ukochanej, stawia mu czoło Jons. Szala zwycięstwa przechyla się na stronę naszego bohatera, jednak w końcowej fazie pojedynku rozpoznaje w potworze przyjaciela. Nie jest w stanie zadać definitywnego ciosu. Wreszcie obaj – splecieni w śmiertelnym uścisku – wypadają przez śluzę powietrzną i kończą w lodowatej próżni międzygwiazdnej przestrzeni. Na statku pozostaje jedynie czteroletni syn Jonsa i Rosłany, który cudem uniknął zagłady. Wychowywany od tej pory przez pokładowy komputer, dociera na Alfę Centauri. Na monitorach statku obserwuje cudowną, ogromnie zaawansowaną cywilizację Centaurian. Jupiter 3 rozbija się podczas automatycznego lądowania, młodzieniec wychodzi z tego cało. Wiadomo, że nie będzie mógł już powrócić na Ziemię. Centaurianie jednak przyjmują go do swojej wspaniałej społeczności, w której każdy jest równy i w której dla każdego jest miejsce – nawet dla takiego kosmicznego dziwoląga i odmienca jak on. Z dala od rodzinnej planety chłopak znajduje nowe, lepsze życie. Koniec.

Powieść nie spotkała się z dobrym przyjęciem. Krytycy zarzucali jej nadmierną, wręcz nachalną drobiazgowość w relacjonowaniu fizyczności głównych bohaterów – opisowi nagiego Jonsa w scenie korzystania z pokładowego prysznicza ojciec poświęcił dużo więcej miejsca niż opisowi

hiperprzestrzennego napędu statku. Poza tym nie spodobały im się, jak pisali w recenzjach: „brak konsekwencji i logiki w poczynaniach bohaterów oraz indolentny stosunek autora do naukowych podstaw rozwiązań opisywanej techniki”. Ja bardzo lubię tę książkę — właściwie znam ją na pamięć. Uważam, że to najlepsza książka fantastyczna, jaką kiedykolwiek czytałem. Mój ojciec — po kiepskich recenzjach i niespecjalnie rewelacyjnych wynikach sprzedaży — zrezygnował z pisarskiej kariery. Odszedł z uczelni i podjął pracę jako redaktor w wydawnictwie Nasza Księgarnia. Zarabiał mizernie, ale razem z nauczycielską pensją mojej matki starczało na w miarę przyzwoite życie. Kiedy zaczęła jeździć z zagranicznymi wycieczkami, nasza sytuacja materialna znacząco się poprawiła, ale na krótko — po jej odejściu było bardzo trudno.

Niedawno wszystko się zmieniło. Ojciec odszedł z Naszej Księgarni i razem z wujem — też Andrzejem, jak on — założyli swoje wydawnictwo, które nazwali A2. Wuj nie jest moim prawdziwym krewnym, tylko przyjacielem ojca. Na początku wydawało się, że z A2 nic nie wyjdzie. Pierwsze książki, jakie wydawali, prawie się nie sprzedawały, a należności za te, które miały powodzenie, w większości nie sposób było ściągnąć z rynku. Ale odkaś przerzucili się z beletrystyki na poradnictwo, kasa zaczęła płynąć. Staliśmy się prawie bogaci, a na pewno — zamożni. Tata kupił nowy samochód, forda mondeo. Dostałem komputer — nie jakieś tam ZX Spektrum, Atari czy Commodore, ale prawdziwego IBM PC. Do tego wieżę Technicsa z odtwarzaczem CD i porządnymi kolumnami, magnetowid, oryginalne adidasy, pięć par dżinsów Levis’a, naprawdę spore kieszonkowe. Mam fajny pokój z widokiem na Franciszkańską i własny telewizor.

Skończyłem szesnaście lat, chodzę do liceum (druga B, profil ogólny) i nie jestem szczęśliwy. To zły okres w moim życiu, choć zarazem najlepszy, jaki mam od ładnych paru lat. Przestaję się wszystkiego bać, nie chodzę już po ulicach ze wzrokiem wbitym w ziemię, nie czaję się na przerwach pod ścianami szkolnych korytarzy, nie garbię. Mam teraz sporo przyjaciół. No, może raczej znajomych. Zmieniam się, myślę, że jestem już dorosły. Rozjaśniam włosy, gorzej się uczę i palę na przerwach papierosy w ubikacji, czasem nawet trawkę — tracę opinię wzorowego, grzecznego chłopczyka u nauczycieli, za to zyskuję popularność, podziw i dobrą reputację wśród reszty uczniów. Ponieważ przyjaźnię się z wieloma dziewczynami i spędzam z nimi dużo czasu, uchodzę za szkolnego Casanovę. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że jestem gejem, i nie mam z tym problemu, ale boję się, co będzie, jeśli się to wyda. Wydaje mi się, że jestem jedynym homo na świecie, a przynajmniej w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Faceci interesowali mnie chyba od zawsze i od zawsze było dla mnie oczywiste, że mi się podobają bardziej niż dziewczyny. Zanim jeszcze zacząłem na dobre dojrzewać, odkryłem w kioskach „Inaczej” i „Okay”, dzięki którym błyskawicznie zorientowałem się, kim jestem i na czym polega męsko-męska miłość. Ale moja wiedza jest czysto teoretyczna — na tyle duża, aby uwolnić mnie od poczucia winy, ale zbyt mała, bym mógł pozbyć się lęku.

W listopadzie do naszej klasy przychodzi nowy. Ma na imię Mariusz. Jest starszy od nas, powtarza rok. Wyższy ode mnie, barczysty. Ma bardzo ciemne, kręcone włosy, piwne oczy i całkiem już gęste baczki. Przez pierwszych kilka tygodni trzyma się na uboczu i mam wrażenie, że spogląda na nas wszystkich z góry. Obserwuję go na lekcjach — siedzi

w środkowym rzędzie, dwie ławki przede mną. Jest bardzo dobry w geografii i angielskim, całkiem niezłe radzi sobie z fizyką i chemią. Inne przedmioty zupełnie go interesują. Parę razy przyłapuje mnie na tym, że się w niego wpatruję, mruga do mnie z lekkim uśmiechem. Któregoś dnia podchodzi do mnie w szkolnym bufecie.

– Cześć. Fajna kurtka – mówi, a ja uświadamiam sobie, że zakochałem się po raz pierwszy w życiu.

Zaczynamy się przyjaźnić. Chodzimy razem na węgry do kina, na piwo. Łazimy po Starówce albo przychodzimy do mnie, gdy mam pewność, że ojca nie będzie w domu, i gramy w gry komputerowe. Najczęściej w *Alone in the Dark*. Mariusz jest w tym lepszy ode mnie, błyskawicznie odnajduje wszystkie bonusy, uzupełnia arsenał, zyskuje dodatkowe życia. Ja lepiej walczę, ale mam skłonność do szarży i szybciej się wykańczam. Rzucam wszystko na jedną szalę i niepotrzebnie ryzykuję. Robię to celowo – wolę przyglądać mu się z boku, bo gdy jest pochłonięty grą i nie zwraca na mnie uwagi, mogę to robić bezkarnie. Dotykam go, przysuwam twarz do jego policzka, niby próbując dostrzec na ekranie monitora jakiś szczegół. Wącham go ukradkiem, mam permanentny wzwód. Zaczynam źle sypiać, tracę apetyt. Wymyślam dziesiątki pretekstów, żeby móc spędzić z nim więcej czasu, dzwonię pod byle pretekstem. W pewną grudniową środę zrywamy się po drugiej lekcji – na biologii ma być sprawdzian, obaj jesteśmy nieprzygotowani. To znaczy ja trochę się uczyłem, ale mówię, że też nic nie umiem. Ponieważ wiem, że mój ojciec pojechał na biznesowe spotkanie do Łodzi i nie wróci przed nocą, zaciągam Mariusza do siebie.

– Mam genialną nową grę – mówię, odpalając komputer.  
– *Doom*. Na razie demo, tylko dziewięć poziomów, ale za to



jakich! Człowieku! Wypuścili tę gierkę na rynek dosłownie kilka dni temu. Pokażę ci.

– Nieee, nie chce mi się – mówi Mariusz.

– To co wolisz? *Wolfenstein*?

– To dla szczyli – Mariusz wydyma wargi. – Daj browar.

Idę po piwo do kuchni, jednak w lodówce nie ma żadnych puszek. Zastanawiam się, czy nie skoczyć do sklepu, ale przypomina mi się, że u ojca powinno być coś w barku. Kiedy otwieram szafkę, Mariusz zagląda mi przez ramię.

– Hej, niezły ma tu składzik ten twój staruszek – mówi, przeglądając butelki. – Whisky, Malibu, Tequila, czekolada Toblerone. Pół Peweksu!

Rodzice Mariusza nie zarabiają dużo. Matka jest księgową, a ojciec technikiem w Polskim Radiu. Mariusz ma dwóch braci i siostrę – musi dzielić swój pokój z jednym z bracholi. Mieszkają w niedużym, trzypokojowym mieszkaniu przy Anielewicza. Nigdy się nie zastanawiałem nad tym, że tak różniły się materialnym statusem. Ciągle jeszcze nie przyzwyczailem się do tego, że mój ojciec zaczął zarabiać dużo pieniędzy, i wciąż myślę o sobie jako o kimś, kogo nie stać na Sofiksy. Ale to się przecież zmieniło. Nagle zaczynam czuć się trochę winny.

– E tam, to tylko wystawa.

– Wystawa, nie wystawa. Niezły musiał na to wszystko wybulić.

Zamykam szybko barek i przekręcam klucz.

– Nie wiem. Chyba to dostał.

– Mhm. Fajnie tu macie. Niezły sprzęt – Mariusz wskazuje magnetowid i duży telewizor Panasonica. – Słuchaj, masz jakieś filmiki?

– No... – bąkam pod nosem. – Mam *Pluton*. I *Naga broń*. Chcesz obejrzeć?

— Nie, no ja nie o takie filmiki pytam, człowieku! Por-nole jakieś masz?

— Nie wiem. Chyba... — nagle robi mi się gorąco i zasycha w ustach.

Oczywiście mój ojciec ma małą kolekcję takich kaset. Oglądał je bez końca, właściwie za każdym razem, gdy tylko zostaję sam w domu.

— Nie wiesz? — z politowaniem pyta Mariusz. — Na pewno twój staruszek jakieś ma! Zwalilibym sobie.

Kiedy to mówi, mam wrażenie, jakbym dostał pięścią w brzuch. W ułamku sekundy kutas staje mi tak, że prawie rozrywa spodnie. Boże, zobaczyć to!

— Chyba ma — wyduszam z siebie piskliwie.

— To dawaj! Kurde, stary, na co czekasz?

Czuję, że twarz mi zaczyna płonąć. Na miękkich, drżących nogach podchodzę do lewej części regału. W górnej szafce ojciec trzyma kasety porno schowane za albumami z naszymi rodzinnymi zdjęciami. Żołądek zwija mi się w kulkę, kiedy otwieram drzwiczki i sięgam do środka. Chyba nigdy jeszcze nie byłem tak podniecony, zaczynam się bać, że za chwilę mogę po prostu polecieć w spodnie. Zastanawiam się przez moment, którą kasetę wziąć. Wybieram niemiecką, na której jest kilka scen trójkątów. To moja ulubiona — szczególnie scena, w której jedną dziewczynę posuwa naraz dwóch gostków. Wyjmuję kasetę i odwracam się do Mariusza.

— Może... może ta... — zaczynam mówić, ale głos więźnie mi w gardle.

Mariusz siedzi, a właściwie prawie leży na kanapie z szeroko rozchyłonymi kolanami. Zdjął bluzę. Ma na sobie szary podkoszulek podciągnięty niemal pod brodę. Odslania brzuch, widać ciemne włosy nad linią spodni. Lewą rękę

podkłada pod głowę, a prawą dłoń wsuwa do połowy za pasek dżinsów. Patrzy na mnie z lekko kpiącą miną. Wygląda bosko. Tak cudownie, że aż mi się serce ściska. Skurcze w moim brzuchu zaczynają się nasilać, nie mogę złapać tchu.

— Obojętne, facet — mówi Mariusz. — Wrzucaj.

Wkładam kasetę do magnetowidu, włączam telewizor. Po chwili na ekranie pojawia się blondynka — jedna z dwóch bohaterek pierwszej scenki. Siedzi na łóżku i rozmawia przez różowy telefon. Ma krótką, przezroczystą koszulkę nocną, bardzo mocny makijaż, sztywno wylakierowaną fryzurę i szpilki na megawysokich obcasach. Za chwilę przyjdzie jej koleżanka z chłopakiem.

— Ale dupa — mówi z podziwem Mariusz. — Siadaj, stary, bo mi zasłaniasz.

Podchodzę do kanapy i siadam obok niego. Czuję się, jakbym miał gorączkę. Oglądamy pornosa, Mariusz co chwilę rzuca jakiś komentarz.

— Niezła laska. Wyobrażasz sobie taką w naszej budzie? Ale cycki!

Znajomi blondynki przychodzą, rozpoczyna się akcja. Mariusz nagle rozpina spodnie.

— Kurna, ale się podjarałem! Ale mam namiot! No, facet, wyciągaj swojego. Sam nie będę walił.

Robi mi się słabo. Posłusznie sięgam do klamry paska, nie odrywając wzroku od krocza Mariusza. Podpiera się na plecach, unosi biodra i zsuwa dżinsy do kolan. Zostaje w jasnoniebieskich slipach. Cienka bawełna wyraźnie opina się na jego naprężonym członku. Zaczynam oddychać coraz szybciej.

— No! — ponagla Mariusz.

Rozpinam klamrę spodni, zsuwam je. Zostaję w majtkach, które dostałem na urodziny od ciotki Maryśki — białych

w zielone groszki. Slipki dla dzieciaka, przez ułamek sekundy żałuję, że nie założyłem rano innych.

– Dobra – mówi chłopak. – To na trzy ściągamy gacie. Zobaczymy, kto ma większego. Raz, dwa... trzy!

Na trzy obaj jednocześnie ściągamy slipy. Jego kutas wyskakuje zza gumki jak na sprężynie. Wpatruję się w niego szeroko otwartymi oczami. Jest trochę krótszy niż mój, ale za to grubszy. Szeroki u nasady i zwężający się ku górze, przypomina torpedę.

– Stary, dużego masz – mówi Mariusz, przyglądając się mojemu członkowi, który pulsuje spazmatycznie. – Patrz! Wsadził jej! Ale ją posuwa, o kur...!

Łapie za swojego kutasa, odciąga napletek. Ściska go mocno, widać, jak żołądź ciemnieje i powiększa się. Delikatnie zaczyna poruszać dłonią w górę i w dół. Wpatruję się w niego jak zahipnotyzowany

– O Jezu! – wzdycha.

Boję się dotknąć swojego, jestem na krawędzi wytrysku.

– Ale twardy! – mówi Mariusz, odginając członka w dół niemal równoległe do ud. – Jak beton! A twój?

Szybko wyciąga lewą rękę i łapie mnie za kutasa. Obejmuje go palcami, zaciska w dłoni. Wciągając gwałtownie powietrze, skurcze w brzuchu zaczynają się nasilać. Mariusz zaciska rękę mocniej i nagle moje biodra wypinają się spazmatycznie. Tryskam niemal pod sufit. Prawie tracąc przytomność, wystrzeliwuję z siebie trzy ogromne porcje nasienia, które ląduje wszędzie – na moim T-shircie, na włosach, na kanapie, na ramieniu i dłoni Mariusza.

– O ja pierniczę! – wykrzykuje Mariusz. – Kurde, też się spuszczam!

W tej sekundzie z jego sterczącego członka tryska sperma. Z nieco mniejszą siłą niż u mnie, ale na tyle mocno, aby

kilka kropel spadło na skórę mojej dłoni i ramienia. Zlizuję je później ukradkiem, kiedy Mariusz nie widzi. Jego sperma ma mocny, gorzkawy smak, który zostaje mi w ustach na całą resztę dnia.

To środowe popołudnie przynosi mi zdecydowanie najsilniejsze przeżycie seksualne, jakie spotkało mnie kiedykolwiek – zarówno przedtem, jak i potem. Już nigdy więcej nie przydarza mi się tak potężny, wszechogarniający i wyczerpujący orgazm jak tego dnia – u boku Mariusza na kanapie w pokoju mojego ojca podczas szkolnych wagarów. Ale przez następne dwa miesiące przeżywam ich dziesiątki, a może setki – nie są już tak silne, za to bardziej świadome, dające poczucie niebiańskiego szczęścia. I większość z nich dzielę z Mariuszem.

Bzykamy się niemal codziennie – czasami po lekcjach, niekiedy podczas wagarów czy w weekendy. Kilka razy walimy sobie nawzajem konia w szkolnej toalecie. Mam na tyle oleju w głowie, że nie mówię Mariuszowi o moich uczuciach, o tym, ile dla mnie znaczy. Nigdy nie mówię mu, że go kocham. Zgadza się grać w grę, którą proponuje. Podczas seksu gadamy o dziewczynach – zarówno tych z pornograficznych kaset mojego ojca, jak i o naszych koleżankach z liceum czy laskach widzianych w knajpie lub na ulicy. Opowiadamy sobie, co byśmy z nimi robili, gdybyśmy mieli taką możliwość. Moje scenariusze są bardziej wymyślne – widzę, jak bardzo podniecają Mariusza, staję więc na głowie, żeby mu sprawić przyjemność, żeby go rozpaścić. Posuwam się coraz dalej – któregoś dnia biorę jego członka do ust i obciążam aż do wytrysku, nie trwa to długo. Mariusz robi wrażenie lekko zdziwionego, ale nie protestuje. Mówi, że było super. Po kilku następnych spotkaniach odwzajemnia mi się. I choć nie pozwala, abym spuścił mu się w usta,

jestem w siódmym niebie. Marzę o tym, żeby poczuć go w sobie, żeby mnie wziął, ale nie wiem, jak to zaproponować.

Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Na wigilii jak co roku jest u nas ciotka Maria, siostra mojego ojca. Po kolacji mówię, że muszę wyjść na chwilę. Spotykam się z Mariuszem w parku przy Andersa. Daję mu w prezencie elektryczny zegarek, który kupiłem za wyzebrane u ojca pieniądze, od Mariusza dostaję płytę Simply Red. Łazimy przez parę minut po alejkach, jest potwornie zimno. Namawiam go, żebyśmy schowali się w klatce schodowej jednego z domów, udaje nam się znaleźć jakąś bez domofonu. Na śmierzdzących kocimi sikami schodkach prowadzących do piwnicy przeżywam wspaniały, gwiazdkowy orgazm. Mariusz całuje mnie potem w policzek i życzy fajnej Gwiazdki. Gdy po dwunastej wyruszamy z ciotką i ojcem na pasterkę do dominikanów, dochodzę do wniosku, że to najpiękniejsze Boże Narodzenie w moim życiu.

Miesiąc później, w pierwszym tygodniu zimowych ferii, udaje mi się doprowadzić do realizacji mojego seksualnego marzenia, a zarazem — do największej katastrofy w moim nastoletnim życiu.

— Hej, staruszku — mówi Mariusz, gdy otwieram mu rano drzwi.

Jest wtorek, czwarty wolny dzień — przed nami jeszcze całe półtora tygodnia ferii. Wczoraj spadł śnieg, a od soboty trzyma mróz. Ulice i chodniki są oblodzone, śnieżne zaspasy nie nabrały jeszcze koloru błota. Franciszkańska wygląda z mojego okna niczym bajkowa uliczka z filmu Disneya — na każdej najmniejszej gałęzi drzew i krzewów leży centymetrowa warstwa leciutkiego śniegu. Wszystko jest ciche, miękkie i czyste. Mariusz ma na sobie czarną, puchową kurtkę z kapturem. Mróz zaczerwienił mu policzki i nos.

Rozpływam się ze szczęścia na jego widok, ale nie daję tego po sobie poznać.

– Jak tam, stary? Właż! – mówię wesołym głosem. Jak kumpel do kumpla.

Otwieram szeroko drzwi i wpuszczam go do mieszkania. Robimy sobie kanapki, a potem idziemy do pokoju ojca. Oglądamy teleferie – znów powtarzają *Siedem życzeń*. Potem gramy trochę na komputerze w jakąś platformówkę, o której Mariusz mówi, że jest dziecinna, ale nie daje się oderwać od klawiatury przez ponad godzinę. Czekam cierpliwie. Wreszcie ma dosyć.

– No dobra, staruszkule – mówi, wyłączając grę i przeciągając się na krześle. – Która jest?

– Druga dochodzi – mówię, patrząc na zegarek.

– Wcześniej – Mariusz, unosi jedną brew i uśmiecha się znacząco. Rozchyła uda i kładzie dłoń na swoim kroczu. Zaczyna je lekko masować. Zasycha mi w ustach, przelykam głośno ślinę. Mariusz uśmiecha się szerzej. – No i już się podjarałeś, co?

Kiwam głową. Nie muszę zresztą nic mówić – mam na sobie szare spodnie od dresu i nic pod spodem – doskonale widać, że mi stanął.

– Dobra – Mariusz wciąga brzuch, wsuwa rękę za pasek spodni i poprawia swojego kutasa. – Chodź, coś sobie popoglądamy.

Prowadzę go do dużego pokoju i wydaję z regału kasetę. Mariusz rozsiada się wygodnie na kanapie i zaczyna rozpinąć spodnie.

– Nie, ja to zrobię – powstrzymuję go. – Pozwól mi.

Uśmiecha się znowu i wzrusza ramionami. Włączam szybko telewizor i wkładam kasetę do magnetowidu. „Ja, ja, ja!” – rozlega się głos bohaterki niemieckiego pornosa.

„Gut, gut!” – wtóruje jej mężczyzna. Nie wiem tego jeszcze, ale te słowa: „ja, gut!”, brzmienie niemieckiego języka, akcent już na zawsze nierozzerwalnie połączą się u mnie z reakcją wzrodu, podniecenia i poczuciem winy. Ze świadomością kosztowania zakazanego owocu. Niemieckie porno, które oglądam godzinami podczas moich nastoletnich czasów – zarówno z Mariuszem, jak i sam – właśnie teraz wyciskają matrycę w mojej seksualności. Jedną z matryc. Nie chodzi o to, że wpływają na mnie zachowania, które na nich obserwuję. Nie. Te filmy pornograficzne są heteroseksualne. Przedstawiani na nich mężczyźni występują w charakterze dodatku – dopełnienia i tła dla wijących się, szczytujących bez końca, cycatyh kobiet. Męskie członki – znacznie większe niż te, które będę miał okazję oglądać osobiście w moim późniejszym życiu – w tych filmach są tylko narzędziami, których zadaniem jest doprowadzenie aktorek do udawanego orgazmu. Męskie wytryski służą wyłącznie temu, aby spaść na waginy lub usta aktorek – aby palcami o długich, krwistych czerwonych paznokciach mogły rozsmarować spermę po wargach sromowych lub zlizać z ust i rąk. Oczywiście ja zwracam uwagę przede wszystkim na mężczyzn – na wyraz ich twarzy podczas orgazmu, pokazywany sporadycznie i przypadkowo przez kamerzystę, skupionego na „grze” i ciałach występujących kobiet. Patrzę na męskie ramiona, pośladki, dłonie, stopy, na uda, jądra wznoszące się i opadające w tę i z powrotem bezlitośnie, mechanicznie, długo. Przyglądam im się – wyrywkowo, fragmentarycznie, bo tylko tak z reguły są pokazywane. Prawie zawsze zajmują tylko małą część ekranu wypełnionego zbliżeniem owłosionej, rozciąganej pchnięciami pochwy, miętoszonych piersi czy rozchylonych, uszminkowanych ust. Te filmy nie kształtują mojej seksualności, nie tworzą



wzorca zachowań. Ale ich elementy stają się przyszłym wyzwaczem podniecenia – „ja, ja! Gut!”, tandetna muzyka – tak jak pewne zapachy, dźwięki czy smaki, które przywołają na myśl dawno minione wydarzenia lub kojarzą się z przyjemnym uczuciem. Dla mnie – z rozkoszą. Podobnie wpływają na mnie erotyczne opowiadania publikowane w gejowskiej prasie. Czytane w kółko, wyuczone w końcu na pamięć gruntowne i dosadne opisy nierealnych, nieoczekiwanych męsko-męskich stosunków, tętniących, ociekających spermą kutasów, westchnień, jęków, falujących bicepsów nie uwarunkowują mnie i nie budzą chęci, by je naśladować. Kształtują jednak mój sposób myślenia o seksie; nazywania go. Ta papierowa pornografia z „Inaczej”, „Okaya”, „Faceta”, „Mena” czy nawet pluralistycznych „Seksretów” wpisuje się na trwałe w mój światopogląd. Zaliczam ją do literatury na równi ze szkolnymi lekturami czy powieściami Larry’ego Nivena, Ursuli K. Le Guin i Le-ma. Gejowskie opowiadania są dla mnie po prostu innym sposobem opisywania świata – ani lepszym, ani gorszym. A z pewnością dostarczającym równie silnych (niekiedy nawet silniejszych) przeżyć.

– Pospiesz się, staruszkule – ponagla mnie Mariusz. – Bo mi zaraz rozporek trzaśnie.

Posłusznie podchodzę do niego, klękam i powoli zaczynam rozpinać jego dzinsy. Rozchylam je wolno, zsuwam. Przytulam twarz do jego podbrzusza, lekko łapię ustami kutasa przez materiał slipów. W miejscu, gdzie spoczywa żołądek, na slipach ciemnieje powiększająca się plama śluzu. Przyciskam do niej rozchylone wargi i wysysam, kładę dłoń na jego jądrach. Mariusz pojękuje cicho. Odciągam gumkę i jednym szarpnięciem zsuwam jego bieliznę. Chwytam nabrzmiałego członka w usta i połykam aż do końca.

– O, kurde – jęczy Mariusz. – Zajebiście to robisz, stary, zajebiście.

Trzy, cztery ruchy głową i nagle Mariusz tryska mi prosto do gardła. Chwytam każdą kroplę, czując zawód – to już?

– To już? – pytam, przełykając ostatnią porcję jego nasienia. – Co tak szybko?

– Bo za dobry w tym jesteś – Mariusz kładzie mi rękę na głowie i mierzwi włosy. – Nic się nie martw, staruszk. Zaraz będę znowu gotów. Nie spuszczałem się od wczoraj, mam pełne jajka.

Rzeczywiście jego członek nie opada. Zsuwam spodnie i siadam obok niego na kanapie, po chwili Mariusz zaczyna się powoli brandzlować.

– Widzisz? Ciągłe mi się chce – mówi.

Delikatnie łapię swój członek, ale nie ruszam ręką, tylko go ściskam. Jestem prawie na krawędzi, nie chcę się jeszcze spuścić.

– Ale fajna cipa – wzdycha Mariusz, wpatrując się w ekran telewizora. – Ach, dorwać taką!

Teraz albo nigdy – myślę.

– Mam pomysł – mówię. – Poczekaj.

Wstaję, odrzucam bawełniane spodnie jednym kopnięciem i idę do kuchni. Biorę olej słonecznikowy, ale uznaję, że zanoszenie do pokoju całej litrowej butli byłoby niewłaściwie. Jakies takie mało... romantyczne? Hm. Przelewam trochę do szklanki i wracam.

– Co to jest? – pyta Mariusz.

– Niespodzianka – mówię.

Zanurzam palce w szklance i dokładnie zaczynam smarować jego członek olejem.

– Ty, ale fajnie! – jęczy.

– Fajnie to dopiero będzie. Wstań.

Mariusz wstaje, a ja kładę się na kanapie na brzuchu. Sięgam za siebie dłonią i smaruję swój tyłek.

– Chodź – mówię zduszonym głosem. – Chciałeś, to dostaniesz.

Chłopak przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– Pewny jesteś, facet? – pyta wreszcie.

– Tak. Na sto procent – odpowiadam i wciskam twarz w tapicerkę kanapy.

Trochę się boję. Nie wiem, czy to będzie bolało, nie wiem, jak to jest. Ale na pewno tego chcę. I na pewno jestem cholernie podniecony. Mariusz klęka za mną między moimi rozchyłonymi udami.

– No, nie wiem – szepcze niepewnie. – A jak cię będzie bolało?

– Nie będzie – mówię. – Dawaj.

Przez moment nic się nie dzieje. Nagle Mariusz kładzie rękę na moim pośladku, przesuwa ją w dół. Czuję nacisk jego palców. Pojękuję. Mariusz masuje mnie przez chwilę, wolno wsuwa do środka jeden palec. Unoszę biodra. Uczucie jest fantastyczne.

– Ale ciasno – mówi.

– Chodź, proszę...

Wyjmuje palec, a po sekundzie czuję, że zastępuje go czymś większym. Czymś znacznie większym. Ze wszystkich sił staram się rozluźnić, Mariusz napiera, już prawie...

– Nie wejdzie – szepcze.

Nie odpowiadam. Rozchyłam szerzej nogi i bardziej wypinam biodra. Praktycznie się na niego nadziewam – po tym jednym ruchu wsuwa się niemal cały. Ból jest potworny, dużo większy, niż myślałam. Zaciskam zęby i mocniej wciskam twarz w siedzenie kanapy.

– O, kurde! Wszedł! Nie boli cię?

Kręcę tylko głową, że nie. Mariusz napiera mocniej, mam wrażenie, że mnie rozerwie. Boję się, że wszystko mi tam w środku popękało, że wyciągnie ze mnie swojego kutasa całego we krwi. „Ja, ja, ja! Guuuut!” – wykrzykuje kobieta w telewizorze.

– Aa! – wykrzykuję wbrew sobie. – Poczekaj!

– Może lepiej wyciągnę, co? Boli cię?

– Troszkę. Poczekaj – mówię.

– Wyjmę.

– Nie!

Mariusz kładzie się na moich plecach, wciska mnie w kanapę. Czuję jego oddech na karku. Ręką zaczyna głaskać mnie po włosach. Odczekuje kilkanaście sekund i zaczyna lekko poruszać biodrami. Nadal czuję ból, ale zaczyna być mniejszy, mniej znaczący niż przyjemność, którą odczuwam. Mariusz wypełnia mnie całego, czuję się pełny, dopełniony, hm... kompletny. Wzdycham i rozluźniam mięśnie.

– Dobrze? – pyta.

– Tak. O, tak, tak... Możesz mocniej.

I Mariusz zaczyna mocniej. Coraz mocniej. Wysuwa członek niemal na całą długość, a potem wraca i wbija go we mnie do samego końca. Ból znika, otwieram się dla niego całkowicie, czuję, jak porusza się we mnie głęboko.

– Ale zajebicie! – dyszy prosto do mojego ucha i całuje w kark. – Zajebicie. Dobrze, że mnie spuściłeś wcześniej, bobym już dawno trysnął. Ach!

Fala rozkoszy zalewa mnie jak gorąca lava. Szczytuję po chwili, nie dotykając swojego członka, i spuszczam się na pokrycie kanapy. Powiniennem był coś podłożyć, ręcznik albo chociaż te moje spodnie od dresu. Mariusz nawet tego nie zauważa. Pompuje mnie jak mechaniczny młot, tam i z powrotem. Bez końca.

I wtedy słyszę jakieś stuknięcie, twarde uderzenie o parkiet podłogi. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że to może strącony przez Mariusza obraz znad kanapy. Ale to nie jest obraz. Podnoszę twarz i spoglądam w stronę wejścia. Mariusz cały czas grzmoci mnie miarowo. A ja patrzę na mojego ojca zaciskającego kurczowo dłoń na krawędzi futryny drzwi. Wpatruje się w nas szeroko otwartymi oczami. Ma bladą, niemal białą twarz i dwa okrągłe placki rumieńców na policzkach. U jego stóp leży upuszczony neseser. Mariusz posuwa mnie jak kafar. Śliski i sztywny, porusza się tam i z powrotem, wraca i cofa, nie napotykając oporu, luźno, a ja patrzę w oczy mojego ojca. A mój ojciec patrzy w moje. „Ja! Ja! Ja!!!” – zawodzi kobieta z pornosu. Trwa to ułamek sekundy. Wszystko przewraca mi się w środku, oblewa mnie zimny, a zaraz potem gorący pot. Zaciskam powieki i chowam twarz w tapicerce kanapy. Słyszę jakieś szurnięcie, podnoszę głowę. Mojego ojca nie ma już na progu. Mariusz nieruchomieje we mnie.

– Co to? – pyta nerwowo. – Co to było? Co jest?

– Mój stary – odpowiadam.

– Co?! Widział nas? Widział?

– Tak – mówię i zaczynam płakać.

– O, kurwa! No, to przejebane! – wykrzykuje Mariusz.

– Przejebane. Jezus, jak się moi dowiedzą...

Raptownie wyciąga ze mnie kutasa, zrywa się z kanapy i zaczyna wciągać spodnie. Siadam, podciągam kolana pod brodę i obejmuję je ramionami. Patrzę przez łzy na Mariusza, który błyskawicznie zapina dżinsy.

– Mariusz... – zaczynam jąkać płacząco, ale przerywa mi gwałtownie:

– Wszystko, kurwa, przez ciebie! Ty... Ty pedziu! To twoja wina!

– Ale...

– Jak się moi starzy dowiedzą, to mam przejebane, rozumiesz? Przejebane totalnie! W ogóle się ode mnie odpieprz! Tylko dobrze ci radzę: załatw to tak, żeby się moi nie dowiedzieli! Bo jak nie...

– Przestań! Mariusz... – szlocham. – Ja...

Chłopak wybiega z pokoju, po sekundzie słyszę trzask zamykanych drzwi wejściowych. Siedzę zwinięty w kłębek, nagi. Nadal czuję go w sobie, czuję jego brak. Łzy i rzadkie smarki płyną mi po twarzy. Wreszcie wstaję, wciąż szlochając, wkładam spodnie od dresu, wyłączam telewizor. Zastanawiam się, co zrobić. Wycieram z kanapy moją spermę brudną skarpetką, zwijam ją w kłębek i zaściskam w garści. Wychodzę z dużego pokoju i idę do siebie. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zamknąć za sobą drzwi. Czy się tu nie ukryć, nie zamurować. Na zawsze. Siadam na tapczanie, po chwili wstaję i wychodzę do przedpokoju. Mój ojciec siedzi w przy stole w kuchni. Nadal ma na sobie kozuch. Lewą dłoń położył płasko na stole, na drugiej, białej w włosy, oparł głowę. Ma zamknięte oczy.

– Tato... – odzywam się cicho i znowu zaczynam płakać.

– Tatusiu.

– To moja wina – mruczy ojciec. – To przeze mnie.

– Tato! – mówię głośniejszym głosem.

Ojciec podnosi głowę i spogląda przed siebie. Nie na mnie.

– Jadłeś coś? – pyta.

– Co? Tak – odpowiadam. – Ale...

– Dobrze. To idź do siebie.

– Ale, tato...

– Idź do siebie!!! No idź!!! – wykrzykuje i dodaje ciszej:

– Dobrze?

– Do... dobrze.

Odwracam się i wychodzę z kuchni. Policzki palą mnie jak ogień. Wracam do swojego pokoju, zamykam drzwi i zostaję tam aż do wieczora.

Ten dzień, lutowy wtorek 1993 roku, był ostatnim dniem mojego dzieciństwa. Był także dniem, w którym straciłem ojca. Co prawda mieszkaliśmy razem jeszcze przez dwa lata – aż do mojej osiemnastki, kiedy ojciec wynajął mi kawalerkę w Śródmieściu, do której się przeprowadziłem. Jednak przez te dwa lata właściwie ze sobą nie rozmawialiśmy. Ojciec mało czasu spędzał w domu, a gdy już w nim był, zaczynał pić. Upijał się regularnie – nigdy do nieprzytomności, ale na tyle, by stracić kontakt ze światem. Jedyne pytania, jakie mi zadawał, dotyczyły posiłków i szkoły. „Jadłeś coś?” albo: „Odrobiłeś lekcje?”. Traktował mnie jak zadżumionego – unikał bliskości, kiedy wchodziłem do pomieszczenia, w którym był, odsuwał się na najdalszy jego kraniec. Co prawda wszelkich fizycznych kontaktów – przytulania i pocałunków – zaprzestał kilka lat wcześniej, nie był jednak w tym dotąd aż tak ostentacyjny. Nigdy nie wrócił do tamtych wtorkowych wydarzeń, a gdy ja raz czy drugi usiłowałem do nich nawiązać – po prostu wychodził. Regularnie znajdowałem na szafce w przedpokoju moje kieszonkowe, które z miesiąca na miesiąc stawało się coraz wyższe – w dniu, kiedy się wyprowadzałem, właściwie równało się przeciętnej pensji. Później ojciec założył mi konto bankowe, na które zaczął przelewać pieniądze. I choć skończyłem szkołę ładnych kilka lat temu, a jeszcze wcześniej zacząłem pracować, pieniądze od niego nadal przychodzą, a jedyna informacja, jaka znajduje się przy przelewach, to formułka „tytułem zasilenia konta”. Myślę, że te pieniądze są bardziej dla niego niż dla mnie. Wysyłając je, składając comiesięczny haracz, czuje się mniej winny,

a może wręcz szlachetny: mimo iż jego własny syn okazał się pomyłką, robaczywym, zgniłym jabłkiem, on jednak nadal wywiązuje się z rodzicielskiego obowiązku. Nie korzystam z tych pieniędzy, ale też mu ich nie odsyłam. Zachowuję się tak jak on i moja matka — poza kartkami świątecznymi czy urodzinowymi, które wysyłam regularnie, nie dostrzegam jego istnienia.

Mariusz po feriach chodził do naszej szkoły tylko przez kilka tygodni. Później rodzice przenieśli go do liceum na Woli. Nie dowiedzieli się o niczym, ale mimo to on i tak wykasował mnie ze swojego życia. Tęskniłem za nim. Przez pierwsze dni prawie w ogóle nie mogłem spać, a gdy już zasypiałem — śnił mi się. Po kilku miesiącach zacząłem wracać do siebie, choć stale był obecny w moich myślach. Ostatniego dnia w szkole podszedł do mnie na przerwie i powiedział tylko: „Dzięki”. Nie jestem pewny za co właściwie mi podziękował — prawdopodobnie za to, że mój ojciec nie zjawiał się u niego w domu. Ale wolę myśleć, że podziękował mi za coś innego.



# K

## Koniec maja

I

– Pomyliła się pani – mówię twardo. – Niemożliwe, że-  
bym za cukier, makaron i kawę miała zapłacić ponad pięć-  
dziesiąt złotych!

– Nie pomyliłam się – wzdycha sprzedawczyni, żując gu-  
mę. – Mamy kasę fiskalną, ona się nie myli.

– Akurat! Niech pani sprawdzi.

– Co ja mam sprawdzać... Ech – sprzedawczyni macha  
ręką i zaczyna wystukiwać coś na kasie. – Kawa siedemna-  
ście pięćdziesiąt, trzy paczki makaronu rurki, razem dwa-  
dzieścia cztery. Cukier – trzy kilo, olejek migdałowy, ma-  
sło, proszek do pieczenia – dwa opakowania...

– Aha! – wykrzykuję triumfalnie. – A wzięłam tylko jed-  
no! Tylko jedno, a pani policzyła dwa.

Ekspedientka patrzy na mnie z kamienną twarzą, rusza-  
jąc miarowo szczęką.

– Drugie opakowanie gratis – mówi wreszcie. – Promo-  
cja jest. Razem wychodzi pięćdziesiąt trzy.

Ludzie za mną zaczynają coś mamrotać. Zaczyna mi się robić gorąco.

– Pani da tańszą kawę – mówię.

– Tańszą? Ale którą?

– Nie wiem. Tchibo.

– Tchibo szesnaście złotych. Razem będzie pięćdziesiąt jeden pięćdziesiąt.

– To jakąś inną tańszą.

– Czy pani nie przesadza? – pyta stojąca za mną dziewczyna. – O złotówkę będzie się pani targować?

– Jak będę chciała, to będę! – wykrzykuję do niej. – Nie pani interes.

– Tańsza to jest Pedros, ale bym nie polecała – mówi sprzedawczynie, kręcąc szczęką jak krowa. – To może lepiej mniejsze opakowanie?

– Dobrze. Mniejsze niech będzie.

– O głupią złotówkę robi taką aferę – mówi półgłosem dziewczyna za moimi plecami. – Już bym jej sama dołożyła tę złotówkę.

Przez krótką chwilę walczę ze sobą, żeby nie zacząć awantury. W końcu wzruszam ramionami, płacę i zabieram siatki. Mam przy sobie ostatnie pięćdziesiąt złotych do emerytury, ale na pewno nie będę się tłumaczyć przed tymi lafi-ryndami. Wychodzę ze sklepu i skręcam w stronę bramy na podwórko.

– Ania! – słyszę za sobą zdyszany głos. – Ania!

Odwracam się i staję twarzą w twarz z Krzysztofem. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, jak jestem ubrana, ale chyba może być. Zresztą, co to ma do rzeczy. Patrzę na niego bez słowa.

– Ania, poczekaj – mówi, przyglądając swoje cztery siwe włosy na łysej czaszce.

Wygląda lepiej niż ostatnio. Nie ma takiej przepitej gęby i jest w miarę czysty. Stary dziad. Kto by pomyślał, że to był taki piękny mężczyzna. Tyle tylko, że po wierzchu — od środka nie. A teraz się wyrównało. Oliwa sprawiedliwa.

— Czego chcesz? — syczę, rozglądając się wokół, czy aby nikt znajomy mnie z nim nie zobaczy. — Nie mam czasu, spieszę się.

— Ania, porozmawiaj ze mną — prosi błagalnym tonem. — Ja cię nie poznałem tamtego dnia, ale wiesz... Ja myślałem o tym, co wtedy było. Wiesz, i o małej.

— O małej myślałeś? — bezczelność tego śmiecia nie zna granic! — To wtedy trzeba było myśleć!

— Ja cię szukałem potem, ale ty pracę zmieniłaś i wyniosłaś się z tego mieszkania na Dąbrowskiego. Tego, co wam załatwiłem, wtedy. Ja chciałem...

— Jeszcze mi wypomni, że mieszkanie załatwił! — wykrzykuję cicho, biorąc się pod bok jedną ręką. — Szczyt wszystkiego! I czego kłamiesz, że mnie szukałeś? Ja pracy nie zmieniałam! W Animeksie zostałam do końca, więc bzdur mi nie opowiadaj. Jakbyś mnie chciał znaleźć, tobyś znalazł. Za głupią mnie masz, czy co?

— No, nie, to nie tak — zaczyna się jąkać. — Ja tylko chciałem porozmawiać, powiedzieć, że ja wtedy, no...

— Wtedy? Co wtedy? Co ty mi możesz powiedzieć? Starczy mi tego, co usłyszałam, jakżeś się ze mną targować zaczął. I koniec! Nie nachodź mnie tu więcej, bo policję wezwę! Zobaczysz!

— Ale Ania, Aniutek...

Odwracam się na pięcie i wchodzę do bramy. Zdenerwował mnie, aż mi się nogi trzęsą. Spoglądam za siebie tylko raz przez ramię. Stoi tam, gdzie go zostawiłam, ale za mną nie patrzy. Spuścił głowę i gapi się w chodnik. Istny obraz

nędzy i rozpaczy – ramiona obwisłe, zgarbiony. Przez chwilę robi mi się go żal, ale raz dwa pukam się w głowę i znikam w bramie.

Wchodzę do klatki schodowej i wyjmuję ze skrzynki listy. Rachunek za światło, telefon i coś jeszcze. Ach, z policji. Informują, że rozprawa Pawła Sieniawskiego została wyznaczona na początek lipca. Ponad miesiąc! No nic, grunt, że będzie. Tak czy siak przydało się, że ich wezwałam, bo od tego czasu spokój jak makiem zasiał. Ani żadnych hałasów, ani brudów. Cisza. I bardzo dobrze!

## II

– I jak ci tam? – pytam, gryząc orzechowe chrupki.

Leżę na łóżku, jednym okiem patrzę na TVN. Dziś wypchnęliśmy w końcu plansze z koncepcją kampanii jogurtowej i mam wolne przynajmniej przez kilka dni. Nawet nie muszę jeździć do firmy. Zrobię generalne porządki w domu i mam zamiar wyspać się za wszystkie czasy. Michał zadzwonił akurat, kiedy się położyłem.

– Dobrze – wzdycha.

– E, chyba nie do końca, co?

– Wiesz, ja tak dawno z nikim nie mieszkałem. To trochę trudne. Ale Darek jest wspaniały.

– I co robisz całymi dniami?

– Śpię, sprzątam. Chodzę na zakupy. Nic specjalnego. Potem jemy kolację i łazimy gdzieś wieczorami.

– Czyli nie jest źle – kwituję.

– Powiedzmy. Ale długo tak nie wytrzymam. Muszę iść do roboty, pieniądze mi się kończą, a nie chcę, żeby mnie Darek utrzymywał.

– A on?

– Co on?

– On też nie chce?

– Nie, mówi, że nie ma problemu. Zresztą on dużo zarabia. Ale jakoś mi to nie leży. Poza tym jego matka prawie codziennie dzwoni i za każdym razem pyta, czy już znalazłem pracę.

– Jego matka? To znaczy, że on jej powiedział o tobie?

– Pewnie. On ma bardzo dobre układy ze starymi. Co niedzielę jeździmy do nich na obiad.

– O Jezu...

– Nie, nie. Oni są naprawdę w porządku, wiesz? Matka Darka za każdym razem pakuje nam górę jedzenia do domu, a ona naprawdę dobrze gotuje. A jego ojciec całymi dniami ogląda Discovery, Animal Planet i Travel. Jest już na emeryturze, ale fajnie się z nim gada. Są dla mnie oboje bardzo mili. Hm... nawet więcej.

– Więcej?

– No, wiesz, traktują mnie jak syna. Mówię im po imieniu i w ogóle. Z moją matką to by było nie do pomyślenia. Gdyby się o mnie dowiedziała, chyba umarłaby na zawał.

– Znam to skądś – mówię kwaśno.

– Wiem, coś tam mi opowiadałeś o swoim starym. Ale moja matka raczej by się ode mnie nie odwróciła. Po prostu zaczęłaby się o mnie zamartwiać dzień i noc. Wykończyłaby się.

– Hm – postanawiam nie komentować. – A masz jakieś widoki na robotę?

– Ojciec Darka powiedział, że mógłby mi załatwić pracę w technikum. Ale ja już chyba nie chcę pracować w szkole. Nie po tym wszystkim.

– To co będziesz robił?

– Nie mam pojęcia. Może w jakimś prywatnym liceum, gdzie wszystko byłoby jasne i nikt by nie miał problemu

z tym, że jestem gejem. I dzieciaki by były starsze, żeby nie było jakichś smrodów. Ale to marzenie ściętej głowy.

– Poczekaj chwilę – mówię i sięgam do szafki przy łóżku. – Skręć sobie blancika.

– O, Boże, jak ci zazdroszczę! Ty świniu.

– Czemu?

– Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś paliłem. A taką mam ochotę.

– No, nie mów mi, że nie możesz znaleźć w Krakowie dostawcy!

– Pewnie, że bym mógł. Ale Darek chyba by mi łeb urwał, gdyby się zorientował. On nawet papierosy pali tylko na imprezach. Zero alkoholu, nic. Żadnych używek.

– Przerażające! – mówię, zwilżając brzeg bibułki. Przypalam skręta, zaciągam się dymem. Przytrzymuję go przez kilkanaście sekund w płucach i wypuszczam. – Znowu te gnidy w telewizji.

– Jakie gnidy?

– Między innymi twój niedawny przełożony.

– Giertych? Jedno dobre w tym wszystkim, że już się nie muszę przejmować tym debilem. Niedługo pewnie każe, żeby w szkołach na przerwach leciało Radio Maryja przez głośniki na przerwach.

– A zauważyłeś... – zaciągam się znowu. Błyskawicznie się dziś upalam. – Zauważyłeś, że oni wszyscy, wiesz ci z prawej...

– No?

– To takie pokurcze? Ani jednego przystojnego faceta, same wypierdki.

– Fakt.

– A z lewej całkiem przystojni. Choćby Kwaśniewski czy nawet Miller...

– Kwaśniewski gruby.

– Ale jak chudy, to niezły. A ten Wojciech Olejniczak? Zajebiecie przystojny gostek. Seksowny, inteligentny, rozsądny i bez odchyłów. Idealny facet!

– Fakt, ciacho! Wszyscy geje by na niego głosowali. SLD powinno rozrzucić ulotki z jego zdjęciami – najlepiej takimi bez koszuli i spodni – w gejowskich klubach. Albo chociaż plakaty powiesić. Ale i Marcinkiewicz był całkiem, całkiem – a z prawicy.

– No, powiedzmy, chociaż zupełnie nie mój typ. Ale na bezrybiu... Inni są beznadziejni. Małe pokurcze, łby i dupy wielkie, szyje krótkie. Nie ma ani jednego przystojnego prawicowca.

– No, bo jak facet jest przystojny, to nie ma kompleksów. Wśród fanatyków raczej nie było nigdy przystojnych facetów. A tacy różni wybrakowani muszą nadrabiać. Najłatwiej potępieniem innych. W imię religii.

– Racja – mówię.

Odkładam komórkę i włączę pod koldrę. Coś nie za bardzo się czuję, chyba wykończyła mnie ta kampania jogurtowa. Nie mówiąc już o nerwach z tym kurwizsonem, który na mnie policję nasłał. Będę miał przez tę katolicę sprawę w sądzie. W sądzie! A, tam, po co mam teraz o tym myśleć. Wyśpię się i jutro będzie dobrze.

Ale nie jest. Następnego dnia budzę się z bardzo wysoką gorączką. Jestem kompletnie bez sił. Nie mam kataru ani bólu gardła, ale rwą mnie wszystkie mięśnie. Zaczynam chorować.

### III

Bardzo nie lubię sama chodzić do kościoła. To już trzecia... nie, czwarta niedziela, kiedy jestem tu sama jak palec.

Wyjmuję ukradkiem miętówkę z torebki i wkładam do ust  
— zaraz komunია.

— Na tych, którzy w niwecz obracają Dzieło Boże, przyjdzie kara. Ci, którzy za srebrniki sprzedają wiarę i nauki Chrystusowe; ci, którzy tarzają się w rozpuście, a cielesne uciechy przedkładają nad życie w zgodzie z boskimi przykazaniami, spadnie miecz. Ci, którzy odwracają się od rodziny, Kościoła i Chrystusa, na wieki potępieni będą. Lecz nie myślcie, że kara ta nadejdzie po kresie żywota. Że dopiero po ich śmierci w piekielnym ogniu smażyć się będą! Nie jest tak, bo Pan Bóg zadbał o to, by grzesznicy pokarani już dziś zostali. Dla tych, którzy się go wyrzekli — nędza i samotność. Dla tych, którzy folgują swym nienaturalnym popędom — choroba i śmierć bolesna. Czyż nie widzimy tych znaków już dziś? Czyż ci, którzy jeszcze niedawno Kościoł za nic mieli i stołki wysokie zajmowali, nie są dziś nędzarnikami i nic nie znaczą? — pyta ksiądz Marek z ambony.

Amen! — wykrzykuję w duchu i myślę o Krzysztofie.

— A czyż nie jest tak, że ci, którzy prawa boskie w pogardzie mają, ci, którzy naigrawają się ze świętej instytucji małżeństwa, folgują dewiacjom i zboczeniom, a za podszeptem szatana mężczyzna z mężczyzną spółkuje, a kobieta z kobietą — czyż i na nich kara nie spada? Bo to sam Pan Bóg sprawił, że choroba śmiertelna do ich zepsutych ciał weszła i niszczy ich od środka i śmierć na nich sprowadza.

Amen! — powtarzam po cichu i myślę o tym pedale z naprzeciwnika.

— Módlmy się! — intonuje ksiądz Marek.

Zsuwam się z ławki i klękam. Wyjmuję z torebki dziesięć złotych, żeby móc je od razu położyć na tacę bez szukania, i zamykam banknot w złożonych do modlitwy dłoniach. Dobrze, że emerytura w piątek przyszła. Rozglądam się



ukradkiem w poszukiwaniu Janki, ale jej nie widzę. Zawsze chodziła na tę mszę, dziwne.

Wychodzę z kościoła na rozpaloną ulicę. Powietrze pachnie kurzem i asfaltem — zupełnie jak latem, tyle że to dopiero czerwiec. Wszystko teraz nie tak. Nie ma już supersamu, nie ma kina Moskwa, w którym oglądałam *Noce i dnie* czy *Anatomię miłości*; do którego prowadziłam Małgosię na *W pustyni i w puszczy* i na *Akademii Pana Kleksa*. Teraz w tym miejscu stoi wielka, szklana stodoła, niby też tam mają i kino, ale jakieś nie takie. Na froncie wywieszony wielki plakat, na którym kuca ubrany w czerwony kombinezon mężczyzna. Jak z cyrku. *Spiderman*. Jakaś kolejna głupota. Gdzie są tamte filmy? Brylska, Barańska, Łapicki, Alain Delon? To było kino! Człowiek na to patrzył i zupełnie jakby to życie było. Tyle że lepsze, ciekawsze, prawdziwsze. A teraz co? Facet w czerwonych rajstopach kuca na wieżowcu. O co tu chodzi? Ciężko pojąć.

Wchodzę na podwórko i spoglądam na okno Sieniawskiego. Otwarte. Pewnie jest w domu, coś podobnego — w niedzielę rano. Prawie wcale go nie słyhać ostatnio, nawet wczoraj wieczorem cisza była, a zawsze łupało w soboty. No i Bogu dzięki.

Jest już po jedenastej, muszę się uwijać. Małgosia obiecała, że przyjdzie — wczoraj nawet dzwoniłam i potwierdziła. Robię knedle z truskawkami, takie jak lubi. Ze śmietaną i cukrem pudrem. I kompot z rabarbaru.

Wszystko mam gotowe przed drugą. Czekam. W telewizji nic nie ma. Jak to jest, że kiedyś były tylko dwa kanały, a człowiek zawsze miał na co popatrzeć, a teraz można przełączać i przełączać, i zawsze coś innego, a nic do oglądania? Pstrykam pilotem i zatrzymuję się na TVN 24. No, jedno, co dobre, to to, że teraz przynajmniej dobrzy ludzie rządzą.

I Kaczyński dobry prezydent. Ja to nigdy zaufania nie miałam, jak kto za bardzo przystojny był, bo takim to nic a nic wierzyć nie można. Gierek na przykład – chłop był z niego jak ta lala, a ile napsuł. A ten może i niepiękny, ale jak mu uczciwie z oczu patrzy. I brata ma przy sobie, a to dobrze o człowieku świadczy, jak o rodzinę dba. A Giertych? Nie dość, że mądry człowiek, to i postawny taki. Krew z mlekiem, jak moja mamusia mawiała. Nie to co ten cały Miller – jak co mówił, to człowiek za każdym razem miał wrażenie, że albo nieprawda, albo żarty sobie robi i się naigrawa. Złe oko. A Kwaśniewska? Fałszywa taka i zawsze prosto od fryzjera, ile ona na tego fryzjera pieniędzy wydawać musiała. Nie to co Kaczyńska – ta od razu widać, że swoja i u fryzjera nie przesiaduje.

Małgosia przychodzi o piątej. Już się zaczynałam denerwować.

– Siadaj, córca – mówię, prowadząc ją do stołu. – Siadaj.

– Czemu kładziesz ceratę na stole? – marszczy nos z niesmakiem. – Przecież to okropne.

– A czemu okropne? Nie brudzi się wcale, a popatrz jakie ładne kolory.

– Ale tak na plastiku jeść.

– Ale to prawie nie widać, że plastik! Jak obrus wygląda i to haftowany w dodatku. Zrobiłam ci knedle – mówię.

– Oj, nie! Dziękuję, ja już po obiedzie jestem.

– Jak to po obiedzie? No przecież do mnie na obiad miałaś przyjść?

– Tak, ale zjadłam wcześniej.

– No, ale ja ci specjalnie knedle ulepiłam. Z truskawkami, takie jak lubisz.

– Mamo, nie rób problemów. Będziesz miała obiad na jutro, i tyle.

Patrzę na nią bezradnie. Przecież wszystko, co dla niej zrobić mogłam, to ten obiad. I jak to tak, nic ode mnie już nie chce? Nic jej nie mogę dać? Chuda taka, zupełnie nie jak moje dziecko. Kiedyś się nie malowała, no prawie — tyle tylko co szminką, czasem trochę pudru użyła. A teraz brwi wyskubane, oko zrobione, gładka taka. I same kości.

— To ja ci te knedle zapakuję. Weźmiesz je sobie do domu — decyduję.

— Mamo, no i po co? Ja w domu nie jem.

— To gdzie ty jesz?

— W pracy.

— Ale dziś w pracy nie byłaś.

— Dziś jadłam na mieście.

— Dziecko, ty mi się wykończysz — załamuję ręce. — Jak ty wyglądasz? Jak śmierć na chorągwi.

— Znowu zaczynasz. Nie zaczynaj — wdycha Małgosia.

— Ale ty za szczupła jesteś.

— Nieprawda! Jeszcze muszę zrzucić parę kilo. Z bioder przede wszystkim. I z ud.

— Z ud? Przecież ty masz uda jak mój nadgarstek. Co ty z nich chcesz zrzucić? Skórę?

— Mamo, głowę mi suszyłaś, żebym przyszyła, to jestem. A ty się czepiasz.

— Wcale się nie czepiam. Martwię się.

— To się nie martw.

— Może chociaż kompotu ci naleję?

— Nalej — mówi z rezygnacją Małgosia. — Tylko bez faflunów.

Przynoszę jej szklankę z kompotem — sama różowa woda. Małgosia moczy w niej usta i odstawia na stół.

— No, prawie nie upiłaś!

— Upiłam.

– Tyle co kot napłakał.

– Rany boskie.

– Małgośka! – upominam ją. – No, napij się.

– Nie chce mi się pić. Daj mi spokój!

Siedzi i rozgląda się po pokoju. Tyle bym jej chciała powiedzieć, tyle myślałam, a teraz mam pustkę w głowie.

– Jak w pracy? – pytam wreszcie.

– Może być.

– Nie dokuczają ci tam?

– Czemu mieliby dokuczać?

– Bo w szkole ci dokuczali, pamiętasz?

– Nie pamiętam.

– Nie pamiętasz, jak ta Krasieńko za tobą krzyczała, jak cię raz pobiła z koleżankami? Musiałam do szkoły chodzić, żeby z tym porządek zrobili.

– Nie pamiętam. To było dawno.

– Ciagle się ciebie czepiali, chwili spokoju nie miałam.

Małgosia odwraca szybko twarz w moją stronę i spogląda mi w oczy. Bez mrugnięcia. Wpatruje się we mnie, aż mi się nieswojo robi.

– No co? – pytam. – Nie było tak?

Odrywa ode mnie wzrok i dalej rozgląda się po pokoju.

– A co u ciebie? – pyta.

– Dobrze.

– Dobrze się czujesz?

– No, właściwie dobrze. Plecy mnie pobolewają trochę, ale to nic.

– Aha. To dobrze.

Zaczyna bawić się szklanką z kompotem. Przechyla ją powoli raz w lewo, raz w prawo; okręca i przesuwając po ceracie.

– Wylejesz zaraz – mówię.

Odsuwa kompot i wstaje.

– Muszę już iść. Jarek czeka na dole.

– Jak to już? Przecież nawet dziesięciu minut nie posiadałaś! – wykrzykuje. – Tyle cię nie widziałam, a ty wpadasz jak po ogień! Co to za Jarek w ogóle?

– Przyjdę jeszcze, ale już muszę iść. Bo czeka.

– To go poproś, żeby wszedł! Knedli mu dam.

– Lepiej nie. Zresztą on się spieszy. Do widzenia, mamo.

– Ale poczekaj no, chociaż ci kilka zapakuję. Weźmiesz w słoiku – zrywam się od stołu i ruszam w stronę kuchni.

– Nie trzeba – łapie mnie za łokieć.

Zupełnie, jakby mnie kto grabkami chwycił albo ptasią łapką. Jej cienkie palce zagłębiają się w moim ciele, wysuszone, chłodne i kruche. Łzy zaczynają napływać mi do oczu.

– No, to do widzenia – Małgosia pochyla się i na ułamek sekundy dotyka ustami mojego policzka. Leciutko jak motyl skrzydłem na polu.

Stoję na środku pokoju, a moja córka odwraca się i wychodzi. Widzę jej plecy. Jest jej coraz mniej. Znika. Trzaskają cicho wejściowe drzwi.

#### IV

W niedzielę budzę się po dwunastej złany potem i kompletnie nieprzytomny. Nie wiem przez moment, ani gdzie jestem, ani kiedy. Sięgam po butelkę coli, którą wieczorem postawiłem przy łóżku, ale jest pusta. Wczoraj było w niej sporo ponad litr, kiedy ja to wypilem? Czuję się taki słaby, że chyba nie dam rady ruszyć nogą, nie mówiąc o wstaniu, ale przynajmniej przejaśnia mi się trochę w głowie. Wreszcie wstaję i trzymając się ściany, sunę powoli do kuchni. Wyjmuję z szafki ostatnie opakowanie aspiryny, rutinoscobin i termometr. Skończyły mi się soki, nalewam wody

z czajnika do szklanki i wracam do pokoju. Co się ze mną dzieje? Musiałem gdzieś podłapać grypę. Zawsze się tak dzieje. Kiedy tylko mam parę dni wolnego, zaczynam chorować. Co ja w ogóle na sobie mam? Spodnie od dresu, T-shirt i wełnianą kamizelkę Burlingtona założoną na lewą stronę. Zupełnie nie pamiętam, kiedy to wszystko na siebie wciągnąłem. Wyciągam z szafy cienką bluzę z długim rękawem i bawełniane spodnie od pidżamy. Przez moment mam wrażenie, że nie uda mi się zdjąć kamizelki i koszulki — są przesiąknięte potem, oblepiają mnie jak taśma klejąca. Nie mam siły podnieść rąk. Wreszcie udaje mi się wyswobodzić z mokrego ubrania. Siedzę nagi na brzegu łóżka, dyszę ciężko. Cholernie zimno, jak może być tak zimno w czerwcu? Zakładam bluzę, skarpety i spodnie. Powinienem zmienić pościel, przynajmniej prześcieradło, ale nie mam siły. Przewracam kołdrę wierzchnią stroną pod spód i wczolguję się pod nią. Jest lodowata. Zaczynam szczekać zębami. Wkładam pod pachę termometr, łykam dwie aspiryny, cztery żółte tabletki rutinoscorbinu i zakrywam się po czubek nosa. Cholerny pech, a myślałem, że jutro wybiorę się nad Wisłę i poopalam. Raczej nic z tego. Zaczynam przysypiać: maszeruję dokądś chodnikiem, gubię krok, wierzgam nogą i budzę się gwałtownie. Wyjmuję termometr. Kurczę, nic nie widzę. Podtykam go pod nos, przymykam jedno oko. Nic się nie... Patrzę uważnie i robi mi się słabo. Słupek rtęci sięga powyżej trzydziestu dziewięciu stopni, sporo powyżej. Mam prawie czterdzieści stopni. Nigdy w życiu nie miałem takiej temperatury, nigdy. Cały się trzęsę. Co mi jest?

Odkładam ostrożnie termometr na szafkę przy łóżku. Powinienem zamknąć okno, ale nie mam siły wstać. Owijam się dokładnie kołdrą i zamykam oczy.

Przez resztę niedzieli budzę się i zasypiam. Nie jestem pewny, czy to, co widzę, śni mi się, czy nie. Mam wrażenie, że ktoś jest w moim mieszkaniu, że ktoś stoi obok okna, ale słońce świeci mi w oczy, nie mogę dostrzec, kto to. Widzę tylko zamazaną sylwetkę.

— Tata? — pytam piskliwie.

Potem wydaje mi się, że jestem w domu ojca na Franciszkańskiej, i zastanawiam się, dlaczego ściana obok łóżka jest z niewłaściwej strony. W moim dawnym pokoju miałem ją po prawej, a teraz nagle znalazła się po lewej. Próbuję zawołać ojca, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu. Nagle budzę się bardziej przytomny, siadam na łóżku i wypijam całą szklankę wody, aż do końca. Jeszcze chce mi się pić, ale nie daję rady wstać. Kładę się na drugim boku i znowu przysypiam.

Po dziewiętnastej gorączka trochę spada. Przynoszę sobie z kuchni drugą szklankę wody i pełen czajnik na wszelki wypadek, zamykam okno. Udaje mi się nawet zdjąć prze-moczone, skręcone prześcieradło i położyć inne — czyste i suche. Poprawiam poduszkę, przewracam kołdrę na drugą stronę i wślizguję się pod nią. Nie jest mi już tak zimno. Zamykam oczy.

Mam sześć lat. Moja matka już uciekła, ale jeszcze o tym nie wiem. Na razie myślę, że po prostu wyjechała — ona ciągle wyjeżdża. Wraca zwykle po kilku dniach lub tygodniach i za każdym razem przywozi mi jakiś prezent. Żelazniaki Matchboksa, klocki lego, kolorowe komiksy Richie Rich, pluszową Myszkę Miki. I ubrania, ale one mnie nie interesują. Najważniejsze są zabawki. To zagraniczne rzeczy, pachną inaczej niż polskie. Lubię ten zapach. Mam specjalną półkę w pokoju, na której ustawiam prezenty od mamy. Jest już prawie pełna, niedługo będę potrzebował drugiej

– tak myślę. Nie wiem jeszcze, że zbiór prezentów od mojej mamy jest już zbiorem zamkniętym. Że już nigdy się nie powiększy. A zagraniczny zapach tych kolorowych zabawek z każdym dniem będzie coraz słabszy i słabszy, aż w końcu się ulotni – tak jak wspomnienie zapachu i dotyku mojej matki. Ale na razie myślę, że tylko pojechała gdzieś do pracy i niebawem wróci.

Nie ukazała się też jeszcze książka mojego ojca, a on sam jeszcze ma nadzieję i jest wciąż pełen siły, woli walki. Wie już, że mama nie wróci, ale nie daje tego po sobie poznać. Zachowuje się jak zawsze. Jakby nie robiło to na nim wrażenia. Może rzeczywiście nie robi.

Jesienny wieczór, koniec października. Niedługo będzie Wszystkich Świętych i wybierzemy się na groby – na Bródno, do moich dziadków ze strony taty, których nie znałem, bo umarli przed moim urodzeniem. Lubię te wieczorne wyprawy na cmentarz – niekończące się szeregi płonących świeczek zawieszonych w ciemniejącej przestrzeni. Właśnie tak sobie wyobrażam kosmos, o którym lubi opowiadać mi tata – jako szarzejącą, bezkresną przestrzeń, w której płoną dziesiątki, setki, tysiące kolorowych gorących świec, jedne dalej, a inne bliżej.

Za oknem pada deszcz, słyszę ciężkie krople uderzające o parapet. Leżę już pod kołdrą, w pokoju pali się tylko mała lampka-grzybek, przymocowana do zagranicznej półki nad moim łóżkiem. Czekam na tatę.

– Tata, już! – wołam.

– Idę, idę – odkrzykuje.

– No, chodź! Tata!

Po chwili mój ojciec przychodzi. Ma na sobie gruby, czerwony golf. Siada na krześle przy moim łóżku, na razie nie potrzebuje okularów do czytania, na to przyjdzie jeszcze



czas. Bierze do ręki książkę. Czyta mi co wieczór, odkąd pamiętam. *Dzieci z Bullerbyn*, *Karolcia*, a później: *Dzieci kapitana Granta*, *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, *Wielka, większa, największa*. Codziennie jeden rozdział, a niekiedy – gdy rozdziały są krótkie – dwa. Teraz czytamy *Było to za sto lat* Kiryła Bułyczowa. Bardzo podoba mi się ta książka, już prawie koniec. Tata zaczął mi ją czytać jeszcze przed wyjazdem mamy.

– To za trudne dla niego – powiedziała. – Andrzej, on ma dopiero sześć lat.

Ale książka nie jest za trudna. Nie wszystko rozumiem, ale wtedy pytam taty.

– Co to pole siłowe?

– To taki niewidzialny mur – mówi. – Nie można go zobaczyć, ale się go czuje.

– Jak wiatr? – pytam.

– Mniej więcej. Tylko się nie rusza. Stoi w miejscu i jest jak ściana z niewidzialnego szkła.

To proste. Czasami pytam nawet o coś, co już wiem – lubię, gdy tata tłumaczy.

– Skończysz dziś? – pytam.

– Chyba nie, jeszcze ponad trzydzieści stron do końca.

– Obawiam się, że musisz skończyć – wdycham ciężko i robię minę ciotki Maryśki: „No, nie ma lekko, ale cóż poradzić”.

Tata uśmiecha się pod nosem i otwiera książkę.

Za oknem wieje wiatr. Deszcz zaczyna o szyby. A my obaj, bezpiecznie zamknięci w kręgu światła rzucanego przez lampkę, przenosimy się w inny, równoległy wszechświat. W naszą własną, prywatną rzeczywistość istniejącą poza realnym, codziennym życiem; odgradzoną siłowym polem – barierą, której nie widać, ale której nie przekroczy nic i nikt.

Niewidocznym murem przypominającym stojący w miejscu huragan.

Tata czyta dziś dłużej niż zwykle. Całe trzy rozdziały.

– Koniec – mówi wreszcie.

– To była naprawdę fajna książka – mówię z westchnieniem żalu. – Szkoda.

– Jutro pójde do biblioteki i wezmę ci, Pawciu, jeszcze coś Bułyczowa.

– Dobrze. Tylko nie zapomnij! – kiwam palcem.

Ojciec zaczyna się śmiać. Odgarnia kołdrę, podciąga moją górę od piżamy i całuje mnie w brzuch. Wydycha powietrze i jego usta na mojej skórze wydają zabawny dźwięk. Jak balon, z którego ucieka powietrze. Łaskocze mnie i drapie zarostem. Zaśmiewam się wniebogłosy i wierzgami nogami.

– Kto jest synkiem tatusia? No, kto? – pyta ojciec, unosząc roześmianą twarz znad mojego pępka i patrząc mi w oczy.

– Pawcio! – wykrzykuję, obejmując go za szyję. – Ja!

W poniedziałek nie czuję się lepiej, tak samo we wtorek. Gorączka waha się między trzydziestoma ośmioma a czterdziestoma stopniami i nie spada. Dnie i noce zlewają się w mojej świadomości w jeden koszmarny ciąg, w którym śpię i nie śpię jednocześnie. Jem na siłę wędlinę, którą mam w lodówce, żółty ser. Jedzenie się kończy i choć nie mam apetytu, wiem, że powinienem wyjść coś kupić. Tyle tylko, że wydaje mi się to niemożliwe. Czuję się okropnie, tak okropnie jak jeszcze nigdy. Nie wiem, do kogo zadzwonić, kogo poprosić o pomoc. Ciotkę Maryskę? Ostatecznie, ale wolałbym nie. Szkoda, że Michał wyjechał. Wieczorem we wtorek dzwonię do Łuśki.

– Hej! – wykrzykuje do słuchawki. – No, tylko mi nie mów, że coś nie tak z kampanią! Nie ma mowy, żebyśmy przyjechała do fabryki!

– Nie, wiesz, coś się pochorowałem chyba...

– Bo chyba się prędzej zwolnię, niż przyjdę – kontynuuje Łuśka. – Kazik też wziął wolne i wcale nie wychodzimy z łóżka. Mam zamiar tak spędzić cały tydzień!

– Łuśka, wiesz co? – mówię głośniejszym głosem. Brakuje mi oddechu. – Strasznie się pochorowałem.

– Co? Co ci jest?

– Nie wiem. Mam okropną gorączkę i zdycham.

– Byłeś u lekarza?

– Nie, nie mam siły. Jedzenie mi się kończy i...

– Dobra. Zaraz u ciebie będę. Muszę tylko taksówkę zawołać, bo jesteśmy trochę upaleni. Rakowiecka ile, bo nie pamiętam?

Podaję jej numer i odkładam telefon na szafkę. Lodowaty pot zalewa mi oczy.

Łuśka przyjeżdża po pół godzinie – udaje mi się dowlec do drzwi i odblokować zamek.

– Jestem! Błyskawicznie się udało, co? No i jak... – Łuśka przygląda mi się uważnie i przestaje kłapać dziobem. Po chwili mówi: – Kurwa mać.

Łapie mnie pod rękę i prowadzi do pokoju.

– Nie wiem, co za świństwo – mamroczę. – Całą aspirynę wziąłem i jedzenie mi się kończy...

– Zakładaj! Raz dwa! – przerywa mi i rzuca na łóżko moje dzinsy. Wyciąga z szafy czystą koszulkę i bluzę z kapturem. – I to.

– Ale... ale po co?

– Jedziemy do lekarza.

– Zwariowałaś? O tej porze? – zaczynam protestować słabo. – Nigdzie nie jadę.

– Nie gadaj, tylko się ubieraj. Albo sama cię ubiorę. Wyglądasz jak żywy trup z salcesonu.

- Ja nie chcę do lekarza. Samo... samo mi przejdzie...
- mamrocę, usiłując wypełznąć z powrotem do łóżka.
- Sranie w banie – odpowiada Łuśka i przestaje ze mną rozmawiać.

W ciągu pięciu minut jestem całkowicie ubrany. Łuśka wiąże mi sneakersy na nogach i podchodzi do szafy.

- Gdzie masz jakąś torbę?
- Torbę? Po co torba?
- Na wszelki wypadek.
- Co ty gadasz...
- Już mam.

Wyciąga z górnej półki czerwoną torbę Adidasa i zaczyna do niej wrzucać jakieś ubrania.

– Gacie, skarpetki, T-shirty – mamrocze pod nosem do siebie. – Co jeszcze? O, spodnie od dresu! Dobra, jeszcze coś do czytania. Ipoda też ci zapakuję, gdzie masz słuchawki? Laptopa lepiej nie brać, jeszcze ci go buchną. A! No i jeszcze kosmetyki.

Wybiega do łazienki. Nie wiem, o co jej chodzi, ale zaczyna mi to być obojętne. Walę się na łóżko w ubraniu i zamykam oczy. Zanim udaje mi się zasnąć, podrywa mnie na równe nogi potężnym szarpnięciem.

– Ej, tylko mi tu nie śpij! – wykrzykuje. – Jedziemy!

Pozwalam się wyprowadzić na korytarz. Łuśka zamyka za nami drzwi na klucz.

– Patrz, tu ci chowam, ej! – podtyka mi pod nos torbę.

– Do kieszonki. Tu masz też dokumenty, karty kredytowe i pieniądze. Rozumiesz?

Kiwam głową i opieram się ciężko o ścianę. Mam nogi jak z waty.

– No, daawaj! – dziewczyna przerzuca sobie moje ramię przez bark. – I raz! Ty, ruszaj się lepiej, bo nieść to cię

nie dam rady w żadnym wypadku. Przytrzymaj się barierki, dobra? Uważaj, schody!

Sprowadza mnie na dół i po chwili pakuje do taksówki. Wszystko mi się zamazuje i tracę przytomność.

## V

Już mam się prawie kłaść, kiedy słyszę hurgot na korytarzu. No, zaczyna się! Za długo był spokój! Podchodzę na palcach do drzwi wejściowych i wyglądam przez wizjer. Jakaś dziewczucha wychodzi z mieszkania Sieniawskiego. Co u niego robi dziewczyna? Koń by się uśmieł! Zmieniam oko i wyglądam znowu. Jest i on. Pijany jak bela! Oczywiście! Degenerat jeden. I gdzie ona go ciągnie? Dziewczyna zamyka drzwi na klucz i chowa go do czerwonej torby, którą trzyma w ręku.

— Patrz, tu ci chowam! — mówi do niego głośno i wyraźnie. Wszystko słyszę. — Do kieszonki. Tu masz też dokumenty, karty kredytowe i pieniądze. Rozumiesz?

Sieniawski chwieje się na nogach i opiera o ścianę. Zalały w pestkę! Chociaż... Znowu zmieniam oko i spoglądam drugim. Kiepsko widać, ale on zdaje się nie jest pijany. Białe jak kreda, pod oczami czarne wory, włosy w mokrych strąkach. Albo się czym struł, albo...

— No, dawaj! — wykrzykuje dziewczyna i łapie go wpół.  
— I raz! Ruszaj się, bo nieś to cię chyba nie dam rady.

Sieniawski opiera się na niej całym ciężarem i zaczynają powoli schodzić ze schodów. Cholera, że też moje okno na ulicę nie wychodzi, ciekawe, gdzie go ciągnie. No i przysłała kryska na matyska! — chichoczę cicho. A słowo ciałem się stało — kara boska. I kto powie, że Boga nie ma? Dokładnie jak ksiądz Marek powiedział! Dzięki ci, Panie na wysokościach.

## VI

Budzę się w pustej sali. Obok stoją trzy inne łóżka, ale nie ma na nich pościeli. Szpital? Wygląda na szpital, ale dlaczego tak tu pusto? Przy moim świeci się mała lampka. Nie mam pojęcia, gdzie jestem ani jak się tu dostałem. Pamiętam izbę przyjęć. Łuska coś wykrzykiwała, szarpała mnie za ramię. Potem byłem w jakimś gabinecie, ktoś zdjął mi bluzę i T-shirt, pamiętam zimny dotyk stetoskopu na skórze. Robili mi jakieś zastrzyki i pobierali krew. Ale to był chyba inny szpital, bo pamiętam karetkę i latarnie przesuwające się za oknem. Jestem ledwo żywy, ale czuję się trochę lepiej. Przynajmniej myśli mi nie uciekają. Zaglądam do szuflady szafki nocnej stojącej przy moim łóżku – jest moja komórka. Wyciągam ją i sprawdzam godzinę. Minęła czwarta rano. Gdzie ja jestem, do cholery? Opadam bez sił na poduszkę. Nieważne, wszystko mi jedno. Zamykam oczy i znów zapadam w ciężki, mroczny, chorobliwy sen.

## Lato 1975

Na moje trzydzieste drugie urodziny dostaję dwa wspaniałe prezenty. Oba od Olki, mojej starszej siostry. Sama nie wiem, z którego bardziej się cieszyć! Pierwszy to eksportowa spódnica maksy z Mody Polskiej. Jest uszyta z materiału udającego pozszywane kwadraty drukowanej czerwonej, niebieskiej i czarnej bawełny. Nie mam pojęcia, jak mojej siostrze się udało zdobyć coś takiego, ale darowanemu koniowi nie zagłada się w oczy, nie? Będę ją codziennie nosiła. Co-dzien-nie! A drugi prezent jest taki, że Olka ostatecznie przyjęła oświadczyzny Zenka — biorą ślub za miesiąc, a potem przenosi się do niego do Łodzi. Z jednej strony trochę mi smutno, ale z drugiej... szerokiej drogi! Bo teraz w mieszkaniu przy Ogrodowej zostaniemy same — moja mamusia i ja. Trudno mi to sobie wyobrazić — cała kuchnia będzie tylko dla mnie! I nie będę już musiała spać na zapadniętej przedpotopowej amerykance, tylko zajmę tapczan Olki. W ogóle wszystko przemebluję — amerykanka

wyjedzie na śmietnik, ten stary kredens też. Sprawię sobie wyszkowską meblościankę, taką z przesuwanymi drzwiami – wcale nie trzeba kupować wszystkiego za jednym zamachem, można dokupować kawałki i ustawiać jeden na drugim. Jak się dostanie oczywiście, ale Uła, ta z parteru, zna kogoś, kto pracuje w sklepie meblowym, więc nie będzie problemu. I szafę sobie kupię, dwudrzwiową. Nie będę musiała trzymać ubrań w pokoju mamusi i wysłuchiwać jej uwag na temat tego, co, jak i z czym zakładam. Bo, powiedzmy sobie szczerze, mamusia jest dobry człowiek, ale pod względem mody trochę jakby niedzisiejsza, nie? O rany, będzie jak w rajach!

Maszeruję Marszałkowską w stronę pracy i nucę pod nosem *Małgośkę* – niby to sprzed roku, ale i tak fajne. Znowu puszczali dziś rano w *Lecie z Radiem*. Właściwie też bym mogła sobie włosy zrobić na Rodowicz. Długie są, a grzywkę przyciąć to żadna filozofia. Tyle tylko, że ciemne, a trochę się boję rozjaśniać, bo jeszcze mi się spała albo co. Chociaż można by Londa, Londa podobno nie pali. Ale jak ja bym wyglądała z taką jasną szopą? Jak dupa w nocy, bez dwóch zdań. I już ja wiem dobrze, co by mamusia powiedziała, gdyby mnie zobaczyła z takimi włosami. Życ by mi nie dała. Ale mi dobrze dzisiaj. Już prawie trzy miesiące, jak się ten Wiesiek przestał kręcić pod moim domem, bardzo mądrze zrobiłam, że go pogoniłam. Dwa razy w lutym przyszedł pijany, po co mi to? Może i ładny chłopak, obrotny w dodatku, ale co by to było dalej? Już mi wystarczy tego, co się w domu napatrzyłam, zanim się nasz ojciec na śmierć zapisał. A mówiłam Wieśkowi jak komu dobremu, że jeśli od niego alkohol pocuję, z nami koniec. Nie posłuchał, to i teraz ma. Zresztą nie ma co oczu wyplakiwać nad wylanym mlekiem, nie? Było, minęło. Chociaż trochę mi się cknę do



niego czasami, bo wesoło to z nim było. Nieważne, co ja będę o tym teraz rozmyślała? Tylko mi się humor zwarzy. Skręcam w Sienną i dochodzę do pracy.

Pracuję w Animeksie, czyli w Centrali Importowo-Eksportowej Artykułów i Przetworów Pochodzenia Zwierzęcego. Taka długaśna nazwa. Nawet nie tyle w samym Animeksie, chociaż do niego należymy, tylko w czymś, co wcześniej było niezależnym przedsiębiorstwem odpowiadającym za obrót dziczyzną i drobiem. Potem niby się połączyliśmy z Centralą Spółdzielni Jajczarsko-Drobiarskich i Centralą Mięsną, ale kto by się tam w tym wszystkim połapał. Więc powiedzmy, że to Animex, i tyle. Prowadzę tu bufet. To znaczy jestem zastępczynią kierowniczką bufetu, ale już prawie jakbym nią sama była. Bo Bożena pewnie z końcem roku przejdzie do Rybeksu, a wtedy kto dostanie jej posadę? Ja oczywiście, bo któż by inny. Nasz bufet mieści się na ostatnim piętrze, piękny widok mamy. Jest jeszcze stolówka w podziemiu, ale ja już bym chyba umrzeć wolała, niż tam pracować. One, te ze stolówki, są gorsze, my – lepsze. Bo to my mamy dostęp do różnych delikatesowych kontyngentów, to przez nasz bufet przechodzą wszystkie paczki świąteczne i deputaty – u nas bywa szynka w puszcze, kawa i czekolada, i w ogóle frykasy. W zeszłym roku to i sarnina była, ciężko sobie wyobrazić. Mamusia z niej bitki zrobiła, ale suche były jak pieprz i twarde jak podeszwa, do ust się ich wziąć nie dało. Więcej tego do domu nie przyniosę. Bo człowiek to się tu nawet nie musi specjalnie gimnastykować, żeby co jakiś czas wziąć pełną torbę do domu. W sklepie to my z mamusią tylko pieczywo kupujemy, bo co ja będę sobie miejsce w torbie na chleb marnowała, jak mogę w niej wynieść szynkę czy polędwicę? Na chleb to nas jeszcze stać, dzięki Bogu.

A te ze stołówki? Tylko to dostają, co na obiady idzie. No, mięso jeszcze, ale ziemniaki? Co za interes ziemniaki brać, skoro ziemniaki wszędzie leżą za darmo prawie. Zresztą to w ogóle czarna robota, cały dzień przy garach. A u nas jest prawie jak w kawiarni — same szychy przychodzą, ciastka jedzą i kawę piją z ekspresu ciśnieniowego, od wielkiego dzwonu który zestaw śniadaniowy zamówi albo flaki. Życ nie umierać, w Horteksie by mi lepiej nie było!

Bożena już jest, ciekawe, czemu tak wcześniej przyszła. Siedzi przy służbowym stoliku, pije kawę i czyta „Panoramę”. Idę szybko na zaplecze założyć fartuch i zmienić buty.

— Popielniczki porozstawiaj — mówi.

Jakbym nie wiedziała! Kto tu codziennie popielniczki rozstawia jak nie ja. Nic nie mówię, tylko się biorę do roboty, bo teraz to już jej się wolę nie narażać. Niby nie będzie miała nic do gadania, jak już wymówienie złożę, ale dupę komu gdzie trzeba obsmarować prosta rzecz, a mi zależy na jej posadzie.

Poprawiam obrusy, rozstawiam ebonitowe popielniczki, potem przekręcam kartkę w drzwiach na „Otwarte” i odblokowuję zamek. Zaraz zaczną przyłazić.

Pierwsza jak zwykle Ada z sekretariatu dyrektora. Zawsze bierze kanapki z polędwicą albo tatarą. Dzisiaj kanapki. Niby mówi, że to dla szefa, ale my wiemy, że sama żre. Jednak z Adą lepiej żyć w zgodzie, bo ona dużo może — wystarczy, że słówko szepnie, a z miejsca człowiek może na przykład zgodę na pożyczkę dostać czy skierowanie na wczasy w Międzywodziu. Uch, ale wrednie jej z gęby patrzy. Tapir pod sufit, oko zielone do samych wyskubanych brwi, a cycki to jej mało co na wierzch nie wyskoczą. Nieźle się trzyma, ale my wiemy od Baški z kadr, że już prawie pięćdziesiątkę ma na karku.

— Aneczko — przechyla się z fałszywym uśmiezkiem przez ladę chłodniczą w moją stronę. — Nie zważyłabyś mi trochę szynki? Męża imieniny dzisiaj, goście będą, a ja taka nieprzygotowana.

Nie wolno nam towaru na wynos dawać, konsumpcja tylko na miejscu. Talerz z kanapkami zabrać na dół inna rzecz, ale wędlinę w pergaminie nie bardzo. Patrzę na nią niezdecydowana.

— No i czego się tak gapisz jak wół na malowane wrota? — pyta Bożena, odkładając gazetę na stolik. — Ukrój tam pani Adzie ze dwadzieścia deko.

— Kochana, więcej, więcej! — mówi Ada. — Będzie osiem osób razem z nami.

Bożena macha ręką. Przynoszę z zaplecza połówkę szynki i pokazuję Adzie.

— Tyle dobrze będzie? — pytam.

— Znakomicie — cieszy się Ada. — Czy aby nie tłusta?

— To eksportowa szynka — mówię dobitnie. — Tłuszczu ma, ile trzeba.

Zawijam wędlinę w papier i podaję.

— Dziękuję, kochanieńka — mówi. — Później się policzymy, nie zapomnę.

Bożena odczekuje, aż się za Adą zamkną drzwi, odwraca się do mnie i mówi:

— Ty sobie zęby ostrzysz na moją posadę, a dużo się jeszcze musisz nauczyć.

— Uczę się.

— Ale wycucia nie masz. Bez wycucia ani rusz.

— Mam wycucie — odpowiadam grzecznie.

— Jak ja mówię, że nie masz, to nie masz. Po co to dyskutować.

— W czym ja wycucia nie mam? — pytam.

– Trzeba wiedzieć, komu dawać, a komu nie – odpowiada z godnością Bożena i wtyka nos w „Panoramę”.

Obiecałam sobie, że będę cicho siedziała, ale język mnie świerzbi.

– Pani to na pewno wie, komu dawać – mówię słodko.

– A żebyś wiedziała! – Bożena odkłada gazetę na stolik i wbija widelczyk w wuzetkę.

Już, już mam zapytać, komu dała, że bufet w Rybeksie dostanie, ale opatrność nade mną czuwa, bo w tym momencie wchodzi dwie babki z księgowości, a zaraz potem zaczyna się ruch.

Do trzynastej jest najgorzej – istne tłumy się przewalają, już nóg i rąk nie czuję. Bożena tyle ma przyzwoitości, że się z „Panoramą” przenosi na zaplecze, ale nawet tyłka nie ruszy, żeby pomóc. Potem jest przerwa obiadowa, schodzę do stołówki. Nie żebym specjalnie głodna była, ale obiad mi się należy, nie?

Po obiedzie jest spokojniej. Robię sobie kawę i siadam przy Bożenie z nowym numerem „Ekranu”. Ledwo zaczynam przeglądać, ktoś przyłazi.

– No idź, zobacz – mówi Bożena. – Na co czekasz?

Zaciskam usta, pyrgam gazetę na stolik i wychodzę do kontuaru. Przy ladzie stoi jakiś obcy facet. Pracuję tu już ponad rok i wszystkich znam, a tego nie widziałam jeszcze ani razu. Jestem tego pewna, bo na pewno bym go zapamiętała. Facet jest ciemnorudy i tak jak mi się rudzi nie podobają, to w nim jest coś takiego... Coś takiego, że mi na ułamek sekundy serce staje. Niezbyt wysoki, szeroki w ramionach, ale to nie jest ważne. Ma coś takiego w oczach, że kiedy na mnie spogląda, mam wrażenie, jakbym tu goła przed nim stała. Te oczy są przeraźliwie niebieskie, jak farbka do bielienia prześcieradeł albo jak lusterko na skrzydle kaczki.

Przeszywają mnie na wskroś. Rzęsy i brwi też ma rude, może to dlatego te oczy takie świdrujące, nie wiem. Jego usta są szerokie, wydatne i takie... takie miękkie, że się ręka sama do nich wyciąga. Okolona rudymi bokobrodami twarz nieruchomieje na mój widok, po czym mężczyzna uśmiecha się — prawy kącik jego ust podnosi się wyżej niż lewy, a na policzku pojawia się maleńki dołek. Pochyla leciutko głowę do przodu i spogląda na mnie spod oka.

— Dzień dobry — mówi, a głos to ma taki, że aż mnie dreszcz przeszywa. Niski, ciut chrapliwy, ale takim rodzajem chrapliwości, której człowiek dostaje, kiedy łychę miodu zje — nawet nie tyle tę chrapliwość słycać, co się ją czuje. Aż mi się włoski na karku podnoszą.

— ...dobry — bąkam, ale raz dwa biorę się w garść i pytam głośniejszym głosem: — Słucham?

Mężczyzna nie odpowiada. Odrywa ode mnie te swoje świecące ślepia i zagląda do lady. Gapi się, jakby tam Bóg wie co było, a nie tylko dwie ostatnie agrestowe galaretki i jedna lekko już kłapnięta wuzetka.

— Co podać? — pytam znowu.

— A co by pani poleciła? — pyta.

Co ja bym poleciła? No wiecie państwo! Wzruszam ramionami.

— A bo to ja wiem?

— Coś bym zjadł. Małego.

Pozbierałam się już do kupy i zaczynam być zła.

— Proszę — pokazuję na półkę z cukierkami. — Irysy są. One nieduże, mogę panu zważyć jednego.

Facet zaczyna się śmiać.

— No, język to pani ma — mówi. — Nie, za irysa dziękuję. Coś bardziej treściwego bym zjadł. Tatara na przykład.

— Tatar wyszedł — odpowiadam bez uśmiechu.

— To może jajko w majonezie.

— Jajka wyszły — mówię.

— Hm, to może chociaż kajzerkę z wędliną? — nie podaje się. — Z polędwicą sopocką na przykład i ogórkiem? Albo z kielbasą krakowską, jeśli polędwica też już nóg dostała i wyszła.

Naśmiewa się ze mnie! Biorę się pod boki i mówię przez zaciśnięte usta:

— Krakowska wyszła!

W tym momencie zza drzwi zaplecza wystawia głowę Bożena. RzUCA okiem na faceta i błyskawicznie do mnie podchodzi. Wbija mi palce w ramię i syczy do ucha:

— Ech, ty głupia! Co ty wyprawiasz? — po czym wyszczerza się do faceta i mówi: — Dzień dobry, panie dyrektorze. Muszę sprawdzić, ale chyba jeszcze baleronik mamy. I jest jeszcze galaretką z nówek. Zaraz panu podam, proszę usiąść. A może do tego pomidoraka z cebulką?

Mężczyzna kiwa głową, puszcza do mnie oko i idzie do stolika pod oknem.

— Kto to jest? — pytam półgłosem. — Żarty sobie ze mnie robił!

— Durna jesteś, jeszcze kłopoty będę przez ciebie miała! — odszeptuje Bożena. — Idź no pokrój pomidora, tylko ładnego. Przecież to wicedyrektor Rozłucki, kretynko! On tu wszystko może! Jedno jego słowo i w pięć minut stąd wylecisz! I ja też. Ruszajżeź się!

— A skąd ja miałam wiedzieć, że to dyrektor? Na czole nie ma wypisane.

— Za grosz wyczucia nie masz, mówiłam ci już.

— W życiu go na oczy nie widziałam.

— Bo on tu u nas jest dopiero do tygodnia. Przeniesienie dostał z Uniwersalu.

— To jak miałam go poznać, jak on tu dopiero od tygodnia jest! A skąd pani wie, że to on w ogóle?

— Trzeba trzymać rękę na pulsie! Krój tego pomidora.

Przynoszę warzywa, staję obok niej za ladą i kroję pomidora na cieniutkie plasterki.

— Z Universalu do nas? — pytam szeptem. — To w górę raczej nie poszedł, tylko wręcz przeciwnie.

— Jakieś przekrety tam były — odszeptuje Bożena, układając baleron na posmarowanej masłem bułce. — Z sześciu wyleciało, a jego przenieśli. Plecy ma mocne. Posiedzi tu z rok albo dwa i pójdzie w górę. Zresztą u nas, jakby nie było, też się można nieźle urządzić.

Co racja, to racja. Łatwiej puścić na lewo transport szynki niż wagon erefenowskich pralek. Zawsze można powiedzieć, że się mięso zepsuło, i tyle. A z rzeczami gorzej.

Zamykam bufet o szesnastej. Jadę na MDM do Świtezianki, bo się z Ulą na lody umówiłam. Pogoda jest piękna, pachnie latem. Wysiadam z tramwaju przy placu Konstytucji, staję przy przejściu dla pieszych, zamykam oczy i wystawiam twarz do słońca. Lekki, ciepły wiatr rozwiewa mi włosy. Jak dobrze jest żyć — myślę.

Gdy wieczorem gaszę światło i przewracam się na bok na mojej zapadniętej amerykance, przed oczami staje mi twarz tego rudzielca i jego wściekle niebieskie oczy.

— Pan dyrektor! Phi! — pry cham cicho i zasypiam jak za bita.

Na drugi dzień też przychodzi. I w piątek, i w sobotę. I w poniedziałek. Wie już, jak mam na imię.

— Dzień dobry, pani Aneczko — mówi. — A dziś co by pani poleciała?

Nie odpowiadam mu już tak jak za pierwszym razem, na głowę jeszcze nie upadłam. Codziennie przygotowuję dla

niego coś specjalnego. Powoli uświadamiam sobie, że zaczynam czekać na te wizyty.

— Dziś mamy znakomity pasztet z zająca — mówię z uśmiechem. — Palce lizać.

— O, pani Aneczko! — mówi stojący za Rozłuckim facet z działu eksportu produktów mleczarskich. — To ja też poproszę!

— Pasztet właśnie wyszedł — mówię do niego oschłym tonem. — Pan dyrektor wziął ostatnią porcję.

Rozłucki się śmieje, a ja staram się nie patrzeć mu w oczy, bo jak patrzę, to zapominam języka w gębie. Nakładam mu dużą porcję pasztetu i marynowane grzybki.

Tydzień później — dziś świeżuteńkie, dopiero co ugotowane flaki — opiera się łokciem o ladę chłodniczą, nachyla do mnie i mówi:

— Mam na imię Krzysztof, niech mnie pani nie tytułuje tak oficjalnie.

Kiedy wychodzi, Bożena przygląda mi się z zadumą znad blatu służbowego stolika.

— No, no — mówi powoli. — Chyba jednak ty taka ostatnia głupia gęś to nie jesteś.

— Nie — odpowiadam. — Nie jestem.

— Tylko uważaj.

— Na co mam uważać?

— Rude bywa wredne.

— E, tam — wzruszam ramionami.

W następny piątek — trzynastego sierpnia — całe moje życie wywraca się do góry nogami.

— Pani Aneczko — Krzysztof zcisza głos, chociaż w bufecie nie ma nikogo poza mną i Bożeną. — Czy ja bym mógł panią poprosić o przysługę?

— A no pewnie, panie Krzysztofie — mówię.



– Czyby mi pani nie przygotowała, powiedzmy, hm... jednego... nie, dwóch kilogramów tej polędwicy?

– Nie ma problemu, panie Krzysztofie – mówię też nie-  
zbyt głośno. – Zaraz panu przyniosę.

– Nie! Później. Widzi pani... trochę to tak nie bardzo,  
żebym z paczką pod pachą windą teraz jeździł.

– Nie bardzo?

– No, nie. Widzi pani, trochę nie wypada, żeby ludzie  
widzieli, że dyrektor...

– Rozumiem, panie Krzysztofie.

– Ja bym później po to wpadł do pani. Powiedzmy... ko-  
ło piątej?

– Dobrze, panie Krzysztofie.

– Nie pokrzyżuje to pani planów na... wieczór?

– Nie, panie Krzysztofie.

– Bo ma pani jakieś plany na wieczór?

Nie wiem, czemu zasycha mi w gardle. Wciągam powie-  
trze, odczekuję chwilkę, wypuszczam je i mówię całkiem  
spokojnie.

– Nie mam, panie Krzysztofie.

– W takim razie, hm... do zobaczenia.

Kiedy wychodzi z bufetu, Bożena, nie odrywając oczu od  
ostatniej strony w „Przekroju”, który trzyma tuż przed no-  
sem, mówi:

– Ja ci dobrze radzę, mała, uważaj. Jak kto z ogniem igra,  
łatwo się poparzyć może.

– E, tam. Głupoty pani mówi i tyle.

Kierowniczka idzie do domu zaraz po czwartej. Przekre-  
cam kartkę w drzwiach na „Zamknięte” i siadam na zaple-  
czu z jej „Przekrojem” i herbatą. Ręce mi się trzęsą i zupeł-  
nie się skupić nie mogę. Na mózg mi chyba padło! Siedzę  
jak na szpilkach. Parę minut po piątej słyszę pukanie w szybę.

Wzdrygam się, jakby mi kto z karabinu za uchem strzelił, wstaję i idę otworzyć.

Stoi po drugiej stronie szklanych drzwi, ręce ma opuszczone. Beżowy garnitur, niebieska koszula non iron, ciemnobrazowy krawat w pomarańczowe koła. Kosmyk rudych włosów zsunął mu się na czoło, tuż nad płową brew. Patrzy na mnie. Bez mrugnięcia choćby, uśmiechu, jakby był z kamienia. Patrzy, a ja mam wrażenie, jakby to jego spojrzenie spopieliało mnie na pył. I dobrze wiem, co będzie. Wiem dobrze. Nogi mi się trzęsą. Staję naprzeciw, metr może od wejścia i gapię się na niego tak samo jak i on na mnie — jakby mnie kto w słup soli obrócił. Wreszcie Krzysztof mówi cicho, bardzo cicho — nie tyle go słyszę, co widzę ruch ust:

— Otwórz.

— Kiedy niezamknięte — odpowiadam.

Wolno kładzie rękę na klamce. Przyglądam się jak zahipnotyzowana, wszystko widzę dokładnie i wyraźnie przez szklaną tafłę, każdy najmniejszy drobiazg. Jego skórę na kłykciach pociętą drobnymi zmarszczkami, rzadkie, krótkie rude włoski na zewnętrznej stronie palców, niebieskawe, wypukłe linie żył na wierzchu dłoni. Wydaje mi się, że to wszystko trwa wieczność.

Krzysztof wchodzi do bufetu, zamyka za sobą drzwi i przekręca klucz w zamku. Odwraca się, łapie mnie za rękę i prowadzi w stronę lady. Idę, bezwolna jak szmaciana kukła. Puszczą mnie przodem przez przejście przy kontuarze i lekko popycha w stronę drzwi na zaplecze. Przez ułamek sekundy się waham, przystaję, ale kładzie otwartą dłoń między moimi łopatkami i popycha mocniej. Na zapleczu łapie mnie za ramię, odwraca przodem do siebie i zanim udaje mi się zareagować, zamyka mnie w objęciach i zaczyna całować. Jest wyższy ode mnie, ale niewiele. Ma suche

i gorące usta, dużo większe od moich. Rozchyłam wargi i jego język dotyka mojego podniebienia, sięga prawie przelyku. Wpłatam palce we włosy nad jego karkiem, ciągnę do tyłu, próbuję się wyrwać.

– Co pan robi? Co pan? – pytam słabo.

Krzysztof chwytą mnie za kark, drugą dłonią zaczyna podciągać moją spódnicę z czerwonych, niebieskich i czarnych kwadratów. Oddycham głośno. Czuję dotyk jego ręki na skórze ud, zaciskam je, ale niezbyt mocno. Wciska palce pod brzeg moich majtek, łapie je i jednym szarpnięciem ściąga w dół, jego dłoń wraca do mojego krocza, a po chwili czuję go w mojej szparce. Wpycha we mnie jeden, potem dwa palce. Przez kilka chwil obraca je, wsuwa i wysuwa. Zaczynam jęczeć.

– Ale ciasna – szepcze. – Taka ciasna.

Wyjmuje palce, podnosi do twarzy, wacha i wkłada do ust. Robi mi się słabo, kolana mi się trzęsą. Popycha mnie plecami na ścianę, prawie tracę równowagę. Nie wyjmując palców z ust, drugą ręką zaczyna rozpinąć mój fartuch, bluzkę, odchyła biustonosz i wyjmuje prawą pierś. Sutki mam twarde jak dwa ziarenka grochu. Wyjmuje palce z ust, zwija moją spódnicę i zatyka za pasek. Odsuwa się ode mnie i patrzy. Twarz mi płonie, przymykam oczy, ale tylko trochę. Chcę go widzieć. Podnoszę kolano i wyswobadzam się z majtek. On gwałtownym ruchem ściąga marynarkę, rozluźnia krawat i rozpina koszulę. Słyszę brzęk sprzączki paska, ale nie spoglądam w dół. Wpatruję się w jego oczy, w te dwa kawałki pływającego lodu. Jego spodnie opadają na podłogę, próbuje się z nich wydostać, ale buty klinują się w nogawkach. Przypada do mnie, szurając, schyla się i przywiera ustami do mojego sutka. Krzyczę cicho. Jego dłoń – ta z obrączką na palcu – wraca między moje nogi, ale nie

wkłada palców do środka. Przebiera nimi po wierzchu, potem zaczyna szybko uderzać, poklepywać. To prawie nie do wytrzymania, mimo woli rozchylam szerzej uda i unoszę miednicę, pojękując. Nagle łapie moją nogę pod kolanem, podnosi ją i zbliża swoje biodra do moich. Naprowadza dłoń członek, który przez chwilę szuka wejścia do mojej szparki, zsuwa się w dół, wraca do góry. Wreszcie trafia w punkt i napiera. Ustawiam się po odpowiednim kątem, podaję do przodu i właściwie sama się na niego nadziewam. W ułamku sekundy wchodzi we mnie cały, aż do końca. Trzepoczę rękami i krzyczę krótko, ale kładzie swoje usta na moich, wpycha w nie język. Zaczyna poruszać biodrami. Zamyka moją pierś w swojej dłoni, mocno szczypie sutek. Wy-suwa się ze mnie niemal na całą długość, po czym mocnym pchnięciem wchodzi aż do końca. Wypełnia mnie do oporu, czuję, jak porusza się głęboko. Zaczynam szczytować, trwa to bez końca, prawie tracę przytomność. Nagle Krzysztof wypręża się, wbija we mnie swój członek najgłębiej jak się da i wydaje jeden krótki jęk. Porusza się jeszcze przez chwilę delikatnie i nieruchomieje, wtulając twarz w moją szyję. Puszczą moją nogę, a kiedy opieram ją o podłogę, wysuwa się ze mnie — nadal jeszcze prawie całkiem sztywny. Na wewnętrznej stronie uda czuję ciepłe, wypływające ze mnie krople jego nasienia. Obejmuję go mocno i głaszczę go po włosach, wdycham ich zapach — zapach tytoniu, pe-weksowskiego mydła i męskiego potu.

I tak to się wszystko zaczyna. Chcę go więcej i więcej, sta-ję się jak ćma. Wracam odtąd co dzień do domu wieczorami nieprzytomna i czekam tylko następnego dnia, następnego popołudnia.

— Aneczka, córcia, co ty tak długo teraz w robocie siedzisz? — pyta matka.

– Remanent mamy – odpowiadam zniecierpliwiona.

Krzysztof przestaje zaglądać do bufetu w ciągu dnia – przychodzi prawie codziennie po południu, koło piątej, już po zamknięciu. I nie bierze już ani galaretki z wieprzowych nóżek, ani pasztetu z zająca czy baleronu. Bierze mnie, konsumpcja na miejscu. Właściwie ze sobą nie rozmawiamy, chociaż bym chciała. Chciałabym wiedzieć, co myśli, co lubi. Chciałabym wiedzieć, jaki jest. Ale kiedy przychodzi, myślę tylko o jednym – i on też. Robimy to na zapleczu, na podłodze za ladą, na ladzie. Jak zwierzęta. Mam cały czas mrowiące, obrzmiałe piersi, bezustannie jestem wilgotna. Żołądek zaciska mi się w supeł, gdy jest obok mnie. Kiedy mnie dotyka, wszystko mi się trzęsie w środku, a kiedy jest we mnie, kiedy tylko wchodzi, szczytuję po kilku ruchach. Myślę tylko o nim, cała reszta przestaje mieć znaczenie. Z Wieśkiem, a wcześniej z Jankiem, było zupełnie inaczej. Wtedy to oni chcieli, a ja tylko pozwalałam – albo nie. Decyzja była w moim ręku, przyglądałam im się, jak dyszą, jak się poca, pojękują, odpychałam ich ręce, przyglądałam się ich sterzącym fujarkom z rozbawieniem, niekiedy – z niesmakiem. Czasami bywało mi przyjemnie, ale to było nic w porównaniu z tym, czego doświadczam przy Krzysztofie. Nie ma ani jednego, najdrobniejszego kawaleczka tego mężczyzny, który wydawałby mi się obmierzły, którego bym się brzydziła. Przeciwnie – każda skaza, znamię, pieprzyk, ślina, biały nalot, jaki widuję czasem pod skórą na czubku jego członka, budzą moją czułość i pożądanie. Woń potu, dziwny, silny zapach jego porośniętych włosami jąder, przypominających ciasno nawinięty kłębek miodowej moherowej włóczki, są dla mnie jak narkotyki. Ręce mi się do niego wyciągają, zatracam się w tym całkowicie. Chciałabym wciągnąć go w siebie, wchłonąć, pożreć. Zamknąć w uścisku

tak silnym, żeby nie mógł złapać oddechu, zostać tak już na wieczność. To taka miłość jak z filmu — całkowita i ostateczna. Bo co to może być innego, jak nie miłość? I zresztą sama dobrze wiem, jaki jest. Czuły, opiekuńczy. Wiem, że mogę mu zaufać bezgranicznie, bo on to by mnie nigdy nie skrzywdził. Jest mądry i dobry. Niczego się nie boi. Jak Skrzetuski. Ten jeden jedyny na milion; ten, na którego się całe życie czeka. Czuję to. I jest mój.

Dostaję okresu i kamień spada mi z serca — już się zaczynałam bać, spóźniał się. Co by to było, jakbym zaszła? Mówię mu, gdy leży na mnie:

— Żebym tylko w ciążę nie zaszła.

— Nie martw się — sapie. — Wyciągnę przed końcem, nie zajdziesz.

Zapomina jednak, strzyka nasieniem we mnie, pulsuje wbity głęboko. Obejmuję go udami, przytulam i czuję radość, chociaż wiem, że nie powinnam.

— Kurde, no nie mogłem — mówi potem. — Ale nie martw się, nic nie będzie. Przy mnie nie zginiesz.

A ja już całkiem zginęłam. Nie ma mnie — ani dla Olki, ani dla mojej matki, ani nawet dla mnie samej. Jestem tylko dla niego.

Kiedy więc otwieram rankiem oczy i czuję, że się zaczęło, oddycham z ulgą. Nie mam w domu podpasek, zapomniałam. Przycinam kawałek ligniny i obwijam go gazą, układam w majtkach. To tylko na razie — później kupię. Apteka przy Marszałkowskiej jest zamknięta, jak mi się uda, wyskoczę później z pracy. Ale nie mam kiedy.

Krzysztof puka w szybę o piątej. Kiedy tylko wpuszczam go do bufetu, obejmuje mnie łapczywie.

— Nie — mówię, choć mam przy tym takie uczucie, jakby mnie właśnie Gwiazdka omijała. — Dziś nie. Nie mogę.

— Czemu? — pyta, nie przestając całować mnie po szyi. Jego ręka wsuwa się pod mój fartuch, dosięga piersi i ścisną ją. Odchylam głowę z jękiem.

— Dziś nie... nie...

— Ale czemu? Nie chcesz?

— Chcę, ale... źle się czuję dzisiaj.

— Co ci jest?

— Ja...

Krzysztof przestaje mnie całować, spogląda w oczy uważnie. Pod tym spojrzeniem rozpląwam się cała jak kawałek masła na rozgrzanej patelni.

— No co?

— Ja okresu dostałam — mówię.

Uśmiecha się i przytula mnie do siebie.

— Nic mi to nie przeszkadza, dziecinko. Wcale — szepcze do ucha.

Mnie przeszkadza. Czuję wstyd, ale pozwalam się zaprowadzić na zaplecze. Krzysztof staje przede mną, zdejmuje marynarkę i krawat, rozpiną powoli koszulę, spodnie. Zrzuci pantofle, odkopuje na bok. Zsuwa bieliznę i zostaje w samych skarpetkach. Jego fujarka sterczy z gęstwiny rudych, poskręcanych włosów, lekko zadarta w górę, mokra i śliska na czubku. Chcę go tak bardzo, że to aż boli prawie. Podchodzi, zaczyna mnie rozbierać. Gdy jestem już tylko w majtkach i płóciennych, sznurowanych butach bez palców — takich, jakie każą nam nosić w pracy — podnosi mnie i sadza na chłodziarce Szron stojącej we wnęce na zapleczu. Właściwie kładzie — leżę na plecach na zimnej, białej metalowej pokrywie, głową i łopatkami oparta o ścianę. Stopy wiszą mi w powietrzu — w tej pozycji nie sięgam podłogi. Jestem całkiem bezbronna, palą mnie policzki. Krzysztof delikatnie zdejmuje moje majtki. Domowa podpaska

z ligniny i gazy zostaje na miejscu. Zamykam oczy i odwracam twarz. Unosi moje nogi, rozchyła je. Opieram stopy o ściany wnęki. On klęka przede mną, ma oczy na wysokości mojego krocza. Chwyta brzeg gazy i odchyła ją delikatnie, odkleja. Chowam twarz w dłoniach. Posapuje głośno i zaczyna mnie całować. Wylizuje mnie jak pies, dokładnie, najpierw po wierzchu, a potem zaczyna wciskać język do środka, szuka czubkiem mojego czulego miejsca. Zapieram się stopami, wyginam w łuk. Z piersi wyrывa mi się cichy, krótki szloch. Wstyd jest taki palący, ale rozkosz tak przeżywająca; obezwładniająca... Odsuwa usta, czuję jego dłoń na szparce. Wkłada we mnie wskazujący palec, kciuk kładzie niżej – naciska i wsuwa mi go w tyłek. Krzyczę cicho i próbuję się od niego odepchnąć.

– Ciii... – mówi chrapliwie. – Mam cię na widłach.

– Nie! Przestań... Przestań!

– Dlaczego? – dyszy, wbijając kciuk głębiej. Lekko zgina i prostuje wskazujący palec, mam wrażenie, że zaraz stracę zmysły.

– Nie mogę! – protestuję słabo. – Ja... ja muszę... Sikać mi się chce.

Wyciąga ze mnie palce. Otwieram oczy i patrzę na niego. Odchyła się do tyłu, opiera pośladki na piętach. Uda ma rozchylone, wysuwa do przodu porośniętą miedzianymi włosami klatkę piersiową, podaje do tyłu ramiona. Jest doskonały, piękny – chociaż widzę, że mu pomalutku brzuszek rośnie, że ma kępki zmierzwionych włosów na ramionach i piegowatą skórę na ramionach – dla mnie jest najpiękniejszym mężczyzną na świecie. Skończonym cudem. Unosi twarz. Widzę nad jego górną wargą, po lewej stronie tuż pod nosem, smugę rozmazanej krwi – mojej krwi. Coś przewraca mi się w środku. Krzysztof spogląda



na mnie zamglonymi oczami spod przymkniętych lekko powiek i mówi:

– To sikaj. Daj mi.

Chwyta dłonią swoją naprężoną, sterzącą fujarkę. Ścisła ją lekko, porusza ręką i wypuszcza powietrze z głośnym westchnieniem. Z czubka wypływa kilka gęstych, przezroczystych kropel.

Przez krótką, króciutką chwilę przychodzi mi ochota, żeby to zrobić. Żeby się odblokować, puścić, zalać go całego. Ale tylko przez moment. Bo to by było już za dużo, za daleko. Nie potrafię tego zrobić. Co byłoby później? Dokąd byśmy zaszli? Czego jeszcze chciałby ode mnie, czego mogłabym zapragnąć ja? Nie.

– Nie chcę – mówię. – Nie zrobię tego.

– Ale ja chcę – odpowiada. – Proszę.

Kręcę głową, podpieram się na łokciach i odrywam stopy od ściany. Krzysztof podrywa się, przytrzymuje je w górze i nawet nie pomagając sobie ręką, wchodzi we mnie jednym mocnym pchnięciem. Krzyczę i wbijam mu paznokcie w ramiona. Z całej siły. Krzywi się lekko z bólu, ale nie protestuje. Kiedy zaczyna mnie popychać, fala rozkoszy zalewa mnie całą, szczytuję po dwóch ruchach, za chwilę znowu.

– Uważaj – proszę błagalnie. – Nie kończ w środku.

– Nie przejmuj się. Teraz nie zajdziesz. Nie, jak masz miesiączkę.

Uderza niezmordowanie, rytmicznie, jak młot, długo – dużo dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. To jest jak jakaś cudowna tortura – chciałabym, żeby przestał i jednocześnie – żeby trwało to wiecznie. Wiem, że on mnie też kocha, musi kochać – jak się z kimś robi takie rzeczy, to to musi być miłość, nie?

– Kocham cię – mówię. – A ty mnie kochasz?

Krzysztof wychodzi prawie cały i wraca. Rozkosz jest tak silna, że aż wydają z siebie cichy skowyt.

— Szerzej nogi — odpowiada, sapiąc głośno. — No, rozkracz się bardziej.

Półtora miesiąca później orientuję się, że jestem w ciąży.

Wiem, że Krzysztof ma żonę. Myślę o tej kobiecie — nie obchodzi mnie to, jaka jest, ale to, że ma go przy sobie. Że sypia przy nim, podaje mu jedzenie, pierze jego koszule, bieliznę. Że z nim rozmawia, patrzy na niego, słucha jego głosu. Że widzi go w takich momentach, w których ja nie widziałam — kiedy się ubiera rano i rozbiera wieczorem, kiedy myje zęby, goli się, czesze, gdy ogląda telewizję, czyta gazetę. Nie nawiądam tej kobiecie, nie jest mi jej szkoda. Bo on jej nie kocha, nie może kochać, skoro ma mnie i robi ze mną to wszystko. Ona go nie rozumie, nie wie, jaki jest naprawdę, nie umie docenić. Ta kobieta to pułapka, w którą wpadł. Chciałabym, żeby umarła, żeby zniknęła. Wtedy byłabym ja.

Idę do Baški do kadr i biorę jego adres. Jadę tam w niedzielę, zaraz po mszy. Krzysztof mieszka na Mokotowie, w nowiutkim szeregowcu. Domek ma dwa piętra, jest czysty, schludny i nowoczesny. Staję za drzewem i wpatruję się w okna. Na piętrze zasłony w modne pomarańczowo-brązowe kwadraty, na parterze — takie same tylko w odcieniach zieleni. Schody wyłożone maciupęnkami ceramicznymi kwadracikami, drzwi z podłużną, wąską szybą. Wszystko wygląda na takie kosztowne... I wtedy ich widzę. Idą chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Krzysztof ma na sobie letni prochowiec związany w pasie i rozszerzane na dole jasno-żółte spodnie. Chowam się dokładniej za drzewem i patrzę na nią. Kobieta śmieje się, opiera na jego ramieniu. Nie jest wcale taka, jak myślałam. Wyobrażałam sobie, że wygląda jak Ada z sekretariatu — podstarzała, wyfiokowana,

tleniona na platynę harpia z cyckami podanymi jak na talerzu i czerwonymi pazurami. Kobieta, która idzie przy boku Krzysztofa, jest w moim wieku albo niewiele starsza. Robi wrażenie kruchej i delikatnej — szczupła, z długą szyją. Elegancka i jakaś taka nie nasza — kiedy na nią patrzę, czuję się jak toporny kloc. Gdzie mi tam do niej. Nie ma mocnego, wyzywającego makijażu — nie potrzebuje go. Nie jest może piękna, ale prawie — ma w twarzy coś, co chwyta za serce. Długie, ciemne włosy związała w prosty koński ogon, jest ubrana w robioną na drutach pasiastą spódnicę do kostek i lekko sprany żakiet z teksasu. Wygląda jak z amerykańskiego albo francuskiego filmu; jak Audrey Hepburn albo jak nasza Elżbieta Starostecka. Takiej nigdy nikt nie zaproponowałby, żeby na niego nasikała — nie miałby śmiałości. Nigdy nie pozwoliłaby też, żeby ktoś posadził ją gołą na chłodziarce i wsadził jej palec w tyłek. Nie do wyobrażenia. Zaciskam z całej siły w dłoniach materiał spódnicy z Mody Polskiej, która już teraz nie wydaje mi się tak bajecznie piękna i elegancka. Z oczu zaczynają płynąć mi łzy — łzy żalu, ale przede wszystkim upokorzenia. Oboje wchodzi na schody prowadzące do wejścia, Krzysztof otwiera zamki i puszca ją przodem. Kobieta znika we wnętrzu domu, on przez chwilę zatrzymuje się niezdecydowanie i ogłada przez ramię. Patrzy prosto na mnie, ale mnie nie widzi. Odwraca się i wchodzi do środka. Stoję ukryta za grubym pniem drzewa — to lipa, jedyne drzewo z liśćmi, jakie rozróżniam, oprócz dębu i klonu — mnę w rękach spódnicy. Prawie szlocham. Jestem żalosna i śmieszna — później to dostrzegę. Ale co z tego? Każdy kiedyś raz czy drugi w życiu bywa śmieszny i żalosny, tak to już jest.

Jedno co dobre z tego wynika, to to, że teraz już wiem. Już rozumiem. Bo ja nie jestem głupia, chociaż może nie

pokończyłam szkół i na różnych rzeczach się nie znam, i może nie umiem pięknie mówić jak w telewizorze. Rozumiem jednak, że kochać kogoś, nie znaczy go znać. Krzysztofa pokochałam, chociaż nic o nim nie wiem, nie wiedziałam i nigdy się nie dowiem. Wymyśliłam go sobie, ułożyłam z różnych kawałków. Dopasowałam do tego, co widać, a czego nie widać, to sobie wmówiłam. Ani ja nie pasuję do niego, ani on do mnie. Nigdy by mnie nie wziął do tego drogiego domu, nigdy by nie szedł ze mną chodnikiem, podając mi ramię i śmiejąc się do mnie. Ja jestem tylko po to, żeby dać mu to, czego nie dostaje od tamtej — nigdy nie mogłabym jej zastąpić. To jak z bufetem — wpada się tam, żeby coś przekąsić. Niedużą porcję wyrazistego jedzenia: pasztet z marynowanymi grzybkami i kiszonym ogórkiem albo galaretkę z octem. Coś na ząb, dla smaku. Prawdziwy obiad czeka w domu.

Ja nie jestem głupia i wszystko to od razu zrozumiałam tam, pod tą lipą, za którą się ukryłam, kiedy ich zobaczyłam. Pojęłam to wszystko, jak im się przyjrzałam obojgu razem i zobaczyłam, jak skłania głowę w jej stronę, jak się do niej uśmiecha, mruży te niebieskie oczy, jak ujmuje pod łokieć. Tak troskliwie i delikatnie. I chociaż w głębi duszy chciało mi się wyć, choć myślałam, że mi serce pęknie, że każdy dzień, kiedy Krzysztof do mnie do bufetu nie przyjdzie, będzie jak śmierć, to rozumiałam, że tak dłużej być nie może. Bo mnie to wszystko w końcu całkiem odmieni, zabije. Wróciłam do domu, do mamy i całe popołudnie przesiedziałam w kuchni, myśląc, co zrobić.

W poniedziałek poczekałam na niego, a jak po piątej przyszedł, to nie pozwoliłam nawet, żeby do mnie podszedł za blisko. Powiedziałam mu, że będę miała dzieciaka i że z nami koniec. Skamlał i błagał, żebym go do siebie dopuściła, a mi się serce na plastry kroilo, ale nie dałam tego po

sobie poznać. Obiecał, że da na zabieg. Na zabieg! A co to, pytam ja się kogo, mają być za pieniądze? Skrobankę w szpitalu można darmo zrobić. Więc mu powiedziałam, że żadnego zabiegu nie będzie, bo ja dzieciaka urodzę, a on będzie płacił. A jak nie, to taką mu aferę zgotuję, że się do końca życia nie pozbiera. Wiedziałam, że jak się moja mamusia zorientuje, że w ciążę zaszłam, to mnie z domu przegna raz dwa, a jak nie — to tak życie zatruje, że sama będę chciała uciec. Czekać zamiaru nie miałam. Powiedziałam, że ma mi jakieś mieszkanie znaleźć, bo dobrze wiedziałam, że to nie problem dla niego. A jak się targować zaczął, to już na pewno wiedziałam, że dobrze robię. Powiedziałam, że wiem, gdzie mieszka, jak się jego żona nazywa i że ją widziałam. I że gołym okiem widać, że taka to mu nie wybaczy tego łajdaczenia się w bufecie, a o nieślubnym dziecku to już nawet nie wspomnę. No i już dyskusji nie było więcej.

W trzy miesiące przydział z kwaterunku dostałam na kawalerkę przy Dąbrowskiego, a potem mi zaczął co miesiąc forszę w zębach do bufetu przynosić. Brałam i niby z kamienia byłam, chociaż jak go widziałam, to potem przez pół nocy wylam w poduszkę.

Bożena do Rybeksu przeszła jesienią i pary z gęby nie puściła, a ona jedna jedyna wiedziała, co z czym. Aż dziw, jaka się okazała dyskretna. Wszyscy oczywiście gadali za plecami, ale nikt dokładnie nie wiedział, z kim ja w tę ciążę zaszłam. Ludzie tak zresztą mają, że gadać lubią — grunt to nie słuchać i się nie przejmować, a zresztą co tam, słowa nie bolą. Nic sobie z tego nie robiłam, to i gadać w końcu przestali. Ja sama na bufecie zostałam i jedną taką młodą do pracy przyjąłam, potem następną i następną. I zostałam w tym bufecie aż do końca, do samej emerytury, a Krzysztof z Animeksu odszedł jeszcze przed siedemdziesiątym

ósmym, zanim nasz papież nastał. Pieniądze mi potem regularnie przekazami na Dąbrowskiego przysyłał, a jak się to urwało pod koniec lat osiemdziesiątych, to nawet nie chciało mi się go szukać i machnęłam ręką.

Raz tylko przyszedł — kiedyś sobotnim popołudniem. Gosia to może z dziesięć lat wtedy miała. Coś mnie tknęło, jak pukanie usłyszałam, i cicho na palcach podeszłam do judasza. Stał na klatce schodowej i jak go tak widziałam w tym szklanym oku, to nic a nic się nie zmienił. Gardło mi się ścisnęło, ale nie drgnęłam nawet. Zapukał jeszcze dwa razy, powstał chwilę i poszedł sobie. I więcej go nie widziałam, choć myślałam o nim później każdego dnia przez wiele lat. A on? Tego jestem pewna — on o nas nie myślał. Ale wiem, że pamiętał.

Małgosia chyba tylko ze dwa razy pytała o ojca — pierwszy raz, jak do przedszkola poszła, a później w szkole. Najpierw ją zbyłam, ale kiedy była starsza, powiedziałam, że jej tata wyjechał na Zachód i że to nie żal, że nic nie był wart, bo pijus. Uwierzyła — mało to takich rzeczy się działo dookoła? Marudziła tylko trochę o zdjęciu, pytała, jaki był. Najpierw myślałam, żeby coś zmyślić, pokazać jakąś fotografię obcego faceta, ale w końcu machnęłam ręką i powiedziałam, że nie pamiętam. I żeby nie zawracała głowy, bo ma taką matkę, że za oboje rodziców wystarczy. No bo co? Może nie? Więcej nie pytała, była grzecznym dzieckiem. To, że ją urodziłam, to najlepsze, co mi się w życiu przydarzyło. I jedyne, co mi po Krzysztofie — tamtym moim, wyślonym — pozostało.

# C

## Czerwiec

I

– Siostró – mówię do pielęgniarki, która bladym światem przynosi mi jakieś lekarstwa i mierzy temperaturę.

– Jaki to szpital?

– Niech się pan podniesie trochę – naciska coś w nogach łóżka i moja poduszka podjeżdża do góry. – Wolska.

– Szpital na Wolskiej?

– Tak. Nogi niech pan posunie trochę, bo całkiem prześcieradło wylazło.

– Ale to jest zakaźny szpital?

– Zakaźny.

– Dlaczego tu jestem? – pytam słabo. Jakbym nie wiedział.

– Nie wiem, z lekarzem pan musi porozmawiać. Niech mi pan da termometr i niech pan łyka te tabletki.

– Co to za lekarstwa?

– Takie, które leczą – odpowiada siostra, sprawdzając termometr i wpisując wynik do karty.

– Wysoka?

– Trochę.

– Ile?

– Trzydzieści osiem. Spada, niech się pan nie przejmuje. Wczoraj pan miał czterdzieści jeden.

– A kiedy przyjdzie lekarz? – pytam znowu, odstawiając plastikowy kubek z wodą.

– Nie wiem, niedługo. Niech się pan prześpi jeszcze.

– A jak on się nazywa? To kobieta czy mężczyzna?

– Nie wiem, niech pan śpi.

– Jak to pani nie wie? – podnoszę się na łokciu. – Nie wie pani, kto mnie leczy?

– Jeszcze nie wiadomo.

– Co? Dlaczego? Jak... jak to?

Siostra prostuje się i po raz pierwszy spogląda mi prosto w oczy. Jakie jasne tęczęwki, zupełnie nienaturalny kolor. To pewnie kontakty, ale przecież nie zakładałaby ich do pracy o świcie. Ma może trzydzieści pięć lat. Spogląda na mnie obojętnie – ani życzliwie, ani wrogo. Po prostu jakbym był fragmentem łóżka. Wpatruję się w nią rozpaczliwie. Wreszcie jej rysy miękną i na twarzy pojawia się coś na kształt uśmiechu.

– Wszystko będzie dobrze, niech się pan tak nie martwi. To nic takiego.

– Nic takiego? To co to jest?

– Już panu mówiłam, że musi pan na lekarza poczekać. Dowie się pan wszystkiego pewnie przy obchodzie. Zresztą jak tylko czegoś się dowiem, sama do pana przyjdę.

– Ale przecież ktoś mnie tu chyba przyjmował? Musiał być lekarz.

Pielęgniarka odwiesza kartę na poręcz łóżka.

– Był, ale on pana nie będzie prowadził.



– Dlaczego?

– Nie wiem. Doktor Rońda miał dyżur, ale on nie będzie pana lekarzem.

– Dlaczego nie? Jak nie on, to kto? – pytam. Nagle robię się bardzo senny, oczy zaczynają mi się same zamykać.

– Zobaczmy. Któryś musi przecież. A my tu mamy dobrych lekarzy.

– Pani... pani ma takie oczy...

– Wiem, wszyscy mi to mówią. Jak pies husky – uśmiecha się pielęgniarka i komenderuje: – No, spać!

Kiedy się budzę, za oknami jest już ciemno. W pokoju znowu pali się tylko mała lampka nad moją głową. Przetykam z trudem ślinę i nagle orientuję się, że ktoś jeszcze jest w pomieszczeniu. Próbuję podnieść głowę, ale jest ciężka jak z ołowiu. W nogach mojego łóżka, niedaleko drzwi stoi jakiś facet, widzę biały kitel, pewnie doktor. Ale nie mogę dostrzec twarzy.

– Kto to? – pytam idiotycznie.

Mężczyzna odwraca się i wychodzi bez słowa. Boże, mam wrażenie, że znalazłem się w jakimś surrealistycznym filmie. Tak naprawdę zresztą mogę być gdziekolwiek – równie dobrze w Warszawie, jak i na Białorusi. Mogli mnie uprowadzić, porwać na narządy. Na pewno podają mi jakieś środki, dlatego jestem ciągle taki nieprzytomny. Wytną nerki, wątrobę, serce, a niepotrzebną resztę porzuca gdzieś w rowie. Przypomina mi się jednak, że przecież mam komórkę przy sobie. Gdyby mnie porwali, nie zostawiliby mi telefonu. Upewniam się, czy nadal leży w szufladzie, i znowu odpływam.

Po kilku dniach zaczynam czuć się lepiej. Poznają też lekarza, który ma mnie prowadzić – starszy facet, grubo po pięćdziesiątce. Doktor Nowak.

– Pan zdaje się należy do grupy podwyższonego ryzyka, hm? – pyta bez wstępów.

– No, jeśli chodzi panu o to, czy jestem gejem, to tak. Czyli znaczy, że to jest to? Tak?

– Cóż – wzrusza ramionami. – Jeszcze nie wiemy. Pierwszy test dał wynik negatywny.

Oddycham z ulgą. Mam wrażenie, jakby mi ktoś zdjął z pleców pięciotonowy ciężar. Lekarz przygląda mi się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie będę owijał w bawełnę – mówi wreszcie. – Jeżeli zakażenie jest świeże, antyciała mogły się jeszcze nie pojawić. Pan wie, na czym polega test na HIV?

– Mniej więcej – bąkam.

– Nie wykrywa we krwi obecności samego wirusa, stwierdza tylko, czy pojawiły się antyciała, czyli komórki przystosowane do walki z nim. Trochę tak, jakbyśmy sprawdzali, czy nad polem ziemniaków został rozpylony środek zwalczający stonkę – jeśli tak jest, oznacza to, że stonka się pojawiła.

– Rozumiem.

– W przypadkach, kiedy stonka pojawiła się dopiero co, środek nie został jeszcze rozpylony, choć ona już się mnoży.

– Rozumiem – powtarzam.

– Moim zdaniem, że tak to ujmę, jest spore podejrzenie, że na pańskim polu stonka się pojawiła.

– Ale test... Rozumiem. Dlaczego pan tak uważa? Przecież ludzie nie chorują na AIDS zaraz po zakażeniu. Najpierw się jest nosicielem.

– Owszem. Tyle tylko, że na ogół, mniej więcej w sześć tygodni po pojawieniu się wirusa, organizm zaczyna walkę. Właśnie wtedy wytwarza antyciała. Reakcje bywają różne – mniejsza lub większa gorączka, ogólnie złe samopoczucie.

Przypomina to grypę. Tak jak u pana. Tyle tylko, że z grypą można sobie poradzić, a z tym — nie. Trwa to na ogół od dziesięciu dni do dwóch tygodni i wreszcie, w większości przypadków, samo przechodzi. Lekarze zwykle nie zwracają na to uwagi i po prostu dają chorym zwolnienie na grypę i każą leżeć w łóżku. Pan miałby ogromne szczęście, gdyby udało się tak błyskawicznie — jeśli oczywiście, powtarzam, zakażenie nastąpiło — stwierdzić, że stał się pan nosicielem. Ogromne szczęście.

— Tak — mówię martwym głosem. — Bardzo się cieszę.

— Sarkazm zaupenie nie na miejscu — sucho stwierdza lekarz. — Proszono mnie, abym objął pana szczególną opieką, i obiecałem, że to zrobię. Zazwyczaj nie informujemy pacjentów o wszystkich szczegółach tak drobiazgowo jak ja pana, ale proszono, żebym rozmawiał z panem całkowicie szczerze. Zresztą, jak pan widzi, warunki też ma pan tu całkiem niezłe — cała sala dla pana.

— Proszono pana? Kto pana prosił? — do głowy przychodzi mi tylko Łuska, ale nie za bardzo mi się wydaje, żeby miała tu wtyki.

Lekarz ignoruje moje pytanie i przewraca kartkę w notesie.

— Może pan stwierdzić, czy około sześciu tygodni temu znalazł się w sytuacji stwarzającej zagrożenie?

— To znaczy? — pytam głupio.

— To znaczy, czy odbył pan analny stosunek z mężczyzną bez zabezpieczenia lub poddał się transfuzji krwi.

Sześć tygodni temu? Sześć... O, tak. Znalazłem się w sytuacji zagrożenia. Łukasz. Zamykam oczy i chowam twarz w dłoniach.

— Tak — mówię cicho.

— Tak — wpisuje lekarz do notatnika. — Rozumiem, że odbył pan stosunek bez odpowiedniego zabezpieczenia?

- Tak.
- Rozumiem, że z mężczyzną?
- Tak – odwarkuję.
- Czy jest pan w kontakcie z tym człowiekiem?
- Nie.
- A czy może pan się z nim skontaktować?
- Nie. A po co?

Lekarz coś mruczy pod nosem, wydaje mi się, że słyszę słowo „idioci”. Opuszczam ręce i spoglądam na niego z niedowierzaniem. Bezduszny cham.

– Po to, żeby go poinformować, że doszło do zakażenia. Może nie zdawać sobie sprawy, że jest nosicielem.

– Nie, nie mogę się z nim skontaktować. Nic o nim nie wiem. Nie znam go.

Lekarz znowu wpisuje coś do zeszytu.

– A czy później odbywał pan stosunki z innymi partnerami, które mogłyby grozić zakażeniem?

– Nie – mówię, ale przypominam sobie włochatego faceta, przy którym się obudziłem tamtego niedzielnego poranka. – To znaczy... nie wiem.

– Nie wie pan?

– Nie. Byłem z kimś w łóżku, ale nie pamiętam, co się działo. Byłem... eee... pijany.

– Pijany. No to możemy być prawie pewni, że doszło do sytuacji stwarzającej zagrożenie.

– Nie. On był chyba trzeźwy.

– Chyba – notuje lekarz. – Czy może się pan z nim skontaktować i poinformować go o zaistniałej sytuacji?

– Nie! Poza tym przecież sam pan powiedział, że jeszcze nic nie wiadomo na pewno!

– To prawda. Będziemy wiedzieli za tydzień – wysłaliśmy już próbkę pana krwi do badania na obecność samego

wirusa. Wyniki będą najpóźniej w środę. Do tego czasu pozostanie pan na obserwacji.

– Mam tu leżeć przez cały tydzień?!

– Panie Pawle, niech pan się uspokoi. Tak czy siak byśmy pana nie wypisali, wciąż ma pan wysoką gorączkę.

Lekarz zamyka notatnik, kładzie go na kolanie i opiera na nim dłonie.

– W dzisiejszych czasach to już nie jest wyrok śmierci, zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Yhm... – nie mogę z siebie wydobyć głosu. Chciałbym, żeby już stąd wyszedł, nie daruję sobie, jeśli rozryczę się w jego obecności.

– Z każdym miesiącem pojawiają się nowe leki, a te, które już są dostępne, praktycznie całkowicie eliminują wirusa z organizmu. To już nie jest choroba, raczej schorzenie. Wymaga tylko stałej opieki lekarskiej, systematyczności i odrobiny uwagi. Nie ma żadnego limitu lat, jakie może przeżyć człowiek od momentu zakażenia.

– Super – mówię.

– No, tak – wzdycha lekarz. Wstaje, chowa długopis do kieszeni kitla i pyta: – Chciałby pan porozmawiać z psychologiem? Mogę ją do pana...

– Nie! – wykrzykuję. Zaczynam płakać. – Mam swojego terapeutę! A poza tym sam pan powiedział, że jeszcze nie wiadomo na pewno!

– Dobrze. Zajrzę do pana po południu.

Wychodzi. To niemożliwe, żebym się zaraził. Każdy inny, tylko nie ja. Niemożliwe. Nie ma mowy.

Po tygodniu przychodzą wyniki drugiego testu. Jestem spakowany, siedzę w ubraniu na zaścielonym łóżku. Nie czuję się jeszcze całkiem dobrze, wciąż jestem słaby i mam obolałe mięśnie, ale już mogę iść do domu. Czekam. Dławi

mnie w gardle i każdy oddech jest wysiłkiem. Podobne uczucie miałem, kiedy oblałem pierwsze egzaminy na socjologię po maturze. Spodziewałem się, że wrócę do domu i tego samego dnia znajdę w skrzynce wezwanie do wojska. Wtedy wydawało mi się, że to byłby koniec świata. Zabawne. To teraz ma znacznie większą wagę — chodzi o resztę mojego życia, a nie o głupie półtora roku — a uczucie jest podobne. Widocznie emocje mają ograniczoną skalę i nawet przerażenie ma swój limit — wtedy ostateczną tragedią wydawało mi się zamknięcie w stadzie agresywnych prostaków i ubezwłasnowolnienie. Fala. Teraz — diagnoza dotycząca całego mojego przyszłego losu. Lekarz zagłada do mnie parę minut po jedenastej. Wchodzi z kamienną twarzą, przysuwa sobie krzesło.

— No tak, panie Pawle — mówi.

Nie odzywam się, tylko patrzę na niego z ukosa.

— Jest już wynik. Zgodnie z tym, czego się spodziewaliśmy, wykryto obecność wirusa.

Zgodnie z tym, czego się spodziewaliśmy? Ja się tego nie spodziewałem. „Wykryto obecność” — bezosobowa, gładka forma. Kosmiczna siła, fatum, któremu nie można zapobiec. „Wykryto obecność” — komunikat wystosowany przez astronomiczne obserwatorium NASA monitorujące peryferia naszego Układu Słonecznego, do którego niespodziewanie wdziera się obcy intruz. Najeżona kolcami obrzymia asteroida, zbudowana z uranu, plutonu i radu, rączo zmierza w kierunku naszej planety. Nikt i nic nie może jej zatrzymać. Za dwanaście godzin uderzy w centralną Europę z siłą stu tysięcy bomb spuszczonej na Hiroszimę. W promieniu pięciu tysięcy kilometrów wszystko zostanie zmiecione z powierzchni, a gleba ulegnie skażeniu na głębokość dwóch metrów. Zagłada spotka wszystkie gatunki

zwierząt i roślin, a chmura radioaktywnego pyłu wzniesie się w górne rejony atmosfery, przesłaniając słońce na całe dziesięciolecia. Należy zachować spokój i nie ulegać panice. Prosimy o zlokalizowanie w pomieszczeniach najmocniejszych konstrukcyjnie miejsc stropów, a następnie o ustawienie się pod nimi twarzą do ściany i zakrycie głowy rękami. Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Ten skurwysyn chowa się za liczbą mnogą — „spodziewaliśmy się”; za bezosobowym „wykryto obecność”... Tak, tak, nic się nie da zrobić, no po prostu wykryto, cóż poradzić... Zakłamanym pierdziel! Od początku mi tego życzył, wykrakał to! Od początku mnie nienawidził! Wszystko przez niego! Zalewa mnie fala histerycznej wściekłości, chociaż w głębi ducha wiem przecież, że to absurdalne; że ten poważny jak grób siwy facet z twarzą pooraną zmarszczkami nie ma z tym, co mnie spotkało, nic wspólnego.

— No i? — wyduszam z siebie przez zaciśnięte zęby.

Lekarz unosi jedną brew i patrzy na mnie zdziwiony.

— Co teraz? — pytam. — Co ze mną będzie?

— Nic — wzrusza ramionami. — Ma pan HIV, a nie raka. Jest pan nosicielem wirusa. Przez najbliższe osiem, nawet dziesięć lat będzie się pan czuł tak samo dobrze jak dotąd. Kiedy pojawią się pierwsze symptomy choroby, zacznie pan przyjmować leki. Na razie musi pan tylko zachować ostrożność — nie wystawiać organizmu na sytuacje mogące powodować obniżenie odporności, dbać o zrównoważoną dietę. Po prostu dbać o siebie. Nie powinien pan zbyt długo przebywać na słońcu, ale bez przesady — może się pan opalać w granicach rozsądku. Nie powinien pan palić, pić alkoholu, zażywać narkotyków. No i oczywiście nie wolno panu uprawiać seksu z przypadkowymi partnerami bez zabezpieczenia — zarówno z troski o pana, jak i ich zdrowie. A poza tym

może pan wieść zupełnie normalne życie — pracować, uprawiać sport, podróżować.

— O, no to rzeczywiście nic takiego! Wspaniale — odwaruję. — A leczenie?

— Rozumiem, że jest pan zdenerwowany, ale ta agresywna wrogość jest zupełnie niepotrzebna — mówi lekarz z westchnieniem. — Tak jak panu powiedziałem, leczenie rozpocznie się, kiedy pojawią się pierwsze symptomy choroby. Na razie w zupełności wystarczy, jeśli zgłosi się pan do nas raz na kilka miesięcy w celu skontrolowania ogólnego stanu zdrowia.

Wychodzę ze szpitala z czerwoną torbą Adidasa w rękę i wsiamam do taksówki. Ulice Warszawy zalane są słońcem. Patrę na dwóch opalonych, roześmianych facetów czekających, aż zmieni się światło przy przejściu dla pieszych na Towarowej. Obaj mają krótkie spodnie, długie umięśnione, cudownie owłosione nogi. Jeden szybkim ruchem zdejmuję T-shirt i zatyka go za paskiem. Na lewej piersi ma tatuaż, nie widzę dobrze, co przedstawia. Delikatna koronka splecionych granatowych linii schodzi w dół, otacza ślimakiem ciemny sutek, w którym tkwi lśniący, srebrny kolczyk. Czuję drgnięcie w podbrzuszu, delikatne mrowienie — zapowiedź erekcji. Odwracam wzrok. Skończyłem z seksem. Raz na zawsze.

## II

— Małgosiu, dziecko — mówię rozpaczliwie do słuchawki. — Ja nie rozumiem, dlaczego ty do mnie zadzwonić nawet nie chcesz, dlaczego ty się nie odzywasz. Ja już nie mówię, żebyś przyszła, ale chociaż zadzwoń.

— No przecież właśnie dzwonię — mówi ze zniecierpliwieniem.



Znam już ten ton. Nauczyłam się go. To jak czerwone światło. Stop, dalej ani kroku. Kiedyś nie mówiła do mnie takim tonem, kiedyś to było takie grzeczne, posłuszne, słodkie dziecko. Wiem, że powinnam teraz powiedzieć coś łagodnego, zmienić temat. Ale nie potrafię.

— Ale kiedy! — wykrzykuję. — Już ponad tydzień nie dzwoniłaś!

— A po co ja mam dzwonić, skoro jak dzwonię, to mi trzesz, że nie dzwonię? Zresztą nic się nie działo.

— Ale... ale u mnie coś się mogło wydarzyć!

— No i co się wydarzyło?

— Nic. Ale mogło!

— Oj, mamo. Dlaczego ty się nie zajmiesz sobą? Zejdź ze mnie wreszcie. Ja jestem dorosły człowiek.

— Dla mnie zawsze będziesz moją córeczką! Moim dzieckiem! To się nie zmieni.

— O Boże — wzdycha do słuchawki. — Daj mi spokój.

— Kiedy przyjdiesz?

— Nie wiem. No, i znowu się zaczyna. Sama widzisz.

— Co widzę? Nic nie widzę. Przyszłabyś na obiad, zrobię coś dobrego. Mam takie świeżutkie piersi z kury.

— Muszę kończyć.

— Nie! Poczekaj. Małgosiu, ja się tak martwię o ciebie.

— O co się martwisz?

— Bo ty chora jesteś.

— Ja chora? A na co ja niby jestem chora?

— No bo jak ty wyglądasz, dziecko.

— Jak ja wyglądam? — jej głos przybiera groźny ton.

Od pewnego czasu rozmowy z Małgosią zaczynają mi przypominać wędrówkę po polu naszprycowanym minami. We mgle. Nigdy nie wiem, który kierunek jest dobry. Mam wrażenie, że każde moje słowo — jakiegokolwiek by było

– pogarsza sytuację. Nie umiem do niej dotrzeć. To tak jak z plamką na oku. Kiedy patrzysz przed siebie, widzisz coś na granicy – maleńki, delikatny, rozmazany cień. Ale kiedy się skupiasz i odwracasz wzrok, żeby go dostrzec, ucieka. I im bardziej się starasz, próbujesz, im mocniej skupiasz wzrok, tym mniej go widzisz, tym prędzej on umyka. Aż w końcu wcale nie jesteś pewna, czy tam był naprawdę. Znika. Małgosia jest taką moją plamką na oku.

– Żle! Niezdrowo! – wykrzykuję z rozpaczą. – Ty za chuda jesteś, dziecko.

– Znowu zaczynasz.

– Przyjdź. Proszę. Ja cię odkarmię.

Małgosia milczy przez chwilę. Słyszę jej szybki oddech.

– O, pewna jestem, że byś chciała – mówi wreszcie.

– Co?

– Tak jak kiedyś, nie?

– No... tak – mówię niepewnie. – Kiedyś nie byłaś taka... taka chuda. Taka obca.

– Pewnie, że nie byłam. Dbałaś o to, żebym nie była. Znosiłaś z tego swojego śmierdzącego bufetu całe góry, całe tony żarcia i wtlaczałaś to wszystko we mnie. Jakbyś.... Jakbyś świnię pasła!

– Co ty wygadujesz, Małgosiu!

– Całe moje dzieciństwo to był nieprzerwany ciąg żarcia. „Zjedz coś”, „może byś co zjadła”, „no, jedz, jedz”, „połknij, nie trzymaj w buzi”. Bez przerwy! Rano śniadanie, do szkoły po pięć kanapek mi robiłaś i pilnowałaś, żebym tego do domu nie przyniosła. Potem następne musiały zjadać, jak w pracy byłaś, bo czekały na mnie w kuchni pod talezrem. Potem przychodziłaś i mi wmuszałaś obiad, a potem na noc kolację, prawie taką samą dużą. I bez przerwy mieszanka wedlowska, czekolada, cukierki, wafle! A w niedzielę

lody, rurki z kremem, koktajle na śmietanie, ciasto, wata cukrowa na Starówce!

– Ty niewdzięczna! – wykrzykuje. – Inne dzieci by się zabić wtedy dały, żeby mieć to co ty! Nic w sklepach nie było. Nic! Gdyby nie ten bufet, tobyśmy chyba zęby w ścianę wbijały!

– Jak miałam dziesięć lat, ważyłam siedemdziesiąt kilo. A w ósmej klasie ponad dziewięćdziesiąt. Byłam tłusta jak wieloryb.

– Po prostu dobrze wyglądałaś! Widać było od razu, że ktoś o ciebie dba!

– Kiedy próbowałam biec, trzęsłam się jak góra galarety, nie mogłam złapać tchu. Tyłek mi zwisał z krzesła w szkolnej ławce. Miałam bez przerwy odparzenia pod cyckami, pod brzuchem, pod pośladkami. Kiedy chodziłam, uda mi się o siebie tak ocierały, że mi bez przerwy musiały łąty na spodniach od wewnętrznej strony naszywać. A potem już nawet mowy nie było, żebym spodnie nosiła.

– Niczego ci nie brakło! Niczego! Pilnowałam jak oka w głowie!

– O, pewnie! Już ty mnie pilnowałaś, oj, pilnowałaś. Jakbym w szklanym akwariu żyła, bez przerwy czułam twoje oczy na sobie. Wszystko musiałyś wiedzieć, wszystko sprawdzić! Jakbyś mogła, tobyś mi głowę przekroiła, żeby zobaczyć, co się w środku dzieje. Bez przerwy knułaś, bez przerwy kombinowałaś, żebym żadnego sekretu nie miała, żadnej tajemnicy. Żadnej myśli swojej.

– No i dobrze! Bo dzięki temu na złą drogę nie zesłaś! Nie to co inne. Ta mała Szczerbińska z drugiej klatki z domu nawiała i na gigancie w ciążę zaszła! Nawet piętnastu lat nie skończyła wtedy jeszcze! Matka to ją całkiem w dupie miała! Jak Agnieszka z brzuchem wróciła i urodziła, to obie

potem z wózkiem po podwórku chodziły jakby nigdy nic!  
Za grosz wstydu.

– Żebyś ty wiedziała, jak ja jej wtedy zazdrościłam.

– Na głowę ci padło! – wykrzykuje. – Przecież to tobie wszystkie dzieci wtedy zazdrościły!

– Zazdrościły? Byłam pośmiewiskiem! Największym w okolicy, dosłownie! „Tłusta beka”, „wieloryb” – bez przerwy to słyszałam! Inaczej do mnie nie mówili. Naśmiewały się, że nawet nie wiem, kto jest moim ojcem.

– Dzieci już takie są zawistne – mówię. – Okrutne. Kto by się tam przejmował, co ludzie gadają.

Małgosia oddycha szybko i milczy.

– Halo?

– Teraz już nie masz nade mną władzy – odzywa się po chwili spokojniej. – Już mi nic nie zrobisz. Nic nie możesz zrobić. Skończyło się.

– Małgosiu... – zaczynam z rozpaczą, ale przerywa mi i mówi twardo:

– Do widzenia. Mamo.

### III

Otwieram drzwi i wchodzę do mieszkania. Patrzą na rozgrzebane łóżko, na brudne naczynia i na bałagan, który zrobiła Łuśka, pakując moje rzeczy tamtego dnia. Nie mam siły tego sprzątać. Rzucam torbę na podłogę i siadam na łóżku. Jakie to ma teraz znaczenie? Zrzucam buty, kładę się w ubraniu na kołdrze i zwijam w kłębek. Chcę spać. Zasnąć, nie myśleć i nie czuć.

Budzę się po południu, spocony, w wygniecionym ubraniu i z bolącą głową. Uświadamiam sobie, że jestem głodny. Wstaję z łóżka i wlokę się do kuchni. Zaglądam do lodówki, do szafek. Oczywiście niczego tam nie ma – w końcu

zadzwońiłem do Łuśki po to, żeby mi zrobiła zakupy, bo nie miałem nic do jedzenia. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zamówić pizzy albo KFC, ale ostatnie pieniądze wydałem w szpitalnym kiosku. Muszę zejść do bankomatu.

Z lustra w łazience spogląda na mnie obca twarz. Zapadnięte policzki, blada, ziemista cera, czarne kręgi pod oczami. W dodatku zrobiły mi się zajady w kącikach ust. Boże, wyglądam, jakbym miał cztery dychy. Myję się i usiłuję uczesać, ale przydługie już włosy nie dają się ułożyć. Nie mam siły. Zakładam baseballówkę, wsuwam japonki i wychodzę z mieszkania. Kiedy jestem już na podeście półpiętra, słyszę, że otwierają się drzwi Lewandowskiej. W pierwszym odruchu chcę przyspieszyć i zejść szybko na dół, żeby jej nie spotkać. Ale zatrzymuję się, przystaję przy oknie klatki schodowej i spoglądam w górę schodów.

#### IV

Siedzę z dłońmi zaciśniętymi na podolku i wpatruję się w telefon. Wszystko poszło nie tak, nie tak. Ona się odwraca ode mnie, a ja nic nie mogę zrobić, nic poradzić. A przecież ona to wszystko, co mam. Podporządkowałam jej całe życie, robiłam, co mogłam, żeby była bezpieczna. Zrezygnowałam z siebie, a przecież byłam młoda, mogłam kogoś jeszcze spotkać, mieć swoje życie, nawet wyjść za mąż. Poświęciłam to wszystko dla jej szczęścia. Byłam taka uważna w każdej minucie, w każdej sekundzie. Dzień i noc pilnowałam, chroniłam, dbałam. I teraz mnie taka nagroda za to spotyka. Taka wdzięczność. Ale to nie ona, to nie jej wina. To jest dobre dziecko, przecież wiem. Znam ją na wylot, wszystko o niej wiem. Ktoś jej coś musiał nagadać, naopowiali jej jakichś głupot. Zapatrzyła się na innych, nie wie, co robi. Nie rozumie.

Pojadę do niej – decyduję. Teraz, od razu. Wyjaśnię to, przemówię do rozumu.

Podnoszę się z fotela, wyłączam telewizor i zaczynam zakładać lepsze ubranie. Przystaję przed lustrem w przedpokoju, nakładam szminkę. Wyjmuję z torebki miętowego dropsa, wkładam do ust, biorę klucze i wychodzę na korytarz. Zamykam starannie wszystkie zamki, wrzucam klucze do torebki, przewieszam ją przez ramię, odwracam się do schodów i spoglądam w dół. Na podeście, pół piętra niżej, przy oknie stoi Sieniawski. Wciągam głośno powietrze i przez króciutką chwilę mam ochotę odwrócić się na pięcie i wejść z powrotem do mieszkania. Ale tylko przez chwilę. Przewracam w ustach dropsa i wolno podchodzę do najwyższego stopnia. Opieram lewą rękę na poręczy i przyglądam mu się z góry.

Ubrany, pozał się dobry Boże, w za ciasny podkoszulek, jakieś szmatławie workowate spodnie do kolan i damskie sandały. Bo co to jest, jak nie damskie sandały, to, co on ma na nogach? Zboczeniec jeden. Stoi tam i bezczelnie się na mnie gapi spod daszka białej czapki. Szczurza mordą, wredne gównu. Już nie jest taki śliczny i wycacany fryzjerczyk. Oczy ma mętne, przekrwione, pod nimi czarne placki. Błady i spocony, popękane suche usta. Przyglądam mu się uważnie, z narastającą złością. To przez takich jak on to wszystko. Tacy jak on mają w pogardzie prawa i reguły, normalny porządek rzeczy, to, co powinno być i jak powinno być. Pełno ich wszędzie, wszędzie się wcisną. Szerzą zło i zepsucie. Zwracają się przeciw Chrystusowi, przeciw Bogu Ojcu, za nic mają ich nauki. Przez takich jak on ginie wiara, rozpadają się rodziny; dobre, kochające dzieci schodzą na złą drogę. Przez takich jak on rodzona córka się od matki odwraca! Ale na tego, daj Boże, przyszła kryska, widać

gołym okiem. Przekładam językiem miętówkę pod policzek i cedzę wolno:

– No i co?

V

– No i co? — pyta stara krowa, stając na szczycie schodów.

Na tej swojej pomarszczonej, suchej gębie ma wyraz takiej pogardy, takiej wyższości, że aż mi się wszystko w środku przewraca. Boże, jak ja nienawidzę takich jak ona. Takich zakutych, tępych, zapchanych kościelnymi dogmatami łbów. Takich zer, tej tłuszczy, która wstrzymuje bieg świata. Tych wszystkich kościelnych kurew, żyjących swoim nic nieznaczącym życiem, wtykających bez przerwy nochale do nie swoich spraw. Zakłamanych hipokrytek, wściekle onanizujących się krucyfiksami niczym ta opętana dziewczyna w *Egzorcystcie*. Tych, którym wydaje się, że mają prawo mówić ci, co masz robić, jak żyć. Gdyby nie takie jak ona — myślę — nie byłoby tego wszystkiego. Gdyby nie takie jak ona, świat byłby dobry. Gdyby nie takie jak ona, nie byłoby... nie byłoby AIDS ani HIV! Ludzie nie musieliby się pierdolić po kątach, w krzakach, w publicznych kiblach, w ciemnych piwnicach, darkroomach, w brudzie i smrodzie! Nie musiałbym tak żyć, chować się pod ścianami. Mógłbym mieć normalne życie! Swojego faceta, z którym mógłbym zwyczajnie chodzić za rękę po ulicy, całować go na ławce w parku, przytulać się do niego w tramwaju. I nigdy bym się nie zaraził. Nigdy! Narasta we mnie taka złość, że aż zaczynam drzeć. Ręce same zaciskają mi się w pięści, kark sztywnieje, robi się jak z żelaza. Podchodzę powoli krok bliżej poręczy i podnoszę twarz. Wpatruję się w nią szeroko otwartymi oczami, głośno wciągając i wypuszczając nosem powietrze.

– No i gówno — rzucam przez zęby.

## VI

– No i gównno – mówi ten śmieć.

Ha! „No i gównno” – i czego się tu spodziewać innego?  
Dno dna.

– Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy – mówię wolno z krzywym uśmiechem.

– Co?

– Ano to – wskazuję na niego palcem. – Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

– Co pani pierdoli? – pyta. – Chodzącą księgę przysłów pani odstawia? Międzynarodowy dzień ludowych mądrości? Chyba się pani nażarła sfermentowanego opłatka.

– Ty gnoju! – syczę.

Sieniawski robi kółko na czole i wywraca oczami.

– Oto jest Ciało Boże – deklamuje piskliwym głosem.

– Jedzcie i pijcie! Do wypęku!

– Ty diabelskie nasienie! – krzyczę. – Mam nadzieję, że cię ten adidas szybko załatwi.

– Co? – otwiera szeroko usta ze zdziwienia. – Co pani powiedziała?

– Ano to! – wykrzykuję triumfalnie. – Co ty myślisz, że nie wiem? Widać to po tobie! Mam nadzieję, że się nieźle nacierpisz, zanim cię szlag trafi! Tego ci życzę!

Sieniawski podchodzi bliżej. Na białych policzkach kwitają mu czerwone placki, z oczu lecą skry.

– Lepiej uważaj, stara kurwo – mówi wreszcie wolno.

– Bo tym się można łatwo zarazić! Wystarczy, że na ciebie splunę.

– Gównno prawda – odpowiadam pełnym politowania tonem. – Uczciwego, bogobojnego człowieka adidas nie ruszy. Bo to jest kara boska na takie zepsute, śmierdzące, zboczone nic jak ty.



Stoi tam i gapi się na mnie. Zapomniał języka w gębie. No i dobrze, moje górą.

— To niech pani uważa w takim razie na swoją córeczkę — syczy nagle przez zaciśnięte zęby. — Bo córeczka mniej bogobojna, jak mi się zdaje.

Chwieję się, jakby mi pięścią między oczy przyłożył. Co on wie? Skąd?

— Co ty wiesz? Co? — pytam szybko. — Co ty możesz wiedzieć?

## VII

Strzał był celny. Starej cała krew z twarzy odpłynęła. Nie mam pojęcia dlaczego, wiem tylko, że ma dorosłą córkę, ale w życiu jej na oczy nie widziałem. W każdym razie moje na wierzchu, coś w tym musi być. Uśmiecham się złośliwie.

— Chciałabyś wiedzieć, co? — mówię.

Patrzy się na mnie wybałuszonymi oczami i milczy. Już nie ma tej pełnej wyższości miny jak przed chwilą. O, nie! Wygląda na przerażoną.

— Chciałabyś się czegoś dowiedzieć o tej swojej małej pizduni? — blefuję dalej. — To ci powiem, że daleko jej do wzorca chrześcijańskiej dziewicy.

Stara wzdraga się cała, miota głową, porusza gębą i nieruchomieje na ułamek sekundy. Nagle oczy wychodzą jej z orbit, zaczyna charczeć i kasłać. Robi się całkiem czerwona na twarzy, odrywa rękę od poręczy i chwytą się za gardło. Torebka zsuwa się z jej ramienia, spada na stopnie, wysypują się z niej jakieś śmieci. Wpatruję się jak zahipnotyzowany. Stara pochyła się do przodu, obraca na pięcie. Wciąż kaszląc, tańczy na szczycie schodów, jakby jej ktoś wpuścił mysz za pazuchę. Nagle zgina się wpół i wypluwa coś na podstawioną dłoń.

— O Jezusie słodki — chrypi i zwraca się w moją stronę.

I wtedy noga zsuwa się jej z najwyższego stopnia. Kobieta traci równowagę i z komicznym wyrazem zdziwienia na twarzy przechyla się do przodu i w bok. Macha w powietrzu rękami, usiłuje złapać się ściany, palce przesuwają się z piśkiem po tynku pokrytym olejną farbą. Takim czystym, że aż słyhać. Chwieje się przez ułamek sekundy na szczycie jak podcięta sosna i z łomotem wali się w dół prosto na mnie. Przez króciutki moment moje ręce podrywają się w jej stronę, wchodzę na schody, ale zatrzymuję się zaraz, opuszczam ramiona. Cofam się i tylko patrzę. Stara wyrzuca nogę przed siebie, jej stopa ląduje dwa stopnie niżej przy samej barierce. Przez krótki moment babsztyl wygląda niczym dawny arystokrata krzyżujący nogi w głębokim ukłonie przed obliczem króla, ale jej but ześlizguje się w bok i wpada między żelazne pręty. Lewandowska leci w dół, robiąc w powietrzu elegancki piruet. Słyhać trzask pękających szwów spódnicy i rozdzieranego materiału. Uderza plecami w schody, łukiem przesuwając się w stronę barierki i wali w nią głową. Jej druga noga, ta niezaklinowana w kracie, szybuje w powietrzu, niczym na pokazie gimnastyki artystycznej. Niemal całkiem wyprostowana uderza w ścianę na wysokości głowy kobiety, ustawiona pod zupełnie nierealnym, nienaturalnym kątem. Szpagat stulecia, jak z rosyjskiego cyrku. Widzę poźółkle, bawełniane majtki, szare uda pokryte siecią niebieskosinych żył. Wszystko trwa zaledwie kilka sekund. Ciało nieruchomieje, zaczezione jedną stopą w połowie schodów. Głowa kobiety leży pół metra ode mnie. Zapada cisza. Słyszę odległy szum samochodów, krzyki dzieciaków bawiących się na podwórku, przytłumione odgłosy z jakiegoś radioodbiornika albo telewizora. Wypuszczam ze świstem powietrze.

– Ja cię sunę! – mówię na głos.

Pochyliam się nad kobietą, zaglądam jej w twarz.

– Nic się pani nie stało? – pytam zupełnie idiotycznie.

Ma zamknięte oczy, z nosa i przeciętego czoła leci jej krew. Prostuję się szybko. Co teraz? Co się robi w takich sytuacjach? Trzeba wezwać pogotowie, nie? Mam nadzieję, że się nie zabiła. Nigdy jeszcze nie widziałem prawdziwego trupa z bliska. Wyciągam komórkę z kieszeni spodni i zaczynam wbijać numer. 999 czy 997? Chyba 999, bo ten drugi kojarzy mi się z telewizją, z policyjnym programem. Wybieram awaryjny 112. W końcu udaje mi się dogadać. Podaję adres i swoje nazwisko. Karetka jest w drodze. Zastanawiam się, co zrobić. Iść po te zakupy? Wejść na górę do siebie? Siedzieć tu? Opieram się o parapet okna i chowam komórkę do kieszeni. Przyglądam się kobiecie, mam wrażenie, że oddycha. Pokarało ją. Ale nie czuję tryumfu ani nawet satysfakcji. Jestem wykończony, kręci mi się w głowie. Pogotowie przyjeżdża po niecałych dwudziestu minutach, całkiem szybko. Opowiadam, co się stało – mniej więcej, bo nie wgłębiam się w szczegóły naszej rozmowy. Lekarz stwierdza, że kobieta żyje, pakują ją na nosze. Młody sanitariusz zbiera ze schodów dokumenty i drobiazgi, które wyspały się z torebki.

– Chce pan pojechać z nią do szpitala?

– Nie! – zwariował chyba.

Chłopak przygląda mi się uważnie. Całkiem fajny gostek.

– Na pewno dobrze się pan czuje? Nie wygląda pan najlepiej – mówi troskliwie.

– Zdenerwowałem się jakby – odpowiadam.

Zamyka torebkę na suwak i rusza w dół. Kiedy mnie mijają, czuję zapach jego wody – Envy. Bardzo lubię ten zapach, używałem go przez kilka lat. Patrzą za nim, gdy schodzi w dół.

- Proszę pana – mówię.
  - Tak? – odwraca się do mnie.
  - Do którego szpitala ją zabieracie? – pytam.
  - Na Szaserów jest dyżur. Praga-Południe.
- Znika za załomem schodów.

## VIII

– Halo! Halo! – słyszę odległy głos.

Nie chce mi się wstawać. Mama daj spokój, jeszcze czas, jeszcze mogę pospać. Nagle czuję, że ktoś poklepuje mnie po policzku. Marszczę brwi i zaciskam mocniej oczy, odsuwam głowę.

– Budzimy się! Halo! Słyszysz mnie pani?

– ...szę – próbuję odpowiedzieć. Gardło i język mam jak z drewna.

– Niech pani otworzy oczy. No, otwieramy oczy!

Próbuję uchylić powieki, razi mnie jasne światło. Zaciśkam je znowu.

– Niech pani spojrzysz. Halo! Patrzymy!

Otwieram znowu oczy i widzę jakąś rękę tuż przed nosem. Próbuję unieść dłoń, ale jest jak z ołowiu.

– Ile palców pani widzi?

– Trzy – szepczę.

– A teraz?

– Dwa.

– Dobra. Wszystko w porządku. Zabierajcie ją.

– Gdzie ja jestem? – próbuję zapytać, ale sama nie słyszę swojego głosu.

Czuję, że łóżko, na którym leżę, zaczyna się poruszać, uderza w jakąś przeszkodę, jedzie dalej. Światło słabnie, wysoko nad sobą widzę przesuwany się sufit i podłużne jarzeniowe lampy. Przejeżdżam przez jakieś drzwi. Próbuję

spojrzeć w bok, ale nie mam siły nawet obrócić głowy. Co się ze mną dzieje?

Wjeżdżamy do małego pokoju, jakaś kobieta pochyła się nade mną, ale nie patrzy mi w oczy. Sięga przez moje łóżko, nagle czuję szarpnięcie. To winda, jestem w windzie. Próbuję coś powiedzieć, ale wszystko ucieka, zaczyna odpływać. Zасыpiam.

Kiedy się budzę i otwieram oczy, jestem już gdzie indziej. W dużym, jasnym pokoju. Mam całkiem zeszywniałe mięśnie, zupełnie nie czuję rąk i nóg.

— Obudziła się — słyszę głos.

Odwracam głowę w jego kierunku. Na łóżku stojącym metr od mojego siedzi młoda kobieta. Patrzy na mnie.

— Chce się pani pić, czy coś? — pyta. — Siostra mówiła, żeby dać pani pić, jak się pani obudzi.

Kiwam głową. Dziewczyna podchodzi do mnie, unosi moją głowę, czuję dotyk szklanki na ustach. Piję łąpczywie i spoglądam w górę, na jej twarz. Przygląda mi się z lekko zmarszczonymi brwiami. Ma jasne, prawie białe oczy. Po chwili zabiera szklankę i odstawia ją na stolik przy moim łóżku.

— Ale pani ma oczy — mówię cicho.

— Wiem — uśmiecha się. — Jak wilk. Każdy mi to mówi.

— Gdzie ja jestem?

— W szpitalu — wygląda na zdziwioną moim pytaniem.

— Na Szaserów.

— W szpitalu? Dlaczego?

— Nic pani nie pamięta?

— Czego nie pamiętam? Co mi się stało?

— Nie wiem — dziewczyna wzrusza lekko ramionami i siada głębiej na łóżku. Opiera się plecami o zagłówek, podciąga nogi i podwija je pod siebie, poprawiając podomkę.

– Miała pani jakiś wypadek, czy coś. Siostra pani wszystko powie. Albo lekarz.

– Jaki wypadek? – mówię głośniej. – Wypadek? O Jezusie, jaki wypadek?

– Niech się pani uspokoi! Ta z tamtego łóżka dopiero co usnęła, a całą noc jęczała i spać nie mogła.

– Ale co mi jest? O Boże mój przenaјświętzy! O matko jedyna!

– Pójdę lepiej po siostrę – mówi dziewczyna.

Zeskakuje z łóżka i wybiega z pokoju. Jaki ja wypadek miałam? Nic nie pamiętam! Nic! Jak ja się tu znalazłam?

Po chwili do pokoju wchodzi pielęgniarka. Pochodzi do mnie, kładzie mi rękę na czole. Ma chłodną skórę.

– Jak się pani czuje?

– Ale co ja tu robię? Proszę pani, to znaczy siostró, co mi się stało?

– Lekarz pani wszystko powie. Jak będzie obchód.

– Obchód? Jaki lekarz?

– Zaraz... – podnosi jakąś tabliczkę zawieszoną na poręczu w nogach mojego łóżka. – Dziwne, nie napisali.

– Czego?

– Kto panią prowadzi. Wczoraj miała dyżur doktor Kosterwa, może ona? Ale dlaczego nie wpisali nazwiska?

– Ale co mi jest? Rany boskie, siostró, co mi jest?

Pielęgniarka odwiesza tabliczkę na miejsce i spogląda na mnie obojętnie. Jakbym była kawałkiem drewna albo tym stolikiem przy łóżku. Wpatruję się w nią szeroko otwartymi oczami. Po chwili jej rysy łagodnieją, a na twarzy pojawia się lekki uśmiech.

– Niech się pani nie martwi. Wszystko będzie dobrze, zobaczy pani. Spadła pani ze schodów, no i troszkę się pani połamala.

— Ze schodów? Połamalam się... — nagle zaczynam robić się senna.

— Już panią poskładali. Lekarz pani wszystko powie dokładnie. A teraz niech się pani trochę prześpi.

— Co ja...

— Niech pani śpi.

Próbuję coś jeszcze powiedzieć, ale nagle obraz się zamazuje, oczy mi się same zamykają. Jesteśmy w parku, w Łazienkach, razem z Małgosią. Ma może sześć, może siedem lat. Siedzę na ławce i przeglądam „Kobietę i Życie”, Małgosia bawi się w trawie dwa metry ode mnie. Spoglądam na nią znad gazety. Ma poważną, zamysłoną buzię. W skupieniu układa coś na ziemi, zrywa kwiatki. Powietrze jest lekkie, świetliste, pachnie jak... jak niebo. Liście i trawa takie zielone. Początek lata. Nagle podnosi się i idzie do mnie. Odkładam na bok gazetę.

— To dla ciebie — mówi i podaje mi garstkę stokrotek.

— Dla mnie? A dlaczego? — pytam.

— Bo cię kocham — mówi.

Śmieję się i zamykam ją w ramionach. Przytulam mocno, całuję w kark. Wydycham szybko powietrze i moje usta wydają zabawny odgłos na jej skórze. Jak balonik, z którego ktoś spuszcza powietrze. Małgosia piszczy i zaśmiewa się wniebogłosy.

— A kto jest córeczką mamusi? — pytam, śmiejąc się także. — No kto?

— Ja! — woła. — Ja!

# K

## Koniec czerwca

I

— Masz zamiar się nad sobą roztkliwiać? — pyta Elżbieta, zakładając nogę na nogę.

Czuję się dotknięty tym pytaniem, ale nie daję tego po sobie poznać. Może by tak odrobinę empatii, co?

— Nie — odpowiadam. — Ale chyba jakby mam się czym przejmować, nie?

Elżbieta składa ręce i opiera brodę na czubkach wyprostowanych palców i nic nie mówi przez chwilę. Czekam.

— Tak — mówi wreszcie. — Masz się czym przejmować, oczywiście. Ale jesteś dorosłym facetem. Doskonale zdawałeś sobie sprawę z zagrożenia, prawda?

— Tak — mówię niechętnie.

— Wiedziałeś, że uprawianie seksu analnego z kimś nieznanym bez zabezpieczenia może być niebezpieczne dla twojego zdrowia. Tak?

— Tak. Oczywiście, ale...



– Ale to zrobiłeś. I to zapewne nieraz. Wiesz, to trochę tak, jakby ktoś wziął do ręki rozpalony do czerwoności pogrzebacz, a potem płakał, złorzeczył i wygrażał pięścią do nieba, że się sparzył. A przecież wiedział wcześniej, że pogrzebacz może go oparzyć. To dziecinne i nieodpowiedzialne.

– No i?

– Jeżeli już zdecydowałeś się wziąć do ręki rozpalony do czerwoności pogrzebacz i zostałeś poparzony, histeryzowanie i zrzucanie odpowiedzialności na kogoś innego jest nieracjonalne. Stało się to, co musiało się stać, i sam jesteś temu winny.

Nie będę tu już przychodził! Co to za terapia, skoro czuję się przez nią gorzej? W ogóle nie tak powinno wyglądać leczenie!

– Jako psychoterapeutka nie powinnaś mi mówić takich rzeczy! Nie wolno ci robić mi wyrzutów i wywoływać poczucia winy! – mówię ze złością.

– Wiesz doskonale, że mam swoje własne zasady. Uprzyedziłam cię o tym na samym początku. Jeśli doszedłeś do wniosku, że ci to nie odpowiada, zawsze możesz iść do regulanej kliniki – odpowiada spokojnie.

Siedzę przez chwilę w milczeniu, zaciskając usta, i przyglądam się jej ze zmarszczonymi brwiami.

– Ale to ten gnojek... – zaczynam wreszcie.

– Ach, tak. Ten gnojek – przerywa mi Elżbieta pełnym udawanej zadumy głosem. – Zły człowiek. Zgwałcił cię. Wziął siłą.

– Nie, ale...

– Ale cię namawiał. Prosił podstępnie: „Och, proszę, zrób to dla mnie, oddaj mi się bez prezerwatywy, błagam, tak bardzo cię pragnę”. Uknął makiaweliczny plan usidlenia cię i zarażenia wirusem HIV.

– Nie! Ale mógł... Nie wiem. Mógł mi powiedzieć! Albo nie pozwolić!

– Ach, czyli oczekujesz, że ktoś będzie podejmował za ciebie decyzje dotyczące twojego życia. To jego wina, że dał ci to, czego chciałeś?

– Nie!

– To jak to było? Kto kogo namawiał?

– Ja jego. Ale... Mógł się nie zgodzić!

– Ile on miał lat?

– Nie pamiętam.

– Trzydzieści? Czterdzieści?

– Nie. Może ze dwadzieścia.

– Czyli masz pretensje do dzieciaka, że nie wykazał się większym rozumem od ciebie. Że nie był bardziej odpowiedzialny niż ty. Paweł...

– No więc dobrze! Dobrze! To moja wina, że się zaraziłem. Moja! I najlepiej, żebyś się teraz sam z tym wszystkim pierdolił i zdychał! – wykrzykuje.

– Zachowujesz się jak dziecko.

– No i dobrze! Będę się zachowywał, jak mi się podoba! Nie mam nic do stracenia!

– O! – mówi Elżbieta spokojnie. – Myślę, że dopiero teraz rozumiesz, jak dużo masz do stracenia. I jak bardzo cenne było to, co miałeś.

– Jesteś okrutna – mówię z goryczą po długiej chwili.

– Tak, to prawda. Przepraszam. Ale powiedz mi właściwie, co jest takim wielkim dramatem dla ciebie – teraz, konkretnie.

– Jak to co?! No, to! To, że wiem, że umrę!

– Jak my wszyscy. Nawet ja to wiem.

– Ale ja wiem kiedy!

– Kiedy?

– No, kiedyś!

– Aha.

– To jest we mnie, nie rozumiesz tego? Tyka jak bomba zegarowa. Wisi nad moją głową jak miecz Damoklesa!

– Zawsze wisiało. Zawsze się tego bałeś. Raz na pół roku chodziłeś na test i często o tym myślałeś, prawda?

– Tak.

– Mimo to i tak zaryzykowałeś, a to... No, nieważne. Powiedz mi, czy ten wirus... czy on wpływa bezpośrednio na twoją percepcję? Fizycznie.

– Percepcję?

– Czy uszkadza twój zmysł wzroku, słuchu? Przytępia zmysł dotyku? Upośledza twoją zdolność poruszania się, myślenia? Czy wydziela w twoim mózgu chemiczne substancje uniemożliwiające ci odczuwanie szczęścia, radości? Kochania?

– Nie – odpowiadam ze zniecierpliwieniem. – Ale przecież nie o to...

– Wierz mi, Pawciu, są gorsze rzeczy, które mogłyby ci się przydarzyć.

– Tak? No pewnie! Powinienem się na przykład cieszyć, że nie potrafiła mnie ciężarówka! Że nie leżę w łóżku sparaliżowany od szyi w dół, karmiony przez rurkę, co? Wiesz, to chyba największe...

– Nie, choć coś takiego może przydarzyć się każdemu. Ja myślę, że najgorsze, co może kogoś spotkać, to przegapienie swojego życia. Niewykorzystanie szansy na zrealizowanie swoich pragnień, na odnalezienie sensu i wreszcie – na poznanie i pokochanie siebie samego. Najgorsze dla człowieka to obejrzenie się wstecz, gdy jest już za późno, spojrzeć na swoje życie i uświadomić sobie, że – z głupoty, lenistwa czy tchórzostwa – nie poszło się drogami, którymi chciało się

ić. A ty tę szansę wciąż masz przed sobą. Powiem ci, choć pewnie jako twoja terapeutka nie powinnam, że mnie złościsz. Wkurza mnie, kiedy widzę takiego faceta jak ty — przystojnego, mądrego, dobrego człowieka — który wszystko, co ma, trwoni na prawo i lewo. Masz tyle cennych zalet w sobie, ale żadnej z nich nie szanujesz. A jeśli ty nie szanujesz siebie, jak możesz oczekiwać, że ktoś inny zacznie cię szanować? Ludzie widzą cię tak, jak sam siebie przedstawiasz. I traktują cię tak, jak na to pozwalasz.

— Czyli co powinienem zrobić twoim zdaniem?

— Spróbować dostrzec w sobie to, czego szukasz dookoła. Jeżeli będziesz mógł polegać na sobie samym, sam dla siebie będziesz stanowił oparcie. A wtedy, wierz mi, faceci ustawią się do ciebie w kolejce. Bo to, co jest trudne do zdobycia, ceni się wyżej niż to, co się dostaje darmo, podane na talerzu pod sam nos. Wiesz już, że jesteś nosicielem. Ale wiesz też, że raczej nic ci nie grozi przez najbliższe lata, a i później to jest do opanowania.

— Yhm — kiwam głową. Łzy napływają mi do oczu. Nie wiem, dlaczego zawsze tak się roztkliwiam, kiedy ktoś mówi na mój temat dobre, miłe rzeczy. Kretynizmem się z tego cieszyć, a mi się chce ryczeć.

Wychodzę z jej mieszkania na Mariensztacie, wsiadam na rower i ruszam w stronę fabryki. Docieram na miejsce w pół godziny, a gdybym próbował dotrzeć tu samochodem, na pewno nie byłbym wcześniej. Kiedy zakładam blokadę na koło, do recepcji wchodzi Łuśka.

— Paweł! — wykrzykuje na mój widok.

Podbiega do mnie i rzuca mi się na szyję. Całuję ją lekko w okolice ucha, właściwie tylko przykładam policzek.

— Ech, ty durniu — mówi. Zwija usta w dziobek i całuje mnie prosto w moje.

Wzrusza mnie to, choć nie dają po sobie nic poznać. Po powrocie ze szpitala powiedziałem jej o wszystkim, bo zadzwoniła, kiedy byłem w okropnym dołku. Żałowałem później, ale już nie żałuję. Zresztą nie mam zamiaru się przejmować. Współpracował kiedyś z nami Rafał, grafik specjalizujący się w rysowaniu storyboardów do reklamówek telewizyjnych. Wszyscy wiedzieli, że ma HIV, i nikt nie robił z tego problemu. On sam zresztą o tym mówił. Rozdawał nawet jakieś ulotki na ten temat. Ciekawe, co się z nim dzieje? Dawno go nie widziałem, może mógłbym...

— Wracasz jednak? — pyta Łusia.

— Nie. Chciałbym... Chyba przydałoby mi się parę dni urlopu. Czy Arek...?

— Nie. Nic mu nie mówiłam — wzrusza ramionami dziewczyna. — Jest u siebie. Trzymaj się, a jakby co, dzwoń.

Przystaję przed drzwiami do pokoju Arka i poprawiam włosy. Nie mam ochoty na tę rozmowę. O, jestem pewny, że wszystko pójdzie gładko. Z pewnością wykaże się rewelacyjnie dobrą postawą. Zrozumienie, dobre słowo. Poklepie mnie po plecach. Political correct. Tyle tylko, że będę musiał okazać swoją słabość. Przed nim. A to mnie upokarza. Pukam i naciskam klamkę.

— Cześć — mówię. — Można?

Arek siedzi za swoim biurkiem wpatrzony w ekran monitora. Ani chybi [www.luxlux.pl](http://www.luxlux.pl) — myślę złośliwie. Na mój widok klika szybko myszką i podnosi się z krzesła.

— No nareszcie, mister! — wykrzykuje. — Co się z tobą działo?

Wygląda oczywiście perfekcyjnie. Doskonała fryzura, opuszczone na biodrach dżinsy dokładnie o tyle, aby między ich paskiem a dołem T-shirtu widać było górę firmowych slipek. Zalakierowany i bez skazy.

– Trochę tego... – bąkam niepewnie pod nosem. – Jakby chorowałem.

– Aha – mówi Arek i przygląda mi się uważnie z lekko uniesioną brwią.

– W sumie nic takiego – mówię szybko. – Ale nie najlepiej się czuję i pomyślałem, że... Wiesz, przydałby mi się dłuższy urlop.

– Dłuższy urlop – powtarza za mną.

Odrywa ode mnie wzrok i siada za biurkiem. Zaczyna układać jakieś papiery.

– Wiesz, mam zaległych mnóstwo dni...

– Czy to to? – pyta.

– Co... – zaczynam z udawanym niezrozumieniem, ale przerywam w pół słowa.

Nagle uświadamiam sobie, że nie mam zamiaru brnąć w jakieś kłamstwa i się plątać. Spoglądam mu w twarz i wzruszam tylko ramionami.

– Chcesz o tym pogadać?

Z nim? Nie chcę! Kręcę przecząco głową.

– Jeśli mogę ci coś doradzić – Arek odchyła się na krzesło, wsparty dłońmi o brzeg biurka – urlop w takiej sytuacji to nie najlepszy pomysł. Powinieneś się czymś zająć, nie myśleć. Wypełnić sobie czas. Zorganizować go od deski do deski. Uporządkować życie. Zacząć chodzić na siłownię, do klubów. Spotykać się ludźmi. Najważniejsze to o tym nie myśleć. Nie zastanawiać się. Nie analizować. Rozumiesz? Życ z całej siły i zapomnieć, że to... że to jest w tobie, że się kłębi w twojej krwi, w komórkach, że pożera cię od środka! Trzeba wykluczyć tę świadomość. Wymazać!

– Ale... – odpowiadam powoli, zdumiony jego słowami.

– Ale ja chcę o tym pomyśleć. Chcę się nad tym zastanowić. Chcę...

Przerywam i przyglądam mu się uważnie. Arek przez moment wytrzymuje moje spojrzenie. Po chwili odwraca wzrok i wbija go w ekran monitora. Krzesło wraca do pionowej pozycji, a on kładzie dłoń na myszce i otwiera w komputerze jakiś dokument.

— Jak uważasz — mówi. — Twoja sprawa. Urlop oczywiście możesz dostać. Wypisz wniosek, od razu ci go podpiszę.

— Czy... — zaczynam niepewnym głosem.

— Wnioski są u Grażyny. Jak już wypiszesz, zostaw u niej — wpada mi w słowo. — Trzymaj się i dawaj znać.

Zamykam za sobą drzwi do jego gabinetu i wgapiam się bezmyślnie w wiszącą na ścianie pomniejszoną wersję billboardu z reklamą kredytów hipotecznych. Klucz do szczęścia. Po kilku sekundach ruszam w stronę sekretariatu. Wypisuję wniosek, żegnając się i wsiadam na rower.

Nadkładałam drogi i robię dwa kółka po Polu Mokotowskim. W drodze powrotnej zatrzymuję się pod sklepem, robię spore zakupy. Z trudem udaje mi się dostać do mojej klatki schodowej — mam zajęte ręce, a nie chcę zostawiać roweru przed wejściem. Zniknąłby w mgnieniu oka. Przypinam go łańcuchem do kaloryfera na parterze i ruszam na górę. W połowie schodów staję jak wryty i patrzę na moją wycieraczkę. Stoi na niej kosz czerwonych róż. Gigantyczny, nie mam pojęcia, ile ich tam jest, ale chyba z pięćdziesiąt. To jakaś pomyłka. Podchodzę bliżej, wydaję z kieszeni klucze i otwieram drzwi do mieszkania. Przeciskam się obok zieliska, które sięga mi powyżej kolan, i odstawiam zakupy na blat w kuchni. Wracam i kucam przy kwiatkach. Musieli się pomylić. Wyciągam spod niego róż małą kopertę, na której jak byk stoi mój adres. Czyli to naprawdę dla mnie. „Mam nadzieję, że już dobrze się czujesz. Ściskam mocno! W.” Co za W.? Ja nikogo nie znam na W.! To znaczy, nie, no pewnie

kogoś znam. Ale nikogo, kto by mi mógł przysłać kwiaty! Jak żyję, jeszcze nie dostałem kwiatów w taki sposób. W ogóle nie pamiętam, kiedy ostatni raz dostałem. Przyglądam się różom z niedowierzaniem i lekką obawą, ale ostatecznie wnoszę je do domu i ustawiam na stole. Dziwne. Ale nie niemiłe. Raczej wręcz przeciwnie. Uśmiecham się pod nosem i zaczynam robić sobie obiad.

## II

– Taaaak, pani Anna Lewandowska – mówi doktor, sto-  
jąc w nogach mojego łóżka z założonymi rękami.

– To ja jestem, panie doktorze – odpowiadam.

Leżę tu już ponad tydzień, a ten za każdym razem przy-  
chodzi i zachowuje się, jakby mnie wcześniej na oczy nie wi-  
dział. Wyjmuje spod pachy teczkę i wyciąga ze środka plik  
papierów.

– Nóżka zrasta się całkiem dobrze – mówi, oglądając  
pod światło rentgenowskie zdjęcie. – Zwichnięty nadgar-  
stek, bez problemu, tak... No, dobrze. Trzeba będzie zająć  
się bioderkiem.

– Bioderkiem – mówię.

– Troszeczkę jest pani za młoda na endoprotezę, ale nie  
ma wyjścia.

– Co ze mną będzie, panie doktorze? – pytam.

– A co ma być? Dobrze będzie. Najbliższy wolny termin  
jest za miesiąc. Rach-ciach to załatwimy, a potem poleży pa-  
ni trochę w łóżeczku, fizykoterapeutka do pani będzie przy-  
chodziła. Raz dwa stanie pani na nogi! W pani wieku!

– Raz dwa? A co do tego czasu?

– No, nie będzie pani przecież w szpitalu leżała! Wypisze  
się pania, poczeka pani w domku, a jak przyjdzie czas, to  
pani przyjedzie. Zrobimy operacyjkę, i po krzyku.



– Operacyjkę? – pytam niepewnym głosem.

– Pewnie! Bułka z masłem. Tylko jedno, co mnie martwi, to ta pani osteoporoza. Wie pani, to zadziwiające, żeby osoba w tak młodym wieku miała aż tak zaawansowaną osteoporozę.

– No, bez przesady – mówię.

– Nie, nie, naprawdę. Ma pani z tym niemały kłopot.

– Mi chodziło o ten mój wiek, że bez przesady. Ja mam sześćdziesiąt trzy lata, wie pan doktor.

– Co to jest? To jest nic. Ale pani kości, hm... Ma pani kości jak pumeks. Tak może wyglądać szkielecik kogoś, kto ma osiemdziesiąt lat, a nie sześćdziesiąt.

– I co będzie, panie doktorze?

– Przede wszystkim musi pani bardzo uważać na siebie. Przepiszemy pani lekarstewka, musi pani jeść dużo wapnia. I, wie pani, serki, nabiał. Wszystko, co wzmacnia kosteczki. Galaretki, żelatynka. No i stale musi pani być pod opieką lekarza. Trzeba robić badanka, nie ma rady.

– Dobrze, panie doktorze – mówię.

– Hormony pani brała w czasie klimakterium?

– Nie brałam. Ja właściwie do lekarza nie muszę chodzić. Dobrze się czuję. Nigdy na nic nie chorowałam.

– Tak. No i widzi pani, jak to niczego w życiu nie można być pewnym. Nierozsądnie. Hormoniki trzeba było brać.

Wychodzi. Będą mnie kroili, Boże święty. A ja żadnej operacji w życiu nie miałam. A co będzie, jak się przecknę w połowie? Albo jak się nie obudzę? I co to będzie później? A do tego czasu? Takie nieszczęście...

Wraca Iza, ta z sąsiedniego łóżka. Znowu koleżanka – ta brunetka – do niej przyszła w odwiedzin. Co dzień przychodzi. Jaka to jest dobra dziewczyna, ta Izunia. Ona jedna

w tym pokoju się mną przejmuję choć trochę. Raz to nawet basen mi podała i wyniosła potem, jakby nigdy nic.

— No i co lekarz pani mówił? — pyta.

— Pokroją mnie — mówię i czuję, że mi się łyzy do oczu ciśnie. — Za miesiąc.

— Oj, niech się pani nie martwi — Iza poklepuje mnie po ręce. — To przecież dobrze, że tak prędko tę operację zrobią. Potem będzie coraz lepiej. Zobaczysz pani. Nawet się pani nie obejrzy, gdy będzie pani biegła jak przedtem.

— A bo to wiadomo, co będzie? Wszystko się może przydarzyć. W telewizji pokazywali jedną taką, której przy operacji nożyczki zaszyli w środku.

— Pani to zupełnie jak moja mama — śmieje się koleżanka Izy. — Też zawsze z góry samych najgorszych rzeczy się spodziewa. Pewnie gdyby wygrała w totolotka milion złotych, pierwsze, co by powiedziała, to to, że teraz to już ją na pewno okradną.

— I słusznie — mówię, patrząc z ukosa na dziewczynę. — Trzeba dmuchać na zimne.

Nie lubię tej dziewczuchy. Wielka jakaś taka i głośna. I taka w ogóle... no nie wiem. Jak chłop, a nie baba. Łapska to ma jak kowal.

— Izuniu — mówię. — A może byś spróbowała do mojej Małgosi zadzwonić? Bo mówiła, że przyjdzie, a ja nie wiem kiedy, chybaśmy się coś nie dogadały.

— Dobrze — Iza spogląda na koleżankę i wyjmuje komórkę z kieszeni podomki. — Może się uda.

Wybiera numer i czeka ze słuchawką przy uchu.

— Poczta się włączyła — mówi wreszcie. — Zostawić znowu wiadomość?

— Zostaw dziecko. Powiedz, żeby do mnie przyszła czy zadzwoniła chociaż.

Raz tylko z nią rozmawiałam, dwa dni po tym, jak mnie przywieźli, jak już mogłam mówić normalnie i trochę mi się w głowie przejaśniło. Iza z komórki zadzwoniła.

Małgosia krótko ze mną mówiła, jakaś zalatana była. Powiedziała, że ze schodów spadłam i w szpitalu jestem, i że się trochę połamalam. Ale że wszystko dobrze będzie, bo jej nie chciałam martwić za bardzo. Tylko tak trochę, żeby mnie przyszła odwiedzić.

— No, ale nie umrzesz chyba? — zapytała.

No to jej powiedziałam, że na pewno nie, że mnie pewnie za tydzień, dwa do domu wypiszą, tylko żeby przyszła do mnie. Obiecała, że przyjdzie na pewno, ale na razie wyjeżdża na kilka dni. Ale jak wróci, to zajrzy. Nie wiem tylko, ile to jest te kilka dni. Dziesięć na razie minęło. A potem już telefonu nie odbierała.

— Mam nadzieję, że nic się nie stało — wzdycham.

Izunia znowu jakoś tak dziwnie na tę czarną patrzy i mówi do mnie:

— Na pewno nie. Odsłuchwała wiadomości, bo gdyby nie odsłuchwała, dostałabym SMS-a. Poza tym od razu się nagrywanie włącza, a gdyby było dużo wiadomości, trzeba by czekać chwilę.

— No, to pewnie jeszcze nie wróciła — mówię.

— Pewnie tak — uśmiecha się do mnie i odwraca do koleżanki. — Zadzwoń do tej elektrowni, bo coś na pewno jest nie tak. Niemożliwe, żebyśmy tyle prądu zużyły. I podjedź do Maćka do sklepu — dzwonił i mówi, że już przyszły te krzesła, które nam się tak podobały. Trzeba się pospieszyć, bo podobno mają tylko kilka sztuk.

— Nie martw się, Rybcia — babochłop wzrusza ramionami. — Krzesła to teraz jest ostatnia rzecz, którą powinnaś się martwić.

– Ale sama mówiłaś, że ci się podobają! Szukamy krzesel od pół roku, nie możemy ciągle siedzieć przy stole na tych taboretach z Obi.

– Móc to możemy. Tylko możemy nie chcieć, a to zupełnie co innego.

– Oj, ty i te twoje psychologiczne mądrości – zaczyna śmiać się Iza.

Dziewczyna wychodzi. Iza kładzie się na łóżku i otwiera jakąś książkę. Spoglądam na nią i mówię:

– A to koleżanka?

– Tak jakby – odpowiada.

– I tak codziennie do ciebie przychodzi?

– Przychodzi. Jak pani widzi.

– A żaden chłopak tu do ciebie nie zagląda. Nie masz chłopaka?

Dziewczyna odwraca się w moją stronę, spogląda niezbyt uprzejmie i wzrusza ramionami.

– Chłopaka? Nie.

– To i może dobrze – mówię prędko. – Jeszcze masz czas. Taka ładna dziewczyna.

Nic nie odpowiada i znowu wsadza nos w książkę.

– A to wy razem mieszkacie?

– Razem.

– No, tak. To taniej wychodzi, nie?

– Zależy.

– Od czego?

– Gdzie się mieszka.

– Aha – mówię.

Znowu wsadza nos w książkę.

– A ty pracujesz?

– Pracuję.

– A gdzie?

– W domu. Projektuję strony internetowe.

– Aaaa – mówię. Nie mam pojęcia, o co dokładnie chodzi. – No, a ona?

– Ona też pracuje.

– A co robi?

– Jest informatykiem.

– Aha. I długo wy tak razem mieszkanie?

Iza odkłada z westchnieniem książkę na kołdrę i spogląda na mnie.

– Prawie pięć lat.

– Długo – stwierdzam.

– Bo ja wiem? – wzrusza ramionami. – Właśnie się przeprowadziłyśmy niedawno do nowego mieszkania. Własnego. Urządzamy się.

– Do własnego? To znaczy do twojego?

– Kupiłyśmy je po połowie. No, może nie po połowie. Dorota ma jedną trzecią.

– Jedną trzecią? Na własność? No, a jak chłopaka znajdziesz, to co będzie? Z chłopakiem będziecie we dwie mieszkały? Tak łatwo jej się nie pozbędziesz, skoro ma prawo.

Nie odpowiada. Przechylam się i sięgam zdrową ręką po czekoladkę, którą mi Iza kupiła. Wkładam ją do ust. Żuję chwilę w milczeniu i mówię wreszcie:

– Wiesz, Izunia, jakoś tak nie bardzo mi się ta twoja koleżanka podoba.

Iza przygląda mi się chwilę. Zaciska lekko usta i podnosi książkę.

– Taka jakaś – mówię. – Zupełnie nie jak dziewczyna. Nie odzywa się.

– Może by ci lepiej było – ciągnę – jakbyś ty z rodzicami była? Wiesz, bo to dziwnie może wyglądać, jak dwie dorosłe baby tak razem mieszkają.

– Moim zdaniem – mówi wolno – to wygląda całkiem w porządku.

Odwraca się do mnie plecami i znowu wtyka nos w książkę. Coś ją mucha ugryzła chyba. Oj, czuję, że...

– Izuniu, dziecko, podaj mi basen, co? Za dużo chyba tej herbaty wypiałam.

Dziewczyna spogląda na mnie przez ramię, podnosi się po chwili i podaje mi blaszane naczynie.

– Następnym razem może pani po prostu na salową zadzwonić. O, tym czerwonym guzikiem.

Zawiązuje ciasniej pasek szlafroka, bierze książkę i wychodzi z sali. Dziwne. No, ale po takiej to się można spodziewać. Postanawiam się już do niej więcej nie odzywać.

Na drugi dzień Iza wychodzi. Zaraz po śniadaniu zaczyna się pakować, a o jedenastej przyjeżdża po nią ta czarna razem z jakimś młodym facetem.

– Rany boskie! Wróciłeś już! – wykrzykuje na jego widok Iza. – Marek!

– Nie cieszysz się, Rybcia? – pyta chłopak z szerokim uśmiechem.

– Pewnie, że się cieszę! Ale miałeś jeszcze dwa miesiące pracować w tej Norwegii.

– Zmieniłem zdanie.

– Dorota! – Iza zwraca się do czarnowłosej dziewczyny.

– Prosiłam, żebyś mu nic nie mówiła! Przecież to nic takiego z tym kolanem!

– No, może się lepiej przywitasz ze mną jak należy, co? – pyta chłopak.

Iza spogląda na niego z chmurną miną przez chwilę. Nagle wybucha cichym śmiechem i rzuca mu się na szyję. Chłopak obejmuje ją, przechyla do tyłu i całuje z całej siły. Przyglądam się im baraním wzrokiem.

— A czemu ty mi, dziecko, powiedziałaś, że nie masz chłopaka? — pytam, kiedy Iza odwraca się w stronę szafki i pakuje ostatnie rzeczy do torby.

— Bo nie mam — wrusza ramionami. — To mój mąż.

— Twój mąż? — wykrzykuję ze zdumieniem.

— Tak. A to moja szwagierka.

— Ale no to czemu... Dlaczego ty mi... Bo ja już myślałam... — zaczynam się plątać.

— Po prostu bardzo nie lubię, jak mi ktoś bez zaproszenia wpycha nos pod kołdrę. Do widzenia — mówi.

Wszyscy troje wychodzą z sali. Coś podobnego! A ja myślałam, że to taka miła dziewczyna.

## Lipiec, sierpień

### I

Trzy miesiące! — myślę z wściekłością, wychodząc z budynku sądu na pełną ludzi Marszałkowską. — Trzy miesiące! Że też tej baby szlag nie trafił, kiedy z tych schodów zlatywała! Gdy sędzia ogłosiła wyrok, myślałem, że pęknę. Uporczywe zakłócanie spokoju! Powinni tę Lewandowską wsadzić co najmniej na pół roku za ustawiczne składanie skarg i wzywianie policji. Mam odpracować trzy miesiące na rzecz miasta, po dwadzieścia godzin miesięcznie. I nawet pojęcia nie mam, co to ma być. Jeśli mi każą zamiatać chodniki albo przeprowadzać dzieci przez ulicę, to chyba wysadzę ten sąd w powietrze. Mam się zgłosić na Ogrodową i mnie skierują. Przystaję na placu Konstytucji, czekając, aż światło zmieni się na zielone. Zamykam oczy i wystawiam twarz do słońca. Lekki, ciepły wiatr rozwiewa mi włosy. Uspokajam się powoli, w końcu wzruszam ramionami. Co



ma być, to będzie. Po południu spotykam się z Łuską i jej chłopakiem — idziemy na sushi, a potem na *Spidermana III* do Silver Screenu. Łuska zachowuje się wobec mnie jakby nigdy nic, ani razu nie wraca do tamtego wieczoru i wyprawy do szpitala. Może nie uratowała mi życia, ale i tak zrobiła dla mnie więcej niż ktokolwiek. Przytulam ją mocno na pożegnanie. Kiedy wracam do domu późnym wieczorem, uświadamiam sobie, że już całkiem dobrze się czuję. Gdybym nie widział na własne oczy wyników, nigdy nie uwierzyłbym, że coś mi dolega.

Kilka dni później dowiaduję się, że mam przepracować te trzy miesiące w schronisku dla zwierząt na dalekim Ursynowie. Dwa razy w tygodniu po dwie i pół godziny. Nie jest źle. Robiliśmy kiedyś małą lokalną kampanię reklamową dla tego schroniska. Myślałem nawet, żeby zgłosić się do nich samemu, jakoś pomóc, później oczywiście o tym zapomniałem. Teraz nie zapomnę, nie mam wyjścia. Ale, o dziwo, wcale mnie to nie wkurza.

Pierwszy raz jadę tam w czwartek, w południe. Wsiadam z metra na ostatniej stacji przy Tesco, a później dojeżdżam autobusem na obrzeża Lasu Kabackiego. Szmat drogi. Wsiadam w szczerym polu, ale już tu słychać ujadanie psów, trudno nie trafić. Ziajany docieram do bramy schroniska. Następnym razem przyjadę rowerem — postanawiam. Nawet jeśli zajmie mi to więcej czasu, będzie zdecydowanie przyjemniejsze. Zgłaszam się do administracji, od-fajkują mnie na liście — okazuje się, że takich jak ja jest tu znacznie więcej. Mówiąc „takich jak ja”, mam oczywiście na myśli innych skazańców. Rudowłosa dziewczyna oprowadza mnie po schronisku, tłumaczy, co mam robić. Dostaję wiadro pełne wody i szczotkę — dziś będę mył klatki. To znaczy kojce, bo tak je określa.

Schronisko okazuje się ogromne. Nie mam pojęcia, ile ma powierzchni, ale wydaje mi się, że zmieściłyby się tutaj co najmniej dwa spore boiska piłkarskie. I w sumie robi znacznie lepsze wrażenie, niż się spodziewałem. Jest czysto i dosyć schludnie. Alejki między kojcami wyłożone są ekologiczną kostką, na jedną klatkę przypadają dwa lub trzy psy. W dwóch rzędach boksów po prawej stronie od wejścia siedzą koty, ale jest ich znacznie mniej niż psów.

Kiedy byłem mały, chciałem mieć jakiegoś zwierzaka, ale nie było o tym mowy. Ojciec twierdził, że na początku będzie mnie to bawiło, ale potem przestanę się nim zajmować, a on sam nie ma na to ochoty. I pewnie miał rację, pewnie by mi się to szybko znudziło, podobnie jak inne „pasje”, na które zapadałem w dzieciństwie: zbieranie znaczków czy dekskorolka. Potem, kiedy już dorosłem, nawet mi przez myśl nigdy nie przeszło, żeby wziąć psa — bez przerwy nie było mnie w domu, a zresztą, bo ja wiem? Po prostu o tym nie myślałem.

Kiedy kończę szorowanie dwóch klatek, które mi przydzielono, zaczynam spacerować alejkami między ogrodzeniem z drutu i przyglądać się zwierzętom. Wpatrują się we mnie z rozpaczliwą tęsknotą, z nadzieją, niektóre z radością. Wyją, skamlą i szczekają. Skaczą na siatkę, wystawiają pyski. Wyrrywają się do mnie. Trochę mi ich szkoda, ale raczej przyglądam się im z zaciekawieniem. Z takim rodzajem nieco chorobliwej ciekawości, z jaką każdy kierowca przygląda się mijanym na poboczu ofiarom wypadków, rozbitym samochodom; ciekawością, która każe wypatrywać śladów krwi na asfalcie i na odłamkach szkła. Bo te psy to właśnie takie ofiary życiowych wypadków. Niektóre są pokiereszowane, ułomne lub okaleczone, ale tych jest mniej. Większość wygląda zdrowo. Tyle tylko, że każdy gest nawet tych

młodych i zdrowych — poruszenie, schylenie łba, spojrzenie — wysyła sygnał s.o.s. Woła o ratunek. Żal mi ich, ale to jest ten rodzaj żalu, który czujemy, oglądając w telewizji makabryczne zdjęcia z jakichś potwornych wydarzeń dziejących się na drugim krańcu kuli ziemskiej. Uczucie, które każe nam powiedzieć zatroskanym głosem: „Ojej, ale biedacy”, ale nie skłania nas do działania, nie budzi myśli o tym, żeby zrobić coś, co mogłoby pomóc. Przy samym końcu alejki stoi ostatnia klatka. Kiedy do niej docieram, jej mieszkaniac nie wybiega mi na spotkanie. Przez moment myślę nawet, że jest pusta. Dopiero po kilku sekundach dostrzegam brązową sierść w odległym krańcu kojca. Pies wygląda trochę karykaturalnie — jak mieszanka wilczura z jamnikiem. Wielki łeb niemieckiego owczarka, długie, mocne ciało i zadziwiająco krótkie łapy wyglądające jak świnięskie raciczki. Widać, że jest stary, na pysku ma mnóstwo siwych włosów. Siedzi wciśnięty w kąutworzony przez siatkę i ścianę budy, nie patrzy na mnie.

— Hej — wołam, kucając przed kojcem. — Ej, piesku!

Pies strzyże uchem, odwraca pysk w bok. Z trudem podnosi się i chwiejnie rusza w moim kierunku. Wkładam palce w oczko siatki i wyciągam w jego kierunku. Ale zwierzę zbacza, zbliża się do ogrodzenia pół metra od mojej dłoni.

— Piesku, tutaj — mówię do niego.

I wtedy podnosi łeb, zwraca go w moją stronę. Ma całkiem białe gałki oczne. Jak dwie kulki z mlecznego szkła. Przesuwa się wzdłuż siatki w moją stronę, trafia nosem na moje palce i zaczyna je lizać, popiskując cicho. Jego język jest miękki, delikatny i ciepły. Wszystko zamiera mi w środku i gardło się zaciska. Czuję potworny, wszechogarniający żal. A w tle, gdzieś tam głęboko — złość. Bo w ułamku sekundy uświadamiam sobie, że właśnie teraz, kucając przy

ogrodzeniu, wołając do siebie tego psa, przekroczyłem granicę i nie będę umiał patrzeć na to wszystko tutaj tak jak przedtem. Nie jestem już kierowcą przyglądającym się zza szyby auta mijanemu wypadkowi, nie mogę go już oglądać jak zdjęć w telewizji. Stanąłem wśród połamanych kawałków karoserii, dotknąłem ich. I teraz muszę coś zrobić, muszę wziąć w tym udział. Jakbym miał mało własnych kłopotów.

## II

Nawet nie zadzwoniła. Nawet nie zadzwoniła — ta myśl cały czas tłucze mi się po czaszce, kiedy karetka parkuje pod moim domem i dwóch smarkatych sanitariuszy taszczy mnie na noszach po schodach. Podają im klucze z torebki, wnoszą mnie do mieszkania. Jeden z chłopaków rozkłada wersalkę i ją ścieli.

— Położymy panią w tę stronę — mówi. — Żeby mogła pani zdrową ręką sięgać.

— Zawsze tak śpię — odpowiadam sucho. — Ścianę mam po prawej.

— Ale to niedobrze — chłopak uśmiecha się do mnie. — Bo przez to zawsze pani lewą nogą rano z łóżka wstaje. Trochę za niskie to spanie.

— Czemu? — pytam. — Porządna wersalka.

— Ale kiedy pani zacznie wstawać po operacji, przydałoby się coś wyższego. Na tyle, żeby kolana były zgięte pod kątem prostym, kiedy pani siedzi. Może wypożyczyłaby pani sobie łóżko?

— Łóżko? — patrzę na niego jak na kretyna. — Jakie łóżko? I gdzie ja tu jeszcze łóżko postawię?

— Chociaż na kilka miesięcy. Wersalkę może pani kazać znieść do piwnicy. Jeśli pani chce, mogę to załatwić. Mój znajomy ma wypożyczalnię.

Aha, o to chodzi. Na każdym kroku człowieka próbują nabić w butelkę! Sanitariusze przenoszą mnie na wersalkę. Nareszcie jestem u siebie.

– To co? Zadzwoń do niego? – pyta chłopak.

– Nie, obejdzie się – odpowiadam. – Poradzę sobie.

– Ale naprawdę lepiej by było...

– Doktora to z wami nie ma? – przerywam mu.

Drugi chłopak uśmiecha się lekko pod nosem, a ten pierwszy mówi do mnie:

– Ja jestem lekarzem.

– Pan? – pytam. Taki gówniarz? Ile on może mieć lat? Dwadzieścia pięć? Sześć? – Pan jest lekarzem?

– Tak.

– Ojej, panie doktorze – śmieję się, z miejsca zmieniając ton głosu. – Oj, a ja się nie poznałam...

– Nie szkodzi – odpowiada sucho.

Nie szkodzi, akurat. Widzę, że się cały nadał, jakby mu kto na odcisk nadepnął.

– Przepraszam – mówię.

– Termin operacji ma pani wyznaczony za niecałe cztery tygodnie, przysłemy karetkę po panią. Tu ma pani wszystkie lekarstwa i recepty. Jutro przyjdzie pielęgniarka społeczna. Będzie mogła przychodzić raz dziennie. Zrobi dla pani zakupy, poda jedzenie, pomoże się umyć, zmienić pościel czy ubranie, opróżni basen. Ale wszystkie pielęgniarki są bardzo zajęte, więc nie będzie mogła poświęcić pani dużo czasu. Radziłbym wynająć jakąś prywatnie, bo zdaje się na rodzinę nie może pani liczyć?

– Mogę – odpowiadam i przestaję się uśmiechać. I dodaję z godnością: – Ja mam córkę.

– A, no to świetnie. W każdym razie, gdyby pani chciała jednak, to ja mam znajomą pielęgniarkę, bardzo fachową.

Doskonale się sprawdza przy opiece nad niedołącznymi, starymi ludźmi. I nie jest bardzo droga.

– Dziękuję – odpowiadam. – Poradźmy sobie z córką.

– No nic, na wszelki wypadek zostawię pani moją wizytówkę – kładzie kartkę obok telefonu. – Niech pani pamięta, że pod żadnym pozorem nie wolno pani na razie samej próbować wstawać. Po operacji zacznie przychodzić fizykoterapeutka od nas. Ale radziłbym, żeby porozmawiała pani z nią i spróbowała się umówić dodatkowo prywatnie. Wie pani, jako państwowa służba zdrowia ona ma mnóstwo pacjentów. Nie da rady do pani przychodzić tak często, jak by należało. To jest moja znajoma, w razie czego proszę powołać się na mnie. Na pewno zgodzi się przychodzić dodatkowo za stosunkowo niewielkie pieniądze.

– Tak – stwierdzam chłodnym głosem. – Za te niewielkie pieniądze jej czas rozciągnie się, jakby był z gumy.

– Nie – odpowiada szczyłowaty doktor, nawet nie mrugnawszy okiem. – Przyjdzie dodatkowo po pracy. Po godzinach. Będą pani potrzebne kule, gdy już zacznie pani wstawać. Jest oczywiście możliwość wypożyczenia sprzętu u nas. Na receptę. Tyle tylko, że jest bardzo duży popyt, radziłbym się przygotować na odpłatne wypożyczenie, bo inaczej może pani długo czekać. To będzie pewniejsze. W razie czego proszę zgłosić się do mnie, mam znajomego, który może okazać się pomocny.

Nie odzywam się i poprawiam kóldrę.

– Co pani podać? – pyta lekarz.

Przenoszą aparat telefoniczny na stolik przy moim łóżku, stawiają wodę i ciastka, które wyjmują z szafki w kuchni. Sanitariusz wyrzuca jedzenie z lodówki, wszystko się popsulo. A tyle tam było dobrego jedzenia! Te piersi z kury całkiem się zaśmierdły, a takie ładne były. Przynoszą mi jeszcze

na moją prośbę czajnik — jak to dobrze, że mam elektryczny — kubki, herbatę i kawę. Ustawiają wszystko na podłodze przy łóżku.

— O której córka przyjdzie? — odzywa się znowu lekarz.

— Niedługo — odburkuję. — Po pracy.

— To dobrze. Basen pani ma?

— Basen? Nie, nie mam.

— Będzie potrzebny basen. Proszę zadzwonić do córki, żeby kupiła w drodze do domu.

— Uh... — stękam, myśląc gorączkowo. — No, ale córka to może późno przyjść, nie wiem, czy jeszcze dostanie. A może panowie byście mogli?

— Proszę bardzo — odpowiada lekarz. — Mam plastikowy basen, bardzo wygodny. Sto złotych.

— Sto złotych? — wykrzykuję. — Taki drogi?

— To czeski basen — mówi, jakby mi to coś miało wytlumaczyć.

— A nie ma pan polskiego? — pytam.

— Nie. Bierze pani? Bo jak tak, to muszę zejść na dół do karetki.

— Ale to strasznie drogo — wykrzykuję. — Ja mam wszystkiego pięćset złotych do końca miesiąca!

Lekarz patrzy na mnie z krzywą miną przez dłuższą chwilę i mówi wreszcie:

— No, dobrze, niech będzie sześćdziesiąt. Po kosztach.

Kupuję od niego ten basen. Wcale nie robi wrażenia drogiego, ma jadowicie żółtozielony kolor. W ogóle wygląda jak jednorazowy.

Sanitariusz wychodzi, lekarz zatrzymuje się w progu, odwraca i mówi:

— Gdyby się pani gorzej poczuła albo potrzebowała konsultacji lekarskiej, to ja bardzo chętnie mogę dodatkowo...

– spogląda na mnie, macha ręką i kończy: – Proszę dzwonić na pogotowie.

Wychodzą w końcu. No proszę, nie jest źle. Wszystko mam, co mi potrzebne. Telefon, picie, jedzenie. Nocnik. Nawet kawy mogę sobie zrobić. Telewizor włączę i żyć nie umierać. Nie będzie tak źle. Telewizor...

– Panowie! Panowie, na rany Chrystusa! – krzyczę, ale już jest za późno.

Z rozpaczą patrzę na pilota od telewizora, który leży obok odbiornika. Trzy metry od mojego łóżka. Jezu, co ja teraz zrobię ze sobą? A oni już wyszli!

Wyszli... I nagle uświadamiam sobie jeszcze jedną rzecz. Oni wyszli, ja nie mogę wstać, a drzwi są niezamknięte na klucz. Każdy może wejść. Przez całą noc będę tu całkiem bezbronna z otwartymi drzwiami. Podnoszę telefon, ale kiedy już mam drżącą ręką wybrać numer Małgosi, orientuję się, że nie ma sygnału.

Odkładam słuchawkę na widełki. No nic, może to jakaś awaria, może zaraz naprawią. Zresztą trudno, jakoś wytrzymam. Może nic się nie stanie. A może Małgosia przyjdzie? Powinna przyjść, na pewno. A zresztą tak czy siak jutro przed południem zjawi się ta pielęgniarka, wszystko będzie dobrze.

Ale nie jest. Pielęgniarka nie przychodzi.

### III

– Wzięło cię w czwartek, nie? – pyta, a raczej stwierdza ruda dziewczyna, kiedy przyjeżdżam do schroniska kilka dni później. – Jestem Joanna.

– Paweł – odpowiadam. – Trochę, hm, wzięło.

– Trochę! Widziałam, jak stąd wylatywał. Aż się za tobą kurzyło.



Wzruszam ramionami.

— Nawet się zastanawiałam, czy jeszcze przyjdiesz. Choć chyba nie masz wyjścia, nie?

— Jestem, jak widać.

— Nie przejmuj się. Pierwsze wrażenie zawsze jest takie. Kiedy tu przyjechałam po raz pierwszy, nie mogłam dojść do siebie przez kilka dni. Który to?

— Co który?

— No, ten, przez którego tak zareagowałam. Kiedy się patrzy na nie wszystkie naraz, to nie robi aż takiego wrażenia jak wtedy, gdy nawiązesz kontakt z jednym. Za każdym razem jest któryś konkretny. Mnie rozkleiła wtedy taka mała, kudłata suka. Inne ją pogryzły, leżała cała w bandażach i nie mogła chodzić. Serce mi pękło — Joanna kładzie wymownie dłoń na piersi.

— Mi nie pękło — mówię. Idiotyczne sformułowanie, jak z brazylijskiej telenoweli.

— Pękło, pękło. Zawsze tak jest. O ile się to serce ma, oczywiście. To który?

— Taki ślepy — mówię niechętnie. Mam w kieszeni plecaka całą paczkę szynki dla tego psa, ale na pewno jej o tym nie powiem. — Na samym końcu.

— A! Borek. No tak. On już nie ma raczej żadnej szansy. Ale kiedyś był całkiem szczęśliwy, wiesz? Przywiozła go do nas właścicielka, prawie wcale już nie widział. Jej też niewiele brakowało, miała z dziewięćdziesiąt lat — co najmniej! Okulary jak denka od butelek. Wnuk ich przywiozł. Miała go przez trzynaście lat, psa oczywiście, i potem nie potrafiła się zdobyć na to, żeby go uśpić. A nie mogła go trzymać w domu — mieszkała w kamienicy bez windy — i nie było nikogo, kto by się mógł nim zająć. Obiecywała, że będzie odwiedzać tego psa, ale już nigdy więcej się nie pojawiła.

Pewnie nie mogła, bo widać było, że kocha zwierzaka. On jest w sumie całkiem zdrowy, tylko stary i ślepy.

– Mógłbym, eee... potem, jak już skończę, wyjść z nim na spacer? Bo widziałem, że tu ludzie wyprowadzają psy.

– Pewnie. Ale tylko na smyczy. I musisz na niego uważać – dziewczyna stawia ptaszka przy moim nazwisku na liście. – Co mu przywoziłeś?

– Co? Nic.

– Akurat. Założę się, że masz kiełbasę albo jakieś psie chrupki. Kiełbasy mu nie dawaj, na pewno jest przyprawiana, a to mu zaszkodzi

– Mam szynkę – mówię niechętnie.

– Paczkowaną? No, może być ostatecznie. Ale następnym razem przywieź jakieś gotowane mięso czy coś. I nie za dużo. One tu normalnie dostają jeść, wiesz? Dbamy o nie, są tylko nieszczęśliwe. Chodź, pokażę ci, co masz dziś robić.

Szoruje psie miski, sprzątam w budach, których lokatorzy albo znaleźli domy i nowych właścicieli, albo akurat zostali wyprowadzeni na spacer przez wolontariuszy. Tych ostatnich jest sporo. Starsze kobiety, dzieciaki, dwie albo trzy nastoletnie dziewczyny. Nikogo w moim wieku. Tylko wśród tych, którzy odpracowują swój haracz na rzecz miasta, jest dwóch moich rówolatków. Jeden z nich sprząta sąsiedni boks.

– Kurwa, facet, zaraz się chyba porzygam – mówi do mnie, kopiąc w budę z wiórowej płyty. – Ale gówno!

Ignoruję go. To, czym się zajmuję, nie jest może najprzyjemniejsze na świecie, ale nie czuję ani zniecierpliwienia, ani obrzydzenia. Czuję się dobrze. Bo to, co tu robię, ma jakiś sens – tak myślę – robię coś prawdziwego. Zdecydowanie bardziej prawdziwego i potrzebnego niż siedzenie godzinami przed komputerem i wymyślanie kolejnego tekstu

reklamowego dla kolejnej wersji podpaski, która — sprawdziliśmy to z Łuśką za pomocą szklanki wody — przecieka tak samo jak wszystkie inne.

Kiedy kończę pracę, biorę z biura smycz i zapinam ją przy obroży Borka. Wyciąga do mnie ślepy łeb, wciska nos w moją dłoń. Prowadzę go uważnie między boksami. Psy ujadają jak szalone, skaczą na ogrodzenie z siatki. Borek przystaje co chwile, przechyla łeb, strzyże uchem, po krótkiej chwili rusza znów niepewnie. Nie poganiam go. Zupełnie mi się nie spieszy. Na polu przy schronisku pies się uspokaja. Ostrożnie stawia łapy w trawie, wacha. Siadam na ziemi obok niego, rozpakowuję szynkę i podaję mu po małym kawałku. Borek ożywia się, wchodzi na moje kolana, wietrzy, unosząc pysk i poruszając łbem we wszystkie strony, bierze delikatnie zębami różowe plastry z mojej dłoni. Nie pachnie pięknie, ale i to zupełnie mi nie przeszkadza.

— Fajnie było, piesku? — mówię do niego cicho, gdy ruszamy w stronę bramy schroniska. — Pewnie, że fajnie!

Z drugiej strony nadchodzi dziewczyna, jedna z wolontariuszek. Ma może czternaście lat. Ubrana w różowy T-shirt z dużym kolorowym rysunkiem. Reklamówka serialu anime *Evangelion* — znam tę kreskówkę, obejrzałem kiedyś na DVD cały pierwszy sezon. Prowadzi na smyczy dużego, rudego psa. Pies podskakuje dziwnie przy każdym kroku, kiedy podchodzę bliżej, widzę, że nie ma tylnej łapy. Dziewczyna zerka na mnie, prostuje się, wypina nieduże jeszcze, ale już widoczne piersi. Odrzuca od niechcienia włosy, pozornie obojętnie spogląda w bok. Daremny trud, dziecinko — myślę, uśmiechając się pod nosem. Podchodzimy bliżej, Borek zwalnia.

— No, chodź, Borek — mówię do niego i pociągam lekko smycz. — Wszystko dobrze.

Pies opuszcza łeb i wydaje cichy warkot. Pochyliam się lekko i widzę, że jego sympatyczny, siwy pysk nie ma już takiego miłego wyrazu – wargi unoszą się, wyszczerza zęby.

– Co jest, piesku?

Dziewczyna jest coraz bliżej, cztery, trzy metry od nas.

– Ej, Rudik. No, chodź – mówi.

Nagle rudy pies na sztywnych trzech łapach, ze zjeżonym karkiem i głuchym pomrukiem rzuca się do przodu. Zaskoczona dziewczyna puszcza smycz. Rudik spada jak kamień na Borka, przyciska go do ziemi, łapie zębami za kark, gryzie. Ślepy pies skowyczy, usiłuje go capnąć, udaje mu się zacisnąć szczęki na rudej łapie. Zwierzęta kotłują się u moich stóp. Dziewczyna z krzykiem przypada do nas, usiłuje rozdzielić psy.

– Odciągnij go! – krzyczy. – No, weź!

Miotam się bezradnie nad kłębowiskiem psich ciał, próbuję wyciągnąć Borka, szarpnię smyczą. Wreszcie dziewczynie udaje się złapać rudego psa za obrozę, wlecze go za sobą. Ślepy pies leży na boku, oddycha ciężko, wszędzie jest pełno krwi. Usiłuje podnieść łeb, szuka po omacku przeciwnika, skamle. Padam na kolana obok niego, dotykam zakrwawionej sierści. Pies znowu szczyrzy zęby, próbuje złapać moją rękę. Słyszę jakieś rozhisteryzowane jęki obok, dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to mój własny głos. Nie mam pojęcia, co zrobić, boję się go dotknąć.

Po chwili przybiega zaalarmowana przez wolontariuszkę Joanna. Pochyla się nad Borkiem.

– Mówiłam ci, żebyś był ostrożny – mówi do mnie złym głosem. – Cholera, weterynarz dopiero jutro będzie.

– Ale ja... – próbuję się bronić.

– Musimy zabrać stąd tego psiaka. Spróbuj go podnieść z tamtej strony. Tylko delikatnie! Podłóż rękę pod miednicę.

Ja wezmę z tej... Nie, czekaj, we dwoje nie damy rady. Lepiej sam go nieś.

Wsuwam ręce pod ciało psa, podnoszę go z trudem. Piszczycy i wierzga łapami w powietrzu, ale po chwili się uspokaja. Jest zaskakująco ciężki.

— Trzeba go zanieść do szpitalika, chodź — komenderuje Joanna. — Zadzwoń do Wojtka, może jeszcze będzie mógł przyjechać.

— Ja nie wiedziałem — próbuję dalej się tłumaczyć, idąc za nią. — Dlaczego one się pogryzły? Przecież... no, nie wiem... przecież oba są tu w tej samej sytuacji, oba są takie same. Dlaczego się nienawidzą?

Uświadamiam sobie, że wygaduję kretyzmy. Joanna otwiera drzwi do pomieszczenia w długim baraku stojącym za biurem.

— To tylko zwierzęta. Tylko psy. Nie myślą — mówi, spoglądając na mnie z politowaniem. — Psy tak mają, że się gryzą nawzajem.

Kładę psa na stole w gabinecie weterynaryjnym. Joanna ogląda go uważnie, podnosi łapy, zagląda w zasnutę bielmem ślepia.

— Chyba nic mu nie będzie — stwierdza wreszcie. — To tylko powierzchowne skaleczenia, chociaż muszą go boleć. Przede wszystkim się wystraszył.

Dzwoni do weterynarza, który obiecuje, że zjawi się za godzinę.

— Jedź do domu — mówi do mnie. — Nic tu po tobie.

— Ale może...

— Wojtek niedługo przyjedzie, a psu pewnie nic nie będzie, wylże się — spogląda na moją wysmarowaną krwią i ziemią koszulkę. — Ale wyglądasz. Poczekaj, dam ci coś na zmianę.

Przynosi mi z sąsiedniego pokoju T-shirt z nadrukowanym logo schroniska i zdjęciem psa spoglądającego w obiektyw zza kraty.

— Przebierz się i jedź do domu.

Na Rakowiecką docieram po ósmej. Wrzucam rower na ramię i wnoszę go na górę.

Jestem wykończony. Nie mam nawet siły wnieść roweru na górę. Przypinam go do kaloryfera przy zejściu do piwnic i wlokę się na górę. Później po niego zejdę. Otwieram zamki i wchodzę do przedpokoju, ciskam plecak na podłogę. Ściągam buty i T-shirt. Rzucam się na łóżko i wyciągam na kołdrze jak długi. Wszystko wymyka mi się z rąk, mam dosyć. Tak cholernie się staram, a ciągle nic się nie układa, ciągle jest nie tak! Kiedy na dobre zaczynam się nad sobą rozczulać, dzwoni moja komórka. Michał!

— Stary, jak dobrze, że dzwonicz! — wykrzykuję do słuchawki.

— Cześć, Paweł — mówi smętnym głosem Michał. — Wiesz, chciałem...

— Ja już nie mam siły! — wykrzykuję prawie z płaczem.

— Wszystko mi się wali!

— Co ci się wali? — pyta Michał po krótkim milczeniu.

— Tobie się wali? Chciałem...

— Wszystko! Mam dosyć! — przerywam mu i zaczynam chaotycznie opowiadać o tym, co się działo przez ostatnie tygodnie.

Wylewam się niczym wiadro pomyj, jak nazywa takie akcje Łusia. Mówię o szpitalu, o wirusie, o sąsiadce i o schronisku dla zwierząt. Opowiadam o Borku, o tym, jaki jestem strasznie nieszczęśliwy i samotny, szczególnie teraz, kiedy tyle się dzieje złego, a Michał musiał akurat wyjechać. I może by jednak przyjechał, choć na trochę, ostatecznie może spać

u mnie, wykombinuję jakieś dodatkowe spanie. Chociaż na tydzień, dwa. I w ogóle to nie w porządku, że tak długo nie dzwonił, nawet nie miał pojęcia, co ja przeżywałem.

– To nie fair – mówię z pretensją.

W końcu przestaję gadać, brakuje mi oddechu. W słuchawce cisza.

– Halo, jesteś tam? – pytam.

– Jestem – odpowiada Michał.

– No i?!

– Co no i?

– Nie masz mi nic do powiedzenia?! – wykrzykuję.

Michał milczy, słyszę jego oddech.

– A co ja mam ci powiedzieć? – odzywa się wreszcie.

– Zawsze wydawało mi się, że wolisz słuchać samego siebie.

– Co?

– Właśnie to. Co ja mam ci powiedzieć? Dopadła cię rzeczywistość, i tyle. Takie życie.

– Co ty pieprzysz? Jaka rzeczywistość?!

– Codzienna. Ty i te twoje równoległe wszechświaty. Kosmiczne przygody Pawełka. Całe twoje życie to jedna science fiction. Wybudowałeś sobie bańkę, w której się zamknąłeś, i teraz ta bańka pękła. Dziwię się, że tak późno, szczerze mówiąc.

– Jaka... jaką bańkę? – zaczynam się jąkać.

– Stworzyłeś sobie swój własny mały światek. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile masz, w jakiej jesteś rewelacyjnej sytuacji. Masz kupę forsy od starego, zarabiasz drugie tyle, nie robiąc praktycznie nic! W dodatku wszyscy w agencji o tobie wiedzą, nie musisz się kryć i udawać heteryka. Masz swoje mieszkanie, wyglądasz jak model. Czy ty wiesz, jakie to upokarzające chodzić z tobą do klubów i patrzeć, jak wszyscy faceci się na ciebie gapią? Zawsze wrywałeś najlepsze towary,

zawsze tych, którzy mi się podobali. Doszło już do tego, że nawet ci nie mówiłem, który mi wpadł w oko albo który, nie daj Boże, był mną zainteresowany! Bo kiedy tylko ci o tym powiedziałem, miałem jak w banku, że się koło niego zakręcisz. Jak w banku!

— Co ty... — zaczynam się wściekać, ale nie dopuszczam mnie do głosu.

— A to! O, ja wiem, Pawełku, że nie robiłeś tego celowo. Nie po to, żeby mi udowodnić, że się przy tobie nie liczę. Nie. Gdybym tak myślał, już całe wieki temu zerwałbym naszą znajomość. Po prostu wystarczyło ci zwrócić uwagę na jakiegoś gościa, a ty automatycznie dochodziłeś do wniosku, że jest świetny. I że ty się musisz sprawdzić. A przy tym jeszcze cały czas, bez przerwy opowiadałeś w kółko o tym, jak bardzo jesteś samotny, jak bardzo kogoś potrzebujesz. Pieprzyłeś się z co drugim, nawet nie pytając, jak ma na imię, a jednocześnie wzruszałeś się, jak to bardzo potrzebujesz miłości. Całe życie tylko się nad sobą użalas, wylewasz krokodyle łzy. I liczysz się tylko ty, nikt inny, tylko ty! No i teraz naprawdę masz powód, żeby się nad sobą użalać, bo trochę ci się popieprzyło. Ale ja już nie mam siły, żeby głaśkać cię po plecach i mówić, jaki jesteś wspaniały i że to nic takiego, że będzie dobrze. Już mnie na to nie stać.

— Jak możesz...

— Mogę. Weź się w garść, przestań skwierczeć i narzekać. I co z tego, że masz wirusa? Milion ludzi ma. Na to już się nie umiera. Nie stałeś się przez to ani garbaty, ani parchaty. Dalej masz mieszkanie, zajebistą pracę i... ile mówiłeś, że masz odłożone? Sto czy więcej tysięcy na koncie. Nadal jesteś tak samo zdolny, jak byłeś, i jeśli przyjdzie ci ochota, możesz zrobić, co tylko chcesz. Więc zrób coś ze swoim życiem. Zrób porządek! Zadzwoniłem do ciebie, bo rozstałem



się z Darkiem, nie wyszło nam. Nie mogę zostać w Krakowie, nie dostanę tu pracy w żadnej szkole. W ogóle już nie dostanę pracy w szkole. Nigdy. Naprawdę nie wiem, co robić. Muszę wrócić do Zamościa, ale nie mam bladego pojęcia, co ze mną będzie. Jakaś uprzejma osoba z tamtej podstawówki napisała do mojej matki. Bardzo szczegółowy, wyczerpujący list. I moja matka wylądowała na ostrym dyżurze. Miała zawał. Dramat, co? Jak w filmie. Więc muszę tam pojechać, chociaż nie wiem, czy kiedy mnie zobaczy w szpitalu, nie dostanie drugiego. Ale po co ja ci to mówię? Co ciebie to obchodzi? Włącz tam sobie te swoje „galaktyczne wojenki” i wyłącz mózg. Jak zwykle.

— Michał! — wykrzykuję, bardziej przerażony jego słowami niż na niego zły. — Ale dlaczego ty...

— Sorry, stary — przerywa mi obcesowo. — Chyba straciłem już ochotę na rozmowę. Bez urazy, ale może lepiej innym razem.

— Michał, poczekaj — zaczynam mówić, ale w komórcie rozlega się ciche kliknięcie i zapada cisza.

Odkładam telefon na koldrę, czuję, że palą mnie policzki. Ale fala wściekłości, która załała mnie po pierwszych kilku zdaniach, które wypowiedział pod moim adresem, opadła jeszcze przed końcem naszej rozmowy. To mój przyjaciel, tak naprawdę jedyny, jakiego mam. Z pewnością najbliższy. Nie chcę go stracić. Hm, nawet jeśli odczuwam tak silny sprzeciw, być może w tym, co o mnie powiedział, jest jakiś cień prawdy. On tak to widzi. Nie mogę mu powiedzieć: „Co ty tam wiesz, nie znasz mnie”, bo on mnie zna. Przyjaźnimy się od dziesięciu lat, poznał mnie bardziej niż ktokolwiek inny. A poza tym naprawdę chciałbym mu jakoś pomóc. Wystukuję SMS-a: „przepraszam, że byłem takim chujkiem. daj znać, gdy będziesz chciał pogadać”. Po

minucie przychodzi odpowiedź: „ok. niepotrzebnie to wszystko powiedziałem. dzwoniemy się. buźka”.

Leżę bez ruchu na łóżku, wpatrując się w czerwony skrawek nieba widoczny nad dachami domów po drugiej stronie podwórka. On ma rację. Może nie całą i nie we wszystkim, ale ma sporo racji. Muszę... Powiniennem przyprowadzić rower.

Zakładam japonki i schodzę na parter. Przerzucam sobie rower przez ramię i wnoszę na moje piętro. Zrzucam go na posadzkę, otwieram drzwi i kiedy łapię za kierownicę żeby wprowadzić rower do przedpokoju, coś z hukiem wali od wewnętrznej strony w drzwi Lewandowskiej.

#### IV

Nie wiem, co robić. Leżę na wersalce, sprawdzam telefon co pięć minut. Przecież to jakaś skończona bzdura — myślę. Zza zamkniętych okien dobiega mnie hałas z podwórka. Dzieci krzyczą i śmieją się, ktoś trzepie dywan, słychać warkot silnika. W południe przyjeżdża śmieciarka, słyszę łomot pojemników. Załatwiam się do basenu, gotuję wodę w czajniku i zalewam herbatę. Jem ciastka i biorę lekarstwa, bo mnie zaczyna boleć to przetrącone biodro. Na pewno Małgosia przyjdzie. Ktoś musi przyjść. Telefon na pewno włączy za chwilę, będę mogła zadzwonić. Potem się będę śmiała z tego wszystkiego. Patrzę na elektroniczny zegarek z budzikiem ustawiony na telewizorze. Piąta minęła. Zaraz będzie *Klan* w telewizji. Za ścianą ktoś wbija gwoździe, słychać uderzenia młotka. Sama sobie wydaję się śmieszna, ale walę pięścią w tynk.

— Halo! — krzyczę najgłośniejszym głosem. — Pomocy!

Koń by się uśmieł, wołam pomocy, leżąc we własnym łóżku. Nikt nie odpowiada.

Mija ósma, dziewiąta. Na podwórku zapada cisza. Wlewam resztę wody mineralnej z butelki do czajnika, znowu się załatwiam. W pudełku z herbatnikami zostało mi pięć ciastek. Słyszał to kto coś podobnego? Pełno ludzi dookoła, a ja tu leżę jak kłoda i ruszyć się nie mogę. Odstawiam herbatę na stolik przy telefonie i odgarniam kołdrę. Trudno, doktor mówił, żebym nie wstawała z łóżka, ale przecież nie mogę tu z głodu umrzeć. I z tego basenu trzeba wyłać, bo smród taki, że nie wiem. Przewracam się bardzo ostrożnie na brzuch i próbuję opuścić prawą nogę, tę w gipsie, na podłogę. Biodro mam pogruchotane z drugiej strony. Nagle przesywa mnie taki ból, że aż krzyczę, a na czoło występują mi zimne krople potu. Spokojnie, spokojnie – mówię sobie, zaciskając z całej siły zęby na dłoni. – Zaraz minie. Ale nie mija. Mam wrażenie, jakby mi kto wbił hak w bok uda i obracał go w tę i nazad. Rany boskie! Po kilku minutach ból trochę słabnie. Podnoszę się ostrożnie na łokciu i prawą ręką próbuję sięgnąć po tabletki, ale to ta ze zwichniętym nadgarstkiem, zaczyna boleć, kiedy nią ruszam. Odczekuję jeszcze chwilę i najostrożniej jak umiem próbuję się przewrócić z powrotem na plecy. Podciągam powoli prawą nogę, ten gips waży chyba z tonę, nie mogą to czego lżejszego wymyślić? Jeszcze kawałek. Nagle ból wraca. Krzyczę głośno. Panie Boże przenajświętszy, czemu mnie to spotyka? Za jakie grzechy? Wciskam twarz w poduszkę i modłę się w duchu. Ojcie nasz, któryś... Sięgam po tabletki, nie zwracając uwagi na ból ręki, wyciskam dwie prosto na język. Są gorzkie jak diabli, ale gryzę je i połykam bez wody. Czekam. Po pół godzinie udaje mi się wreszcie bardzo powoli przewrócić na plecy. Leżę i oddycham głośno, mokra jak mysz. Jedenasta. Coś muszę zrobić, bo się tu wykończę. Picie mi się skończy zaraz. Sięgam

ręką do włącznika od kinkietu nad łóżkiem. Zapalam i gąszę światło rytmicznie.

— Ratunku! Ratunku! — krzyczę.

Ktoś mnie usłyszy, musi usłyszeć. Zobaczą, że światło mi ga. Krzyczę tak długo, że aż chrypnę i w gardle zasycha. Upijam dwa łyki ze szklanki z herbatą. Na pewno mnie usłyszeli, cisza taka. Jak nic się nosło po całym podwórku. Czekam. Cisza. Na zegarku mija dwunasta.

Kiedy się budzę, za oknami jest już jasny dzień. W pokoju śmierdzi strasznie, a mówią, że własnego smrodu to człowiek nie czuje, akurat. Podnoszę słuchawkę telefonu — nadal jest głuchy. Mam jeszcze pół szklanki herbaty. Piję dwa łyki. Chce mi się do łazienki, ale basen jest już taki pełny, że się boję go z ziemi podnosić, żeby się nie ulało. Nagle słyszę na korytarzu jakiś łomot, trzaskają drzwi.

— Ratunku! — wołam. — Halo! Ludzie!

Słyszę kroki na schodach, oddalają się. No, nic. Ale to normalny dzień, ta dentystka z góry na pewno przyjmuje, a jak nie ona, to adwokat. Ktoś będzie chodził, w końcu mnie usłyszą. A zresztą dziś na pewno pielęgniarzka przyjdzie. A może ktoś z gazowani albo inkasent z rachunkiem za prąd. Listonosz może przyjść, całe tłumy ludzi!

Tyle tylko, że nikt się nie zjawia. Zjadam ostatnie ciastka, dopijam herbatę. Koło pierwszej nie mogę już wytrzymać, ale jakoś jeszcze udaje mi się do tego basenu załatwić. Krzyczę co jakiś czas, uderzam kubkiem w ścianę. Nic.

Po południu dochodzę do wniosku, że nie ma na co dłużej czekać. Gryzę na wszelki wypadek cztery tabletki — też mi się skończą niedługo, jak tak dalej będzie. Rosną mi w ustach, nie mam czym popić. W końcu udaje mi się je połknąć. Odczekuję kilkanaście minut i próbuję wstać. Żeby tylko zejść z łóżka, potem to się już jakoś do drzwi doczołgam,

jakoś je otworzę, wyjrzę na korytarz. A jak na klatce schodowej krzyknę, to na pewno zaraz ktoś przybiegnie. Spuszczam najostrożniej, jak umiem, prawą nogę na parkiet, odpycham się lewą ręką, przesuwam w bok, obracam na wersalce. Wystawiam lewą nogę, jeszcze kawałek, jeszcze. Opieram mokre czoło o chłodną ścianę, koszula nocna całkiem mi pod cycki podjechała, ale to nic. Ważne, że nie boli tak bardzo, idzie wytrzymać. Zapieram się lewą ręką o tynk, pcham z całej siły. Nagle wersalka ze skrzypnięciem odsuwa się od ściany. Źle. Dyszę głośno, kładę głowę na łóżku i odczekuję, aż mi serce przestanie walić. Po minucie odpycham się łokciem. Po chwili czuję lewą stopą podłogę, dotykam klepki dużym palcem. Już prawie, jeszcze trochę. Przez biodro ból przebiega jak prąd, ale nie przestaję, już prawie dotykam podłogi drugim kolanem. Ból narasta, ale zaciskam zęby. Wreszcie opieram się o wersalkę tylko ramionami, nogi już leżą na ziemi. Ostatni raz zapieram się z całej siły, wersalka dosuwa się z powrotem do ściany i nagle leżę na parkiecie. Czuję zimne drewno podłogi na odsłoniętym brzuchu i piersiach, całą koszulę mam zrolowaną pod pachami. Jeszcze nie koniec, ale najgorsze już za mną. Boli mnie tak, że aż mdli. Muszę się obrócić, podczołgać. Po kilkunastu minutach, złana potem, widzę już drzwi wejściowe w korytarzu. Tuż, tuż. Wszystkie mięśnie mi się trzęsą, jakbym na jakąś górę weszła. I wtedy słyszę na korytarzu jakieś puknięcie, ktoś chodzi, brzęczą klucze.

— Na pomoc, ludzie! — krzyczę, ale głos mam taki ochrypnięty, że ledwie mnie słychać.

Coś muszę zrobić, zaraz. Spoglądam za siebie, sięgam i chwytam za nogę stolika przy wersalce. Szarpię, mebel przewraca się, spada telefon, sypią się opakowania leków. W podłogę uderza kubek. Wyciągam po niego rękę. Na korytarzu

znowu słyszę jakiś ruch. Przekręcam się na prawy bok, Chryste, jak to boli. Biorę zamach i rzucam kubkiem najmocniej jak mogę. Uderza w drzwi pół metra nad podłogą.

— Ra-tun-ku! — wykrzykuję z całej siły. — Ratunku!

Na korytarzu zapada martwa cisza. Zaczynam szlochać z bólu i bezsilności.

## V

Patrzę na drzwi do mieszkania tej chorej baby. Zupełnie o niej zapomniałem. Nagle wydaje mi się, że ktoś krzyczy. Nieruchomieję i zaczynam nasłuchiwać. Nie, chyba mi się wydawało. Łapię rower za kierownicę i wprowadzam go do mieszkania. Zamykam za sobą zamek, zrzucam japonki i idę do kuchni wziąć sobie coś do picia. Ciekawe, co się z nią dzieje. Miałem nawet zadzwonić do szpitala, ale zapomniałem. A zresztą po co? Nalewam sobie coli do szklanki, wydaję pasztet francuski i masło, sięgam po bułki. Jutro pojedę do tego schroniska — decyduję. Teoretycznie mam się zgłosić dopiero w czwartek, ale pojedę jutro. I zadzwonię do Michała. Grubo smaruję bułkę pasztetem i gryzę. Swoją drogą, powinna już chyba wrócić, chociaż cholera wie. Tyle tylko mi wtedy powiedzieli, że ma na pewno połamaną nogę i coś z miednicą. I pewnie wstrząs mózgu, ale co jej się tam mogło wstrząsnąć? Stęchłe powietrze? Pojęcia nie mam, ile ją mogą trzymać w tym szpitalu. Podchodzę do drzwi i wyglądam przez wizjer, żując bułkę. Cisza i spokój. Delikatnie otwieram zasuwę i uchylam drzwi. Wychodzę na palcach na korytarz z kanapką w dłoni i podchodzę do mieszkania Lewandowskiej. Spoglądam w wizjer — ciemno. No, jeśli stoi tam po drugiej stronie i się na mnie gapi, to albo zaraz dostanie zapaści, albo znowu wezwie policję. Przytykam ucho do drzwi i nasłuchuję. Z głębi mieszkania

dobiegają jakieś szmery. Przestaję żuć i przyklejam ucho dokładniej. Słysząc jakieś miękkie uderzenie, klapnięcie o podłogę. Prostuję się, przelykam kęs. A, co mi tam — myśle i pukam.

— Ludzie, na pomoc — dobiega mnie słaby głos.

Pukam jeszcze raz, trochę mocniej. Znowu coś słyszę, jakby „ratunku”, ale niewyraźnie.

— Proszę pani, jest pani tam? — wołam. — Halo!

Po sekundzie znowu dobiega mnie słaby głos i tym razem jestem pewien, że to wołanie o pomoc.

— Halo! Niech pani otworzy! — krzyczę, łomocząc pięścią. — Stało się coś?

Łapię za klamkę i naciskam. Drzwi nie są zamknięte.

W mieszkaniu panuje półmrok, słońce już prawie zaszło, a okna wychodzą na północną stronę podwórka.

— Jest tu ktoś? — pytam.

I wtedy ją dostrzegam. Leży prawie goła na podłodze pokoju, na brzuchu. Głowę ma odgiętą do góry, patrzy na mnie. Mam takie zdjęcie z dzieciństwa, na którym leżą na golasa na jakimś kocu w niemal identycznej pozycji. W pokoju potwornie śmierdzi. Kobieta jest mokra, włosy w strąkach ma przyklejone od czoła. Wygląda jak upiór. Jak jeden z woskowobladych, wychudzonych kosmitów z filmu *Mroczne miasto*.

— Jezu! — wykrzykuję. — Co się pani stało?

— Nie mogę — chrypi kobieta. — Nie mogę...

— Niech się pani nie rusza, zadzwonię na pogotowie.

— Ale pić! Pić!

Wracam do swojego mieszkania, łapię komórkę i szklanekę z coca-colą z kuchni. Nie, chyba woda będzie lepsza. Nalewam mineralnej i wracam. Kucam przy niej i podaję wodę. Pije łączywie. Wybieram numer pogotowia.

## VI

— To cud, że jej się nic nie stało — słyszę, jak lekarz rozmawia w przedpokoju z Sieniawskim. — Nie wiem, jak długo ona tak leżała. Nie mógł pan do niej wcześniej zajrzeć?

— Co? Do mnie pan ma pretensje? — wykrzykuje cicho chłopak. — Przywieźliście ją w takim stanie do pustego mieszkania i nawet pies z kulawą nogą się później nie zainteresował! Ani pielęgniarki, ani nic. I pan do mnie ma pretensje?

— W końcu jest pan najbliższym sąsiadem. Drzwi pan sobie sam otworzył.

— Po prostu nie były zamknięte na klucz! Gdyby nie to, że mnie coś tknęło, w życiu bym tu nie zajrzał. Dlaczego żadna opieka do niej nie przyszła? Jakaś pielęgniarka?

— Nie wiem. Powinna była przyjść wczoraj, dostała adres. Pierwszy raz coś takiego mi się zdarza. Ta Lewandowska podobno mówiła, że mieszka z córką, dzwoniłem do kolegi, który ją przywoził.

— Panie, tu żadna inna osoba poza nią nie mieszka! Ona powinna być w szpitalu, czy gdzieś!

— Poza tym mogła zadzwonić, kolega jej nawet wizytówkę zostawił.

— Nie mogła! — wykrzykuje Sieniawski. — Telefon był wyłączony z kontaktu, wtyczka leżała na podłodze!

Kłóć się jeszcze chwilę pod drzwiami. Że też to akurat właśnie ten musiał do mnie przyjść! Nie mógł to jakiś inny, uczciwy człowiek? Dozorczyni albo ta dentystka z góry. A on mnie w dodatku taką bez niczego widział, całkiem gołą. Robi mi się gorąco. Zamykam oczy i odwracam twarz do ściany. Wtedy był na klatce schodowej, nie pamiętam, jak to wszystko się stało dokładnie, ale był tam. Tyle pamiętam. Wszystko przez niego. Wszystko!



Po kilku minutach lekarz wychodzi. Sieniawski wchodzi do mojego pokoju. Otwieram oczy i patrzę na niego z ukosa. Jest na bosaka! Słyszał to kto, żeby z mieszkania wychodzić na bosaka?

— Podać coś pani? — pyta.

Już ja wiem, co on sobie myśli. Już ja wiem, że się teraz w duchu śmieje, że ręce zaciera. Nie odpowiadam. Stoi przy drzwiach. W sumie dzieciak jeszcze. Ile on ma lat? Trzydzieści góra. Mały zboczek.

— Nie to nie — mówi. — To idę.

Ale stoi, nie wychodzi.

— No, to idę — mówi znowu po chwili. — Chyba że coś pani potrzebne?

Patrzę na telewizor. Pilot leży obok. Sieniawski spogląda na niego, podchodzi, bierze do ręki i kładzie na stoliku obok wersalki.

— Coś jeszcze? Wodę pani ma. Te bułki są całkiem świeże, pasztet też. I to... eee... naczynie też. To znaczy jest puste.

— Telefon — odzywam się wreszcie. — Muszę do córki zadzwonić.

— Proszę — podaje mi swoją komórkę.

— Ale ze swojego.

— Kabel nie sięga. Przecież pani wie. Spróbuję jutro kupić przedłużacz, przyniosę.

— A pan nie ma pożyczyć — zaraz się chyba udławię tym, co mówię — innego aparatu? Z dłuższym kablem?

— Nie mam stacjonarnego. Tylko komórkę. Proszę, niech pani zadzwoni.

Nie chcę z Małgosią przy nim rozmawiać. Nie chcę, żeby słuchał.

— Mogę pani zostawić tę komórkę i wrócić po nią za kilka minut — mówi, jakby mi w myślach czytał.

– Tylko jakby pan numer wybrał – za co mnie ta kara boska spotyka, że się muszę tego gnoja prosić? Za co?

Podaję mu numer, kładzie komórkę obok mojej ręki i każe wcisnąć przycisk z zieloną słuchawką, a potem wychodzi. Czekam z telefonem, przyciśniętym do ucha. Po kilku sygnałach Małgosia odbiera.

– Córcia! – wykrzykuję i całkiem się rozklejam. Łzy mi zaczynają lecieć z oczu jak groch. – Co ja miałam! Co ja miałam!

– Halo? – odpowiada Małgosia.

– Córeczko, słyszysz mnie? Słyszysz? Ja już w domu jestem!

– Mama? Prawie nic nie słysząc – dobiegają mnie jakieś krzyki i śmiechy, w tle słyszę muzykę. – Co to za numer mi się wyświetlił? Co ty chcesz?

– Małgosia! Musisz do mnie przyjść! Sama sobie nie poradzę. Słyszysz? Słyszysz mnie?

– Mama, ja cię wcale nie słyszę. Jak wrócę do Warszawy, to zadzwonię.

– Ale córcia! – wykrzykuję. – Gdzie ty jesteś? Co się dzieje? Ty tu musisz...

– Mama, strasznie przerywa, nic nie rozumiem. Jestem w Międzyzdrojach, urlop mam. Słyszysz mnie? Zadzwonię, jak wrócę. Pa!

– Ale kiedy?! – wykrzykuję do słuchawki. – Kiedy ty wrócisz?! Ty nic nie wiesz, a ja tu... Halo? Halo?

W słuchawce rozlega się pyknięcie i zalega cisza. Patrzę na ekranik, jakieś obrazki kolorowe. Mówił, że jakbym chciała drugi raz zadzwonić, mam jeszcze raz nacisnąć ten klawisz. Naciskam. Przez chwilę słyszę wolny sygnał, ale coś nagle klika i robi się zajęte. Czekam, aż będzie cisza, i dzwonię jeszcze raz.

– Dzień dobry – mówi Małgosia.

– Córcia, no teraz dobrze cię słyszać nareszcie. Ty musisz do mnie przyjechać, bo...

– ...śki Lewandowskiej. Zostaw wiadomość, odslucham i oddzwonię. Albo nie. Pa-a. – i słyszać piknięcie.

– Halo? – mówię z rozpaczą. – Małgosia?

Odkładam telefon na kółdrę i zamykam oczy. Po chwili przychodzi ten cały Paweł z naprzeciwwka.

– Dodzwoniła się pani? – pyta.

Nie odpowiadam, tylko kręcę głową, że nie.

– Aha – odzywa się niepewnym głosem. – No, nic. Może jutro się uda?

Milczę i nawet na niego nie patrzę.

– No, to dobranoc – wzdycha w końcu.

– Niech pan – mówię szybko. – Niech pan zamknie za sobą drzwi.

– Na zamek?

– Tak, klucze są pod lustrem, sanitariusz mówił, że je tam kładzie.

– To ja będę musiał zabrać te klucze...

– Rano mi pan odda.

Wychodzi. No i proszę! Jestem teraz na jego łasce i nie-łasce, na to mi przyszło. Ale już wolę swojego wroga od jakiegoś obcego.

## VII

Ale się wpackowałem! – myślę, przekręcając klucz w zamku drzwi tej całej Lewandowskiej. Wredna, stara baba, nawet głupiego „dziękuję” nie powiedziała, że jej życie uratowałem. I to drugi raz! Bo gdybym wtedy pogotowia nie wezwał, szlag by ją jak nic na tych schodach trafił. A teraz w dodatku mam klucze od jej domu.

Wracam do swojego mieszkania i kładę się w ubraniu na łóżko. Trochę za dużo wrażeń jak na jeden dzień – myślę. Włączam DVD i wkładam płytę z dziesiątym odcinkiem *Lost in Space*. No, tak – uśmiecham się pod nosem – jakby mnie teraz Michał zobaczył... Jak on to powiedział? Włącz film i wyłącz mózg? Bardzo chętnie. To pierwszy sezon serialu, 1965 rok. Mój ojciec nie dałby się oderwać od telewizora, klasyka science fiction. Zamówiłem sobie z Amazona. Na planecie Robinsonów lądują obcy. Konflikt wisi w powietrzu, nie potrafią się porozumieć. Przybysze wyglądają jak ludzie, ale żyją zupełnie inaczej i nie mówią. Podoba mi się dom, który budują na pustyni – ustawiają meble w równiutkim kręgu piasku stopionego na szkło. Piękna przybyszka z fryzurą, która ewidentnie stała się później inspiracją dla uczesania księżniczki Lei z *Gwiezdnych wojen*, podaje mężowi wydzielający kłęby dymu obiad. Fajne. Podstępny Zachary Smith podburza Robinsonów do rozpoczęcia otwartej wojny z obcymi. Na szczęście konflikt udaje się zażegnać, przybysze odlatują, a rodzina Robinsonów wraca na pokład swojego „Jupitera 2”. „Jupitera 2”? Przecież tak samo nazywał się pojazd Jonsa z książki mojego ojca. Podnoszę się i podchodzę do ikeowskiej półki. Inny wariant stoi na samym brzegu. Nie, ten statek został przez mojego ojca ochrzczony mianem „Jupiter 3”. Dziwny zbieg okoliczności. Albo celowe nawiązanie. W dodatku przypominam sobie, że celem wyprawy Jonsa – podobnie jak Robinsonów – była Alfa Centauri. Ciekawe, skąd mój ojciec mógł znać ten serial, na pewno nie puszczali go w naszej telewizji. I po co to nawiązanie? W serialu „Jupiterem” odlatuje w kosmos małżeństwo z dziećmi, nie docierają na miejsce, ale są szczęśliwi i w rodzinnej harmonii żyją na przypadkowej planecie. Chociaż jeszcze nie wiem, co będzie dalej. No, ale na

pewno nie poumierają jak w książce mojego ojca, w której cała rodzina z przyległościami ginie tragiczną śmiercią, a do celu dociera samotny nastolatek wychowany bez żadnych rodzinnych czy społecznych wzorców. Nie reprezentuje jakichkolwiek ziemskich tradycji czy choćby samej ludzkości — poza przynależnością do naszego gatunku. Jest ukształtowany sam w sobie, sam dla siebie, a dobrzy Centaurianie akceptują go w pełni takiego, jaki jest. I przyjmują go do swojego świata, w którym znajduje szczęście. Nie mam pojęcia, o co mojemu ojcu mogło chodzić. E, tam, pewnie w ogóle wszystko nadinterpretowuję. Pewnie po prostu przeczytał o tym serialu w jakiejś gazecie lub książce i ściągnął załączek akcji.

Rano odnoszę klucze Lewandowskiej. Dzwoni jeszcze raz z mojej komórki do tej swojej Małgosi, ale bezskutecznie. Moim zdaniem ta mała wyłączyła telefon i ma ją całkowicie gdzieś. Trudno się dziwić. W drzwiach mijam się z pielęgniarką. No i dzięki Bogu, a już zaczynałem się zastanawiać, czy nie powinienem może zaproponować, że wyleję do kibla to, co było w plastikowym basenie przy łóżku. A to już byłaby chyba lekka przesada.

Potem jadę do schroniska. Borek czuje się lepiej, weterynarz go opatrzył i dał jakieś leki. Joanna mówi, że w tym czymś, co określa mianem „szpitalika”, pies pozostanie jeszcze przez ponad tydzień. Szpitalik to po prostu niewielka część schroniska. Różnica polega tylko na tym, że boksy są mniejsze, a na każdy przypada tylko jeden mieszkaniec. Wracam do domu i wieczorem postanawiam zajrzeć jeszcze raz do mojej sąsiadki — chcę jej podłączyć telefon, bo w drodze powrotnej udało mi się kupić przedłużacz. Pamiętałem. Podaję jej coś do picia, uchylam okno. Przygląda mi się, kiedy robię to wszystko, ale prawie się nie odzywa

– przynajmniej na początku. W niedzielę rano, parę dni później, jest znacznie bardziej rozmowna.

## VIII

Taki przystojny chłopak – myślę, patrząc na Pawła, kiedy zabiera puste szklanki ze stolika obok mnie. Takie marnotrawstwo. A mogłaby mieć z niego jakaś dziewczyna po ciechę. Mógłby mieć dzieci, założyć rodzinę. Ale tak to jest z niektórymi zgniłymi jabłkami – po wierzchu też całkiem dobrze wyglądają.

– Jesteś chory? – pytam, kiedy wraca i przynosi mi na talerzu jakieś wafle.

Nie będę mu mówiła na pan, jest młodszy od mojej Małgosi. Prostuje się, jakbym go uderzyła w twarz, i zaciska usta w cienką kreskę.

– Tylko pytam – wzruszam ramionami.

– Tym się nie można tak zarazić – odpowiada wreszcie, stawiając ciastka przy łóżku.

– Wiem, nie jestem głupia. Widziałam program w telewizji. Bardzo?

– Co bardzo?

– Czy bardzo jesteś chory?

– Nie. Nic mi nie jest.

– Ale będzie – mówię.

– Może. A może nie. Nie chcę o tym rozmawiać. Co to w końcu panią obchodzi? Nie pani problem. Coś jeszcze pani podać?

– Kiedy umrzesz, będzie tak, jakby nigdy cię nie było – mówię spokojnie. – Jakbyś nigdy nie istniał. Nic po tobie nie zostanie. Nic. Nie szkoda ci?

Patrzy na mnie z szeroko otwartymi ustami, jak cieleń na malowane wrota.

– Pani... – wyjąkuje po długiej chwili – pani to jest...  
no, po prostu niewiarygodna! Brak mi słów!

– Ciekawi mnie to po prostu.

– A co niby zostanie po pani?

– Moje dziecko. I wnuki. I ich wnuki.

– Myśli pani, że będą o pani pamiętały?

– Oczywiście!

– Jest pani tego pewna? Bo coś mi się zdaje, że jeszcze pani nie umarła, a córka już o pani zapomniała. Czy nie?

Gwałtownie wciągam powietrze, jakby mnie prąd kopnął. Gdyby ten mały, wszawy, zboczony gnojek rąbnął mnie w to moje biodro, nie zaboląoby mocniej.

– Nieprawda! – wykrzykuję. – Gosia tylko wyjechała na wakacje, ale o mnie pamięta. Pamięta o mnie cały czas. Dzwoni do mnie! Za... zadzwoni! Na pewno!

– Tak? – chłopak wpatruje się we mnie błyszczącymi oczami. – A kiedy? Jutro? Za dwa dni? Za miesiąc? Powiem pani coś. Pani córka ma panią w dupie i to bardzo głęboko. I nie ma nikogo na tej planecie, komu zależałoby na pani choć trochę. A wie pani dlaczego? Bo pani sama jest zerem, nikim. Prowadzi pani to swoje małe, ciasne, nic nieznaczące życie, w którym nie osiągnęła pani niczego, poza wyprodukowaniem kolejnej, beznadziejnie nijakiej baby. Tej pani ukochanej córunki, która – założę się – jest taka sama jak pani! Nawet nie jest pani na tyle głupia, aby się tym swoim debilizmem wyróżnić. Jest pani tak samo głupia jak miliony. Ani głupsza, ani mądrzejsza od innych. Jest pani tłumem, liczy się pani tylko w statystyce. Idealny środek. Puste, okrągłe zero.

– Sam jesteś zero! – wyrzaskuję. Dłonie zwijają mi się w pięści. – To ty jesteś zero. Nic. Śmieć. Nie wierzysz w nic, nie wierzysz w Boga! Czeka cię potępienie. Jesteś kpiną z boskiego planu! Pomyłką! Nie pasujesz do normalnego

życia, rozumiesz to? Może i jesteś inny, ale to żadna chwała. Jesteś po prostu zboczony, nic więcej. Ślinisz się do face-tów, wystawiasz dupę, żeby ci który wsadził fujarę, i to cała prawda! I jeszcze się z tym obnosisz, jakby to było nie wiadomo co! Geje, pochody, parady, transparenty — też coś! A tam nic więcej, tylko goła, wypięta dupa. I nie mów mi, że jest ktoś na świecie, komu zależałoby na tobie, bo sam wiesz, że to nieprawda. Nikt się nie zmartwi, kiedy już wy-ciągniesz kopyta. Nikt!

— Nic o mnie nie wiesz — wydusza z siebie chłopak. Na bladej, prawie białej twarzy wykwitły mu dwa okrągłe plac-ki rumieńców. — Nie masz pojęcia...

— O czym nie mam pojęcia? O czym? Coś ci powiem, ty pedałku. To ty nie masz pojęcia o tym, kim byłam, co robi-łam. Ty mi będziesz mówił, że jestem zerem! Nie masz po-jęcia o tym, jak wyglądało moje życie. Nie masz pojęcia o tym, czym było wychowywanie dziecka w pojedynkę! Nie masz pojęcia o tamtych czasach, kiedy kupno nowych maj-tek było problemem, a świadomość tego, że za kilka groszy muszę utrzymać nie tylko siebie, ale i córkę, przygniatała mnie jak kamień. Nie potrafisz sobie wyobrazić tych nie-przespanych nocy, kiedy ze strachu o nią prawie umiera-łam. I ty mi będziesz tu mówił o zerach? Ty? Dostałeś życie na tacy, nowe czasy, pieniądze, żadnych problemów. Mnie z moją emeryturą nie stać nawet na to, co ty wyrzucasz! Rzeczywiście, nic tylko usiąść, załamać ręce i robić z siebie ofiarę. Tylko dlatego, że nie potrafisz utrzymać fiuta na wo-dzy i podporządkowałeś mu całe życie!

— Nie podporządkowałem życia fiutowi! — wykrzykuje chłopak. — Podporządkowałem je temu, żeby być szczęśli-wy! Miłości! Chciałem być kochany i samemu kochać! Mam do tego takie samo prawo jak każdy!



– Słyszałam, przeciętnie raz w tygodniu, czasami częściej. Bardzo donośne odgłosy poszukiwania miłości – ce-dzę wolno i zaczynam piskliwie zawodzić: – Oooch, oooch! Głębiej, głębiej! Oooooch! Tak! Tak! Jaki wielki, ooooo!

– Przestań! – wykrzykuje Paweł.

– Kochali cię, co? O, jak oni cię kochali...

– Zamknij się! Ty stara, wredna, podła krowo! A kto ciebie kocha, co? No kto?

– Jezus mnie kocha – odpowiadam z mocą. – I Bóg.

– Och, prooszę! Niech mnie pani nie osłabia – prycha.

– A co to znaczy? Co to właściwie znaczy? Jak cię kochają? Gdzie dowody tej wielkiej miłości? Samotna, biedna, z polamaną dupą – istna oblubienica Jezusa Chrystusa! Gdzie pani ma tę jego miłość? Jak ją pani czuje, co?

– Ja... Nie czuję – odpowiadam. – Ale wiem, że jest. Wiara daje mi poczucie sensu. Wiem, po co żyję. A ta świadomość daje mi spokój. Spokój, którego ty nigdy nie będziesz miał.

– Jest pani po prostu ślepa! Nie widzi pani... Nie chce pani zobaczyć prawdy!

– Dla mnie to jest prawda! A ty? Ty rzeczywiście widzisz prawdę o sobie, o swoim życiu?

– Widzę – odpowiada Paweł. – Ale mam nadzieję. Wciąż mam nadzieję.

– Nadzieja oznacza wiarę – recytuję.

Zapłatałam się. Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie to, co powiedziałam. Sieniawski uśmiecha się lekko i przechyla głowę.

– Czyli wierzę. Tyle tylko, że inaczej. Nie sądziłem, że usłyszę od pani coś podobnego. Niewiele nas różni, co?

– Bardzo wiele! Też coś! Jak możesz porównywać to... to twoje coś do prawdziwej wiary w Boga! I lepiej zamknij

okno, bo trochę się ochłodziło, ciągnie mi po plecach. Napiałabym się herbaty.

Paweł znika w kuchni i po kilku minutach przynosi mi kubek herbaty. A kiedy wychodzi, mruga do mnie! Bezczelny gówniarz!

## IX

Ta baba jest kompletnie, absolutnie, kosmicznie szajbnięta! Przechodzi wszelkie granice! Ona jest jak... jak wędrówka przez centrum handlowe w *Świcie żywych trupów*! Niby wszystko wygląda miło i spokojnie, ale człowiek nigdy nie wie, czy zza rogu nie wyskoczy jakieś ociekające krwią monstrum i nie rzuci mu się do gardła w najmniej spodziewanym momencie — rozmyślam, przeciskając się rowerem przez korki na Puławskiej. Ani cienia wdzięczności, ani jednego dziękuję! Nikt mi nie każe do niej przychodzić, podtykać jej pod nos żarcia i picia. Robię to z dobroci serca! A ona nawet nie podziękuje.

Przypinam rower do płotka obok administracji schroniska i wchodzę do biura.

— No, coś mi się wydaje, że jak tak dalej pójdzie — mówi Joanna na mój widok — to odśłużysz swoje galery w miesiąc, a nie w trzy.

— Nie przyjechałem dziś w ramach odsiadki — uśmiecham się do niej.

— Wiem, ale i tak ci to zaliczę — mruga do mnie. — Choć szkoda.

— Co szkoda.

— Szkoda, że tak szybko to odpracujesz. Byłoby fajnie, gdybyś tu przyjeżdżał przez trzy miesiące, a nie przez jeden.

Spoglądam na nią spod oka. Spuszcza wzrok i zaczyna przekładać jakieś papiery na biurku.

– Joanna, chyba powinienem ci powiedzieć, że... Zdajesz sobie sprawę, że jestem gejem?

Nieruchomieje pochylona nad blatem. Prostuje się nagle, łapie się za policzki i z szeroko otwartymi oczami wykrzykuje:

– O Boże! Nie! Nie może być! A ja już oczami wyobraźni widziałam ciebie i siebie na ślubnym kobiercu. Już ci dzieci rodziłam! O, ja biedna! I co ja teraz zrobię, nieszczęsna? – opiera czoło na dłoni teatralnym gestem.

Gapię się na nią bez słowa z lekkim uczuciem paniki.

– Ehem... – chrząkam. – Może powinienem był...

Opuszcza rękę na biurko i spogląda na mnie pełnym politowania wzrokiem.

– Tak, wiedziałam, że jesteś gejem. Halo! Pierwszego dnia przyjechałeś tu w pasku Dswarda z wielkim bananem na klamrze i napisem „top”. A ta poplamiona koszulka, którą tu zostawiłeś, nawiasem mówiąc, ma nadruk „Delfiny to rekiny geje”. I tęczę. Nie mówiąc już o tym, jak się zachowujesz, jak mówisz i jak wyglądasz.

– Chcesz powiedzieć, że jestem zniewieściałą ciotą?!

– Nie, nie to. Po prostu jesteś za miły, za grzeczny i za czysty jak na przeciętnego faceta hetero. A przynajmniej jak na facetów, którzy tu trafiają za karę. Więc wiedziałam. A mówię, że szkoda dlatego, że cię lubię. I tyle.

Wariatka. Ale sympatyczna. Wychodzę z biura i idę do szpitalika odwiedzić Borka. Widziałem go dopiero cztery razy, a mam wrażenie, że mnie poznaje. Kiedy wczoraj podchodziłem do jego kojca, stał przy siatce z pyskiem skierowanym w moją stronę i machał ogonem, popiskując cicho. Ale może mi się wydaje, może po prostu usłyszał, że ktoś idzie. Dziś mu przyniosłem psi przysmak Pedigreepala. Gwiżdżę, podchodząc do ogrodzenia.

– Borek! – wołam.

Kojec jest pusty. Dokładnie wyszorowane miski, zamiecione klepisko. Może już wrócił do siebie? Idę do jego poprzedniej klatki. Psa nie ma. Zawracam na pięcie i biegnę do biura Joanny. W wejściu prawie zderzam się z jakimś wysokim facetem. Próbuje go ominąć, ale kładzie mi rękę na ramieniu i mówi:

– Gdzie ty tak pędzisz, Pawełku?

Podnoszę wzrok i spoglądam prosto w piwne, roześmiane oczy mojego Wolfa.

## X

Nie powinnam była z nim tak rozmawiać. Przełączam na Polonię, zaraz będzie msza. Odkładam pilota i biorę do ręki jeden z wafli, które mi przyniósł. Zawsze mnie coś podkusi, nigdy nie potrafiłam zapanować nad językiem. Może to i mały zboczeniec, ale przychodzi tu do mnie codziennie. Chociaż nie musi.

Spoglądam na telefon, podnoszę słuchawkę i sprawdzam, czy jest sygnał. Działa. A ona nie dzwoni. Nikt nie dzwoni. Telefonowałam do Ninki, nawet do Janki. Ninka nie odbiera. A Janka... Nie była to przyjemna rozmowa, i tyle.

– Jak trwoga, to do Boga, co? – zapytała słodziutkim głosem, kiedy pokrótce jej opowiedziałam co się stało. Szczere mówiąc, zabrakło mi języka w gębie, kiedy to usłyszałam. Pierwszy raz w życiu. Rzuciłam słuchawkę na widełki, jakby mnie ugryzła.

Jak to się stało, że nikogo nie mam? Przecież zawsze znałam tylu ludzi. Ale odkąd przesłam na emeryturę, jakoś się wykruszyli. Moja siostra zmarła cztery lata temu, jeszcze jak pracowałam. Miała dokładnie to samo co nasza mamusia. Rak ją zeżarł, zanim lekarze się połapali, o co chodzi. A z tymi

jej bachorami to nigdy nie umiałam się dogadać. Zresztą Zbyszek jest w Holandii od kilku lat, a Zośka mieszka Bóg wie gdzie w Bieszczadach i ma gospodarstwo. Zawsze była narwana, żeby tak z miasta się wynosić na wiochę. Tylko Małgosię mam. A zresztą po co to się roztkliwiać? Zawsze sobie sama dawałam radę, to i teraz dam. Bez różnicy.

Pielęgniarka przychodzi po drugiej.

— Szkoda, że nie później — mówię kwaśno.

— Mamy dziś humorki, co? — pyta głośno, poprawiając mi poduszki.

Nie jest dużo młodsza ode mnie. Przyglądam jej się z ukosa. Włosy farbowane, makijaż, buty na obcasie. Elegantka. A nocnik po mnie musi wynosić.

— Swędzi mnie ten gips — skarżę się.

— Taki los — odpowiada. — Ale coś poradzimy. Niech pani patrzy, jaka piękna pogoda za oknem!

Spoglądam na firanki, za którymi widać niebieściutkie niebo bez jednej chmurki.

— W nocy lało — mówię, pociągając nosem. — Komary będą cięły.

— Ale powietrze za to takie rześkie. Aż się chce żyć. Kiedy o siódmej wychodziłam, to wszystko tak pachniało! Choć poranek był chłodny.

— Łatwo o przeziębienie — stwierdzam. — Przeziębienie latem bywa najgorsze.

— Ja mieszkam przy Ogrodzie Saskim, Za Żelazną Bramą, wie pani. A pierwszą pacjentkę miałam na Mariensztacie. Niby umawiałam się dopiero na dziewiątą, ale specjalnie wcześniej wyszłam, żeby sobie spacerkiem dojść przez park. Pusto było, ptaki śpiewały, zupełnie jakby to samo centrum nie było, a ja sobie tymi zwirowanymi alejkami chodziłam i patrzyłam w niebo.

– Istny cud, że nogi pani nie skręciła. Na takich obcasach nietrudno.

– No i jak doszłam do tej pani Ewy – ciągnie dalej niezrażona – to mówię: Pani Ewo, taki piękny dzień. Może sobie pani na balkonie posiedzi trochę? Założyłam jej sweter i wyniosłam fotel na balkon. Ona ma już dziewięćdziesiąt lat, wie pani? Dziewięćdziesiąt z hakiem! I prawie ani jednej zmarszczki. Modłę się, żeby tak wyglądać, gdy będę miała tyle lat.

– Niech się pani modli, żeby jeszcze pani żyła, jak będzie pani miała tyle lat.

Pielęgniarka zdejmuje mi koszulę i pomaga założyć czystą, którą wyjmuję z szafy. Nie lubię tej koszuli, bo gryzie, ale to ostatnia czysta.

– Zapytałam, wie pani? Pani Ewo, jak pani to robi, że tak świetnie pani wygląda? A ona na to: Nic nie robię, pani Marysiu. Jak się człowiek ze zmartwienia nie marszczy, to i zmarszczek nie dostaje, a ja się niczym na zapas nie martwię i zawsze sobie mówię, że co ma być, to będzie.

– Bardzo głupio – zaznaczam cierpko.

Kobieta składa w kostkę brudną koszulę, kładzie ją na fotelu i bierze się pod boki:

– Ale z pani to kwaśny człowiek! – mówi. – Co z panią, na rany boskie? Ja wiem, że musi pani poleżeć trochę i że to nic przyjemnego, ale przecież niedługo będzie operacja, a potem to pani raz dwa zacznie chodzić. Goi się pani jak ta lala, po nodze widać. Czy pani to się nigdy nie uśmiecha? Nigdy pani nie ma dobrego humoru?

Patrzę na nią z autentycznym zdumieniem:

– Czemu? Ja mam dziś całkiem dobry humor.

## XI

Boże, ale to przystojny facet. Ma na sobie jasną koszulę w niebieską, drobną kratkę, z podwiniętymi do łokci rękawami, sprane dopasowane dżinsy i białe sportowe buty. Dwa górne guziki koszuli są niezapięte, widać krótkie kosmyki ciemnych włosów. Jest nieogolony, opalony na oliwkowy kolor, ale nie na solarium – grzbiet nosa, szczyty policzków i czoło nad brwiami ma lekko zaróżowione od słońca. Przygląda mi się tymi swoimi błyszczącymi, roześmianymi oczami w kolorze orzechów, a ja mam wrażenie, jakby mi ktoś lał miód prosto na serce. Jakby potrafił mnie przejrzeć na wskroś. Skąd on się tu wziął?

– Eeee... – wyjąkuję, czując, że zaczynam się czerwienić jak kretyn. – A co ty tu robisz?

– Pracuję. Tak samo jak ty. No, może nie tak samo – zaznacza. – Ja tu jestem z własnej woli. Jestem weterynarzem.

– Weterynarzem? – pytam inteligentnie.

– Napijesz się kawy?

– Tak – nie mogę od niego oderwać oczu. Jakby mnie zahipnotyzował. Żebym tylko nie zamrugał więcej niż raz, żebym... Wbrew mojej woli mrugam kilkakrotnie rzęsami ze wzrokiem wlepionym w jego źrenice jak jakiś debilny podlotek. Skończony idiota.

Facet mija mnie, wychodzi przed budynek administracji i mówi:

– No, to chodź. Mój gabinet jest z tyłu.

Ruszam posłusznie jak owca prowadzona na postronku, ale nagle zatrzymuję się jak wryty.

– A gdzie ten pies? To znaczy Borek. Co się z nim stało?

– Wszystko dobrze. Doszedł już do siebie, dostał nowy boks, z drugiej strony schroniska. Zrobiliśmy tam kwatery seniorów, jest ciut spokojniej.

– To może ja bym zajrzał do niego na chwilę? Zanim my... to znaczy, zanim pójdziemy od tyłu. To znaczy z tyłu. To znaczy do ciebie!

Biegnę do Borka, który macha ogonem na dźwięk mojego głosu i wciska nos między oczka siatki. Kucam przy nim.

– Hej, piesku – mówię cicho. – Żebyś ty wiedział, jakiego masz pana idiotę.

Pana? Wchodzę do boks, głaszczę psiaka i podaję mu podłużne, brązowe listki psiego przysmaku jeden po drugim. I z czego ja się tak cieszę? Już raz mnie ten facet puścił kantem. Po kilku minutach zamykam za sobą drzwi klatki i idę do pana doktora.

Kiedy wchodzę, ustawia właśnie na swoim biurku dwa kubki kawy.

– Chcesz mleka? – pyta.

Kiwam głową, że tak, i przyglądam mu się, kiedy odwrócony tyłem sięga po kartonik do lodówki. Ma podgolone włosy na karku, króciutkie, przebija spod nich skóra głowy. Uwielbiam dotykać takiej kilkumilimetrowej fryzury, kiedy włosy przesuwają się pod dłonią jak miękka szczoteczka. Facet prostuje się i odwraca, zanim udaje mi się uciec wzrokiem. Znowu czuję rumieńce na policzkach.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś? – pyta, wlewając mleko do mojego kubka.

– Bo się nie lubię narzucać – wzruszam ramionami, spoglądając w bok.

– Narzucać? Myślisz, że podałbym ci swój numer, gdybym nie chciał, żebyś mi się... hm... „narzucał”?

– Nie wiem. Mogłeś to zrobić, bo zobaczyłeś, że ja zobaczyłem, że mnie spławiasz. I zrobiło ci się łyso. A poza tym to w ogóle mógł być jakiś zmyślony numer. Albo twój, tyle tylko, że jakbym zadzwonił, udałbyś, że nie wiesz, kto dzwoni.



Albo byś powiedział, że nie masz teraz czasu, ale oddzwonisz. Ale byś nie oddzwonił, a ja bym czekał. Albo...

– Za dużo myślisz – przerywa mi. – Zadzwoń do mnie.

– Kiedy? Teraz?

– Teraz.

Wyjmuję komórkę z kieszeni spodni i odszukuję jego numer na liście. Naciskam „wybierz”. Pokazuje mi gestem, że bym podniósł ją do ucha. Jego telefon zaczyna dzwonić. Siedzimy naprzeciw siebie po dwóch stronach jego biurka.

– Witaj, Pawciu – mówi do komórki. Słyszę go przy uchu i w pokoju – głos w aparacie jest ciut spóźniony. O ułamek sekundy. – Cieszę się, że nareszcie dzwonisz, bo już myślałem, że się nie doczekam. Czy zechciałbyś zjeść ze mną kolację?

Opuszczam komórkę i przyglądam mu się z uśmiechem. Smuga słońca pada przez okienną szybę na jego twarz, rozświetla włosy chmurą kasztanowych iskier.

– Bardzo chętnie – odpowiadam.

Mężczyzna odkłada telefon na biurko i podsuwa jeden z kubków w moją stronę.

– Ale najpierw muszę cię o coś zapytać – mówię, sięgając po łyżeczkę.

– Pytaj.

– Jak... to znaczy, wiesz, ja wtedy byłem trochę nie tego i nie wiem... to znaczy nie pamiętam... Czy mógłbyś mi powiedzieć, jak się nazywałeś?

Mój Wolverine patrzy na mnie z uśmiechem i lekko przechyloną głową.

– Wojtek – odpowiada po chwili. – Nazywam się Wojtek Rońda.

Wojtek? Czyli też na wu, jak Wolverine! Na wu? Jak na liściku przy kwiatach, to mógł być...

— To ty mi przysłałeś te róże! — wykrzykuje.

— Tak.

— Ale skąd wiedziałeś? Skąd znalazłeś mój adres?

— Ze szpitala.

— Ze szpitala? Z jakiego szpitala... — i nagle przypomina mi się pielęgniarka, ta z przeraźliwie jasnymi oczami. — Rońda? Doktor Rońda? To ty nie chciałeś mnie prowadzić! Dlaczego więc...?

— Uznałem, że to nie będzie dobre, żebyśmy się tam wtedy spotkali. To był dla ciebie trudny moment i nie byłem pewien, jak byś zareagował. Poza tym Nowak jest znakomitym lekarzem, to bardzo dobrze, że zgodził się tobą zająć.

— Ale ty przecież jesteś weterynarzem, na rany boskie!

— Też — odpowiada Wojtek. — Poszedłem na weterynarię, kiedy nie dostałem się na medycynę. Później mi się udało, ale skończyłem jedno i drugie. Pracuję na Wolskiej, a tu przyjeżdżam tylko dorywczo, na zmianę z koleżanką. Przede wszystkim w weekendy, bo ona ma małe dziecko i kiedy tylko jest pogoda, jeździ z nim pod Warszawę, na działkę. Właśnie wtedy, w niedzielę, jechałem tutaj. Dlatego się spieszyłem.

— No, ale przecież mogłeś mi powiedzieć! Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Hm. Po pierwsze dlatego, że większość ludzi lekko się puka w czoło na informację, że przesiaduję w schronisku dla zwierząt. Ale przede wszystkim dlatego, że... Nic o tobie nie wiedziałem. To jedyne takie schronisko w Warszawie, od razu byś mnie namierzył, a ja może nie żyję w ukryciu, ale też nie za bardzo chcę, żeby każdy chłopak, którego poznaję w klubie, miał mnie od razu w ręku i wiedział o mnie wszystko, a ja o nim nic. No, nie żebym znowu aż tyłu poznawał, oczywiście... Ale mimo wszystko. A nie

chciałem kłamać, dlatego nic nie powiedziałem. Nie znałem cię wtedy prawie wcale.

– Teraz też mnie nie znasz – wzruszam ramionami.

– Tak – odpowiada Wojtek i dodaje z uśmiechem: – Ale już wiem na pewno, że bardzo, bardzo chcę cię poznać.

Czy to się dzieje naprawdę? Może jadąc tu na rowerze, wpadłem na latarnię, a teraz leżę gdzieś na intensywnej terapii w komie i to wszystko mi się po prostu śni?

Wracam do domu i czuję się taki lekki, jakby rower płynął w powietrzu. Umówiliśmy się na wtorek. Pojutrze. Jadę poboczem rozkopanej alei Niepodległości i mam wrażenie, że Warszawa jest najpiękniejszym miastem na świecie. Parkuję przed wejściem do spożywczego i zakładam blokadę na łańcuch. Kupuję sobie coś na kolację, a po krótkim namyśle biorę jeszcze twarożek, mleko i galaretkę z kurczaka dla Lewandowskiej. Kiedy zawieszam siatki na kierownicy i przyklękam, żeby otworzyć kłódkę na łańcuchu, dzwoni moja komórka. Błyskawicznie wyciągam ją z kieszeni, ale to nie Wojtek. Nie znam tego numeru. Odbieram po krótkiej chwili wahania.

– Dobry wieczór – odzywa się kobiecy głos. – Nazywam się Małgorzata Lewandowska, moja matka dzwoniła do mnie z tego numeru. Nie wiem, czy pan kojarzy? Anna Lewandowska?

Oczywiście, że kojarzę. Rozmowa nie trwa długo. Dziewczyna robi wrażenie nerwowej, milknie co chwilę, gubi wątek. Trochę inaczej wyobrażałem sobie córkę tej potworzycy, chociaż obie są zdaje się równie opryskliwe. Chowam komórkę i wnoszę rower do mieszkania. Biorę prysznic, a potem zanoszę galaretkę sąsiadce.

– No, już myślałam, że nie przyjdiesz do mnie więcej – wita mnie z łóżka.

– Myślał indyk – odpowiadam wesoło. – Coś pani przyniosłem. Żelatyna jest dobra na kości, powinna pani dużo tego jeść.

– Wiem – kobieta bierze ode mnie talerzyk i przygląda się galaretkie z uniesioną brwią. – A octu dałeś?

– Nie. Ocet jest niezdrowy. Wycisnąłem cytrynę. Cytryna jest zdrowa.

– Cytryna! – prychna pani Anna, ale odkrawa kawałek galaretki i wkłada do ust. – No, niezła nawet ta galareta. Może być.

Uśmiecham się pod nosem i wynoszę brudne naczynia stojące przy jej łóżku do kuchni. Potem otwieram okna, żeby mieszkanie się przewietrzyło. Nucę cicho pod nosem *Sugababes. If you really want me Baby, let me know...*

– Co ty taki wesoły jesteś? Jakby ci kto w kieszeń napluł.

– Bo to był taki piękny dzień.

– Aha.

– Słońce tak świeciło. Ale nie było wcale za gorąco. I ptaki tak śpiewały...

– Co z wami, ludzie?! – przerywa mi kobieta, z rozmachem odkładając widelec na talerz. – Czy już wszystkim na mózg padło? Najpierw jedna mi tu robi wykład o poezji, a teraz ten!

– Oj, pani Anno – mówię ugodowo. – Czy pani nigdy się nie uśmiecha? Nigdy pani nie jest w dobrym humorze?

– Zaraz mnie chyba szlag trafi! – wykrzykuje kobieta, potrząsając talerzem. – Ja mam bardzo dobry humor, do kurwy nędzy! Mam świetny humor!!!

Gapię się na nią ze zdumieniem przez krótką chwilę, a potem zaczynam się tak śmiać, że aż mnie zgina w pół. Łzy lecą mi z oczu i brakuje tchu. Nie śmiałem się tak od... Już nawet nie pamiętam, kiedy się tak śmiałem! Kobieta przygląda

mi się z kamiennym wyrazem twarzy, po czym podnosi talerze i je dalej galaretkę.

– Iiii, tam! Kuku na muniu – mówi, wywracając oczami, co oczywiście rozśmiesza mnie jeszcze bardziej.

Dochodzę powoli do siebie, wycieram oczy i odbieram od niej pusty talerz.

– A jutro – mówię uroczyście – będzie pani miała niespodziankę!

– Niespodziankę? – patrzy podejrzliwie. – Ja tam nie lubię niespodzianek.

– No, ta to się pani spodoba. Dobrej nocy.

Kiedy już jestem przy drzwiach, odzywa się do mnie:

– Paweł.

Odwracam się do niej z uniesionymi pytająco brwiami.

– Chciałam ci powiedzieć... – przerywa, spoglądając na mnie niepewnie. – Że...

– Tak?

– Żebyś sprawdził, czy okno w kuchni zamknięte – kończy nagle swoim normalnym tonem, a ja mam wrażenie, że chciała powiedzieć coś zupełnie innego. – Bo się może w nocy od wiatru otworzyć i mi słoiki z parapytu pospadają.

– Jest zamknięte. Sprawdziłem.

– A. To dobrze – mówi, odwraca wzrok do telewizora i dodaje szorstkim tonem po sekundzie: – No i chciałam powiedzieć... że ci dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiadam i z lekką przekorą w głosie mówię: – Zresztą jestem pewien, że pani dla mnie zrobiłaby to samo.

Spogląda na mnie jak rażona gromem, ale wolę nie czekać na to, co mogę za chwilę usłyszeć. Mam jeszcze przynajmniej odrobinę instynktu samozachowawczego. Wychodzę szybko i idę do swojego mieszkania.

## XII

Małgosia przychodzi po szesnastej, pięć minut po wyjściu pielęgniarki.

— Cześć, mamó — woła w przedpokoju, a mi w ułamku sekundy wzbierają łzy w oczach. Przyszła!

Prawie jej nie widzę, kiedy wchodzi, ocieram ręką oczy. Siada na fotelu.

— No, jak się czujesz? — pyta. — Ten twój sąsiad mówił, że już lepiej.

— Trochę lepiej — schylam głowę, żeby nie widziała moich łez. Szukam po omacku chusteczki, gdzieś ją tu miałam. Nie chcę zacząć płakać, Małgosia się zdenerwuje. — Ja tak czekałam na ciebie! Martwiłam się!

— Niepotrzebnie — odpowiada. — Poza tym mówiłaś przez telefon, że właściwie nic ci nie jest.

— Nie chciałam cię martwić za bardzo!

— No to się bardzo nie martwiłam.

— Ale trochę mogłaś — znajduję chusteczkę wciśniętą z boku pod poduszkę i podnoszę ją szybko do oczu.

— Trochę się martwiłam. Przyszłam do ciebie, no nie?

— Ale kiedy? Kiedy... — spoglądam na nią i głos więźnie mi w gardle.

Małgosia rozgląda się po pokoju. O ile przedtem, gdy widziałam ją ostatnim razem, była chuda, nawet bardzo chuda, to teraz... Teraz wygląda jak ci pokazywani w telewizji więźniowie z obozów zagłady. Jak żywy szkielec.

— Boże jedyny przenaјświętzy! — wykrzykuję, przyciskając dłoń do ust.

Nie mogę na nią patrzeć — mam wrażenie, jakby ktoś rozdzierał mi serce tęnym gwoździem. Błada, niemal przezroczysta skóra, ciemnoniebieska siatka żył na kruchych, kanciastych kościach. Nie widziałam czegoś podobnego

wcześniej, nigdy na żywo, tylko w telewizji. Wygląda, jakby każdy oddech sprawiał jej ból. Jakby pod wpływem najbliższego wstrząsu, dotknięcia, mocniejszego uderzenia serca mogła rozpaść się w proch, rozsypać. Jej usta są zbyt duże na wąskiej twarzy, z której niczym sęki sterczą kości policzkowe i podbródek. Szyja to sam kręgosłup opleciony ścięgnami, a nagie ramiona przypominają żdźbła trawy ze zgrubieniami łokciowych stawów. Ale najgorsze ma oczy. Zaszklone, ogromne, są jedynym elementem, który przypomina mi dawną — moją — Małgosię. Ale to tylko wspomnienie, powidok. Szeroko otwarte, niemal wytrzeszczone, pokryte siatką spękanych naczyń miotają się w oczodołach. Rozszerzone źrenice nie koncentrują się na niczym, ślizgają po meblach, ścianach, suficie. Po mnie. To agonia — myślę. — Panie Boże, agonia.

— Dlaczego nic nie mówisz? — pyta Małgosia. — Niepotrzebnie tu przyszedłam.

— Czekałam... — zaczynam mówić ochryple.

— Wiem, wiem! — przerywa mi zniecierpliwionym tonem. — Nie o to chodzi. Nie powinnam była przychodzić. Nie chcę tu być. To mieszkanie... Ty przypominasz mi to, czym byłam, nic się tu nie zmieniło. Czuję się jak przedtem. Przed przemianą. To złe uczucie, przeszedłam już taką długą drogę.

— Co ty mówisz? — głos zaczyna mi się załamywać. — Przed jaką przemianą? Jaką drogę?

— Jestem coraz łżejsza, mam — mówi Małgosia. — Niedługo, już niedługo nie będziesz mnie mogła pochwycić. Odrunę jak motyl. Jak porcelanowy motyl. Jestem innym człowiekiem. Odnalazłam cel.

— Jaki cel?

— Perfekcję. Wygrałam z samą sobą, pokonałam się. Stałam się już niemal doskonała.

— Małgosiu, o czym ty mówisz? — zaczynam płakać, nie mogę się powstrzymać. — Jak to doszła? W czym? Co się z tobą stało...

— To jest moja droga — Małgosia podnosi dłoń do niemal już nieistniejącej piersi i wskazuje na napis na podkoszulku. Czerwone duże litery na białym tle. Marszczę brwi i odczytuję z trudem.

— Pro ana? Co to jest Pro ana?

— Przeznaczenie.

— Boże słodki, Małgosiu — lzy jak groch zaczynają toczyć mi się po policzkach, nie wiem, co robić. — Co to jest? Co to znaczy?

— Pro ana jest odpowiedzią. Dzięki niej stajemy się lepsze od innych, przenosimy się na inną płaszczyznę istnienia.

— Sekta! — mówię bez tchu w nagłym przebłysku zrozumienia. — Jesteś w sekcie!

— Głupia! — prychna Małgosia, opadając na oparcie. — Zawsze byłaś głupia!

— Dziecko! Jak możesz...

— Pro ana to nie jest żadna sekta! To styl życia, a tam, styl! To nowy etap życia! Wyższy, bardziej doskonały! Nawet nie wiesz, co się dzięki temu ze mną zaczęło dzieć! Odrwałam się od mojej cielesności, odrzuciłam ją! Zobaczyłam blask prawdy! Widzę rzeczy, jakich dotąd nigdy nie oglądałam, które jeszcze się nie wydarzyły! Mam moc! Potrafię poruszać przedmioty siłą woli, rozumiesz? Dzieją się ze mną cudowne rzeczy, coraz prędzej, coraz szybciej. Przeobrażam się! A wystarczyło tylko narzucić sobie rygor. Wystarczyło przestać pchać w siebie to wszystko, to całe... jedzenie. Pro ana to cała filozofia istnienia, zrozumiałam to. Wiara!

— Wiara? Małgosiu, a Bóg? Przecież to On jest Twoją wiarą! Szatan cię opętał!



— To ty jesteś szatanem! — wyrzuca z siebie Małgosia, pochylając się w moją stronę gwałtownie i mrużąc oczy. — Ty! Belzebub! Trzy szóstki!

— Córeczko — wyjąkuję bezradnie — jakie... Ja już dawno trzonowych zębów nie mam... Co ty mówisz? Co...

— Ech — prycha z pogardą i mówi: — Głupia. Zawsze byłaś głupia. I wiesz, co ci powiem? Skrobałam się! Dwa razy! A teraz już nie mam tego kłopotu, bo to się skończyło. Nie mam już okresu, jestem wolna. Skończyło się! Nie znajdę już, żeby nie wiem co. Ale wtedy szłam na tę skrobankę z uśmiechem na ustach. Rozumiesz? Z uśmiechem!

— Jak... Jak możesz?! Nie tak cię wychowałam! To... to jakbyś się wyrzekła wszystkiego, co święte. Jezusa Chrystusa! I Jana Pawła! Nie! Nie mogłabyś...

— Och! — wykrzykuje moja córka ze złością. — Pieprzę twojego Jezusa i pieprzę...

Martwieję, krew odpływa mi z twarzy. W tym momencie słyszę dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Przedpokój rozjaśnia się blaskiem popołudniowego słońca padającym z klatki schodowej, a po chwili w progu staje Paweł. Światło otacza sylwetkę chłopaka delikatną luną, sączy się przez poły białej, obszernej koszuli, którą ma na sobie. W dłoniach trzyma wielki półmisek, na którym leży jakieś mięso.

— Hejka — mówi wesoło. — Niespodzianka!

Patrzę na niego oniemiała, a on spogląda na Małgosię. Widzę, jak złośliwy uśmiech znika z jego twarzy, która przybiera wyraz zaskoczenia, a potem czystej zgrozy. Uświadamiam sobie nagle, że w pokoju rozlega się koszmarny odgłos przypominający dźwięk wydawany przez ostry nóż przeciągany po stalowej blasze. Odwracam głowę w stronę fotela. Małgosia siedzi sztywno wyprostowana, jej wpatrzone w Pawła oczy niemal wychodzą z orbit. Uchylone, wygięte

w podkowę wargi odsłaniają zęby, spomiędzy których wydobywa się ten okropny, nieludzki pisk. Nagle dźwięk się urywa. Małgosia wbija kurczowo palce w podłokietniki fotela, nabiera tchu i krzyczy z całych sił.

### XIII

No, przyszła. Słyszałem, że drzwi Lewandowskiej trzasnęły. Może nie powinienem się teraz wcinać, ale zaniosę im coś do jedzenia. Podnoszę półmisek z pieczonym kurczakiem i idę do przedpokoju. Rzucam okiem na swoje odbicie w lustrze. Moje włosy są już trochę za długie — w zestawieniu z niegoloną od dwóch tygodni brodą sprawiają, że wyglądam jak hipis. Mam na sobie białe płócienne spodnie i dużą, rozpiętą prawie do pępka lnianą koszulę. Przez chwilę zastanawiam się, czy założyć japonki na nagie stopy, ale jest tak potwornie gorąco. E, tam. Otwieram drzwi na korytarz. Klatka schodowa, której okna wychodzą na zachodnią stronę, zalana jest powodzią bursztynowego, popołudniowego słońca. W padających przez zamglone, niezbyt czyste szyby promieniach wirują drobinki kurzu. Żłoty pył. Zanurzam się w świetlistej mgielce, podmorski krajobraz koralowej rafy. Gdzie jest Nemo? Przez moment zastanawiam się, czy zadzwonić do drzwi, ale dochodzę do wniosku, że zrobię im niespodziankę. Naciskam klamkę i wchodzę do środka. Mijam krótki korytarzyk mieszkania pani Anny i staję w progu dużego pokoju. Nagle dochodzę do wniosku, że zachowuję się wścibsko i nie powinienem w taki sposób się tu ładować. Trwa to tylko ułamek sekundy. Odchrząkuję krótko i mówię sztucznie wesołym tonem:

— Hej! Niespodzianka!

Anna w półsiedzącej pozycji na wersalce, oparta o poduszki, odwraca papierowobiałą, zalaną łzami twarz w moim

kierunku. Coś jest bardzo nie tak — ale zanim udaje mi się nad tym zastanowić, dostrzegam drugą osobę znajdującą się w pokoju. Na jednym z pokrytych skajem, czarnych foteli siedzi dziewczyna. Dziewczyna? Nie, raczej żywy szkielet. Niewiarygodne, że jeszcze żyje. Nigdy nie widziałem kogoś wychudzonego w takim stopniu, nawet nie sądziłem, że jest to możliwe. Młoda Lewandowska spogląda na mnie szeroko otwartymi, na wpół obłąkanymi oczami. Jej twarz zmienia się w przerażoną maskę, z ust wydobywa się skrzeszający, okropny pisk, który nagle urywa się jak ucięty nożem. Dziewczyna prostuje się gwałtownie w fotelu i wykrzykuje strasznym głosem:

— MESJASZ!!! TO MESJASZ!!! NADSZEDŁ!!!

Takiego rozdzierającego wrzasku nie słyszałem, jak żyję. Cierpnie mi od niego skóra, a głowa mimowolnie chowa się w ramionach. Dziewczyna napięta jak struna patrzy na mnie jeszcze przez kilka sekund. Nagle jej źrenice uciekają w głąb czaszki, a w oczodołach ukazują się same przekrwione białka. Głowa dziewczyny zaczyna odchyłać się do tyłu, ale nie jest to płynny ruch. Bardziej przypomina bieg wskazówki sekundnika zardzewiałego zegara. Odchyła się małymi skokami do niemożliwej pozycji, potylicą niemal dotykając łopatek. W tym momencie rozbłyskują żarówki żyrandola, dwie z nich pękają z hukiem. Radio stojące na etażerce niedaleko wersalki włącza się samo, wydaje głośny wizg, przez ułamek sekundy słychać głos spikera: „...strzelili dziś dwie bramki, ale nie to jest najbardziej zadziwia...”, po czym z odbiornika tryska snop iskier, głośnik milknie, a po pokoju rozchodzi się swąd spalenizny. Telewizor uruchamia się z buczeniem, ale zanim na ekranie ukazuje się obraz — gaśnię. Na wyświetlaczu elektronicznego zegara zaczynają jak szalone migać czerwone cyfry. Powietrze gęstnieje, elektryzuje

się, czuję, jak podnoszą mi się włosy na rękach i głowie. Zupełnie jakby przenikał przeze mnie niewidzialny prąd, pędzący falami w kierunku tego chudzielca. I wtedy zaczyna dziać się coś najbardziej dziwnego. Dziewczyna, z nienaturalnie odgiętą głową, zaciska palce na podłokietnikach fotela. Jej długie wypielęgnowane paznokcie pękają jeden za drugim, a zakrwawione szpony zaczynają wbijać się w skaj tapicerki. Sztuczna skóra oparcia pęka z cichym trzaskiem, palce zagłębiają się w gąbce. Nagle stopy Małgosi odrywają się od podłogi, jej chudy tyłek zaczyna unosić się nad siedziskiem fotela coraz wyżej i wyżej. Dziewczyna przybiera w powietrzu pozycję horyzontalną, fotel podnosi się wraz z nią, ciągnięty w górę za podarty materiał pokrywający jego boki. Skaj poddaje się jednak błyskawicznie, pękają ostatnie pasma. W kurczowo zaciśniętych dłoniach chudzielca pozostają fragmenty żółtej gąbki, a ciężki mebel wali z hukiem w parkiet. Małgosia unosi się równoległe do podłogi na wysokość około dwóch metrów. Trwa to sekundę, może dwie. Nagle obraca się szybko w powietrzu wyprostowana jak deska, jakby robiła fikołki na niewidzialnym drażku. Jej ciało koziółkuje raz, potem drugi i gwałtownie zatrzymuje się w pionowej pozycji, zwrócone przodem do mnie. Wyprężone stopy nie dotykają jednak nadal podłogi, od której dzieli je około pół metra pustej przestrzeni. Zastyga w tej pozycji przez moment. Jak Madonna w teledysku do piosenki *Frozen* albo... Nie! Bardziej jak ta szczupła przybyszka z gazowego giganta w trzecim czy czwartym sezonie serialu *Star Trek*! Gwałtownie, głośno nabieram tchu. Uświadamiam sobie, że od chwili, kiedy tu wszedłem, to mój pierwszy oddech. I wtedy dziewczyna odzywa się bardzo głośno chrapliwym, rwącym się głosem:

– QUOD-ME-NUTRIT-ME-DESTRUIT – mówi.

Przez kilka sekund jej ciało wisi jeszcze w powietrzu, zaczyna drgać spazmatycznie. Nagle w pokoju rozlega się suchy huk – jakby ktoś strzelił z papierowej torby. Uderza we mnie lekki podmuch lodowatego powietrza, a Małgosia z łomotem spada na posadzkę. Jak szmaciana kukła. Patrząc na nią przez długi czas z opadniętą szczęką. Wreszcie podnoszę wzrok na panią Annę. Na twarzy ma wyraz krańcowego przerażenia, wytrzeszczone oczy wlepia w leżącą na podłodze córkę.

– Ożeż ty w dupę jebana!– wykrzykuje. – Szok! A ja tylko kurczaka przyniosłem!

Odzyskuję władzę w nogach, dopadam do dziewczyny i klękam przy niej, odstawiając półmisek na parkiet.

#### XIV

W pokoju rozlega się głośny huk i Małgosia uderza w podłogę jak wór ziemniaków. Czuję na twarzy podmuch, lodowate tchnienie bestii. Widziałam to, widziałam wszystko! Widziałam szatana, który ją opętał! Który porwał ją swoimi szponami w powietrze. Widziałam owłosione łapska, na jakich zawisała! Chyba widziałam. Na pewno! Prawie! Bo co to mogło być innego jak nie szatan? I ten śwąd siarki piekielnej! Jeszcze go czuć w powietrzu! Paweł wykrzykuje jakieś bzdury, nie rozróżniam słów. W uszach łomocze mi krew, palce mam kurczowo zaciśnięte na pościeli. W moją córkę wstąpił demon jak w tym programie na TVN Siedem po dwudziestej pierwszej! I ja to widziałam! Widziałam to w moim własnym domu. Słyszałam, jak przemawiała językami! Pewnie pokażą nas teraz w telewizji! Boże miłosierny! Boże jedyny!

Paweł podchodzi do Małgosi i klęka obok niej. Delikatnie odgarnia jej krótkie włosy z twarzy, dotyka policzka.

– Żyje! Chyba – mówi i spogląda na mnie – Pani Anno? Dobrze się pani czuje?

– Duch zaprowadził kiedyś Jezusa na pustynię, aby był poddany kuszeniu przez szatana. Poszcząc tam przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, począł Jezus odczuwać głód. Zbliżył się wtedy do Niego kusiciel – recytuję uroczyście.

– Co? – pyta Paweł. – Co pani wygaduje?

– Albowiem: przeciwko temu królestwu, które jest niebiańskie, istnieje inne, należące do Szatana – deklamuję i wyjaśniam: – Tak mówi Pismo Święte.

Paweł patrzy na mnie z ukosa i nagle pochyla się znowu nad Małgosią.

– Budzi się! Hej, nic ci nie jest? Ej! – poklepuje ją lekko po twarzy.

Małgosia unosi głowę, patrzy na talerz, który chłopak postawił obok, a potem spogląda na niego i mówi cieniutkim głosem:

– Będę jadła. Przysięgam! Zjem to wszystko!

Nie, to nie szatan – decyduję w ułamku sekundy, w nagłym błysku olśnienia. To łaska pańska. To anioł! Anioł! Zresztą widziałam skrzydła. Prawie widziałam! A może i sam Pan Bóg? Nie, już prędzej anioł, w końcu fruwała w powietrzu cudownie jak ptak, jak gołąb, a przecież to anioły fruują. Zresztą... Tak! Kątem oka, przy regale, z boku, coś mi się wydaje... Nie! Jestem pewna, że widziałam czubek skrzydła! Tak! Na pewno widziałam koniec długiego, śnieżnobiałego pióra! No i po kościelnemu mówiła!

– Cud!!! – wykrzykuję pełną piersią, wyrzucając ręce do góry. – To cud!!! Boski Cud!!!

– E tam, cud – mówi Paweł i pomaga Małgosi wstać. Sada ją delikatnie na fotelu. Dziewczyna nie odrywa od niego oczu, wpatrzona jak w święty obrazek. – Lewitacja! Jak

w ostatniej części *X-Menów*, w *Last Stand*, kiedy Jean Gray wydostała się spod jeziora i zostało oswobodzone jej prawdziwe ja. Czyli Feniks. Profesor Xavier zablokował je za pomocą hipnozy, ale pod wpływem wstrząsu się uwolniło. I Jean zaczęła lewitować! Sunęła nad ziemią niepowstrzymana, rozwalając telekinetycznie zarówno zwykłych ludzi, jak i mutantów! Prawie na samym końcu filmu. O! I Storm też tak latała!

– To był Boski Cud. Prawdziwy – mówię twardo.

Co on za banialuki wygaduje? Czy ja oczu nie mam?

– Mutacja to klucz do naszej ewolucji – Paweł obniża głos i recytuje z namaszczeniem. – Ten proces jest bardzo powolny, normalnie trwa przez miliony lat, ale co kilka tysięcy lat ewolucja płata figla... To z *X-Menów* – wyjaśnia.

– Sama widziałam! To był anioł!

– Telekineza.

– Anioł!

– Tele... – przerywa i zatrzymuje rękę Małgosi, która usiłuje włożyć do buzi o wiele za duży kawałek mięsa. – Ty, nie jedz tak łapczywie. Ja nie wiem, ale chyba powinnaś wolniej. Jeszcze ci to zaszkodzi. Kiedy ty właściwie coś jadłaś ostatnio?

– Nie pamiętam. Ostatnio tylko piłam soki – odpowiada Małgosia.

Przełyka z trudem kawałek udka, posłusznie odkłada nóżkę kurczaka na talerz i wpatruje się dalej w Pawła cielecym wzrokiem. Paweł wytrzymuje chwilę jej spojrzenie, odwraca się w końcu w moją stronę:

– To była telekineza.

– Anioł! – powtarzam.

Małgosia wzdycha, bierze do ręki kawałek kurczaka i odgryza maleńki kęs. Nie odrywa od Pawła wzroku.

— Telekineza! — wykrzykuje Paweł. Znowu spogląda Małgosi prosto w oczy: — Jakby co, to chyba lepiej, żebyś wiedziała, że jestem gejem. Na wszelki wypadek od razu to mówię.

— Paweł! — odzywam się głośno pełnym oburzeniem tonem. — Jak możesz! Moja córka przed chwilą obcowała z Duchem Świętym, a ty takie coś!

— Dobra, dobra — wzrusza ramionami. — Niech jej pani nie pozwoli jeść tak łapczywie. W ogóle chyba nie powinna jeść. Zadzwońmy lepiej po lekarza. Albo po pogotowie. Poczytam później w internecie o anoreksji, to pani później powiem. Bo to, co ona sobie zrobiła, to się nazywa anoreksja, wie pani? Choroba. Ale szok!

## XV

Wojtek przyjeżdża do mnie we wtorek wieczorem. Na kolację. Wiem, wiem — Elżbieta radziła, żebym spotykał się z nim najpierw poza domem i poznał go lepiej. Ale ja dobrze gotuję i chcę, żeby przyjechał. Poza tym wcale nie mam ochoty na seks — no, może nie przede wszystkim. Mam ochotę na rozmowę. Przywitam go uściskiem ręki, a potem usiądziemy sobie jak cywilizowani ludzie przy stole i porozmawiamy.

Podskakuję, gdy rozlega się dzwonek do drzwi i biegnę otworzyć.

— Nareszcie! — wykrzykuje.

— Spóźniłem się? — pyta w progu. — Wydawało mi się, że miałem być na siódmą?

— Tak. No, ale nie widziałem cię od niedzieli!

Uśmiecha się i wchodzi do przedpokoju. Podaję mu rękę, a on łapie mnie w objęcia i przytula z całej siły. Powinniśmy jednak byli... — myślę, kiedy zaczyna mnie całować



— ...spotkać się w Jazz Bistro. Albo w Między Nami. Albo... Jego zarost drapie mnie w brodę, a usta są takie delikatne. Zamykam oczy i oddaję mu pocałunek. Pachnie wiatrem i wodą kolońską Bruno Banani. I mężczyzną. Jego dłoń wędruje na mój kark, drapie leciutko moją skórę tuż nad linią włosów. Nogi mi miękną w kolanach.

— No, dobrze — odchyła się i spogląda mi w oczy. — Co na kolację?

— Tortilla z kurczakiem — mówię. — Ale...

— Ale idziemy! — daje mi lekkiego klapsa w tyłek.

Nakładam porcję na talerz i podglądam go ukradkiem przez okno między pokojem a kuchnią. Siedzi po turecku na fotelu, zachodzące słońce oświetla go pomarańczową łuną. Jest doskonały.

— Musisz mi pomóc — wołam. — Ręki mi zabraknie.

— Co mam zrobić? — pyta, wchodząc do kuchni. — Mmm, ale zapach...

Staje za mną i zamyka w objęciach. Czuję jego oddech na karku, przeszywa mnie dreszcz.

— To czosnek — mówię.

— Wątpię...

— I bazylia — przymykam oczy i odchylam głowę w bok.

— Jeśli nie przestaniesz, zaraz upuszczę te talerze.

— Dobrze. Co mam zabrać?

— Sztućce i sól. I resztę przypraw. Ale najpierw załóż buty. Zjemy na balkonie.

Zanosimy jedzenie, zapalam świeczki w pomarańczowych i czerwonych lampionach z Duki.

— Pyszne — stwierdza Wojtek. — Dobrze gotujesz i dobrze całujesz. Masz same zalety.

— Ha! — wykrzykuję. — Mnie nie zwiedzisz. Wiem, że chodzi ci tylko o jedno!

Po kolacji zostajemy na balkonie. Słońce zachodzi za dachami kamienic. Wojtek przygląda mi się uważnie. Trochę to wszystko nierealne...

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie – odpowiada.

– Dlaczego... dlaczego ja?

– Co?

– Dlaczego ja? Jest tylu o wiele fajniejszych facetów...

– Ha!

– Tak! I... – przełykam ślinę. – Zdrowych.

– Ty jesteś zdrowy.

– Na razie.

– Cóż, każdy może kiedyś zachorować.

– Ale ja mam...

– To bez znaczenia. Mnóstwo moich znajomych to ma. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ilu ludzi, których ty sam znasz, to ma.

– Może. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Dlaczego mi się podobasz? – Wojtek uśmiecha się i zamyka swoją dłoń w swojej. – To chyba oczywiste. Bo jesteś piękny. I bogaty, sądząc z mieszkania!

– Nie wygłupiaj się! Takich jak ja są dziesiątki.

– Nie ma.

– Ale dlaczego...

– Dlatego, że... – wpada mi w słowo – ...że masz w sobie coś takiego, co mnie łapie za serce. Może to sposób, w jaki przechylasz głowę, kiedy mnie słuchasz, może to coś w twoim uśmiechu. Kształt dłoni, podbródka. Feromony. Nie wiem, powodów mogą być miliony.

– Mogę się okazać beznadziejnym dupkiem.

– Chyba nie.

– Skąd wiesz?

– Bo wtedy nie spałem.

– Kiedy? Kiedy nie... – przypomina mi się tamten poranek. – O mamo, to było żenujące! Słyszałeś mnie wtedy? Spałem się ze wstydu! Wygadywałem takie głupie rzeczy!

– Wcale nie. Myślę, że mówiłeś szczerze.

– Rany, jak jakaś pensjonarka.

– Nie. Jak ktoś, kto chce być kochany i chce kochać. Najbardziej podobało mi się to, co powiedziałeś, że chciałbyś być tym, kogo szukam. Tak może być.

Oczy robią mi się podejrzenie wilgotne. Odwracam wzrok i spoglądam nad dachy domów, ale nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Na razie lepiej zmieńmy temat.

– Wiesz, co to jest Pro Ana? – pytam, dolewając mu wina.

– Niestety, wiem – odpowiada. – A dlaczego?

Opowiadał mi o Lewandowskiej i niedzielnych wydarzeniach. To znaczy opuszczam część o lewitacji, bo sam, z każdą kolejną godziną, która dzieli mnie od tamtego popołudnia, coraz silniej wątpię, czy to, co pamiętam, wydarzyło się naprawdę.

– Pro Ana – mówi Wojtek, bawiąc się palcami mojej dłoni – to chyba pierwsza wirtualna sekta, jaka powstała. Przez to, że istnieje tylko w internecie, jest groźniejsza niż wszystkie inne wymagające bezpośredniego kontaktu z guru i resztą wyznawców. Te gówniary nie muszą ruszać się nawet z domu, żeby do niej przystąpić. Ich życie na pozór zupełnie nie odbiega od normy, rodzice siedzą w pokoju obok, zupełnie spokojni, kiedy ich córki właśnie zaczynają popełniać to... to stopniowe, długotrwałe samobójstwo.

– Wiem, znalazłem ich strony w internecie! – wykrzykuję. – Mówią o sobie porcelanowe motyle, a większość nie skończyła nawet piętnastu lat. Przerazające! A wiesz, że przed nami jeszcze deser?

– Och, wiem – mruga do mnie lekko z uśmiechem.

– Tiramisu – mówię z naciskiem. – Przynieść?

– Za chwilę.

– Dobrze. No a z tą anoreksją...

– Pro Ana to dużo więcej niż sama anoreksja! Te dziewczyny dorobiły sobie do niej całą filozofię, nie sposób tego opanować. Cel uświęca środki – to ich podstawowa dewiza. Każdy stracony dekagram wagi ciała to powód do radości i chwały. A każdy stracony kilogram przybliża je do ideału, jakim chciałyby się stać. Uczucie głodu zaczynają postrzegać w kategoriach przyjemności, czegoś dającego satysfakcję. Zupełnie jak samobiczujący się fanatycy odczuwają radość i uniesienie, czując ból zadawany przez bat. I nawet mają swoje hasło...

– Wiem! Quod me nutrit, me destruit – mówię szybko.

– Ona też to powiedziała, to znaczy Gośka.

– To, co jem, niszczy mnie – tłumaczy Wojtek. – A właściwie: to, co mnie karmi, niszczy mnie. Czyli w sumie nie dotyczy tylko samego jedzenia – te dziewczyny odwracają się od wszystkiego, co im dostarcza pożywienia. Co kojarzy im się z podawaniem posiłku, namawianiem do niego, częstowaniem. Czyli przede wszystkim od własnej rodziny. Najbliżsi stają się ich wrogami.

– Hm – wzdycham. Wojtek ma zgrabne, silne dłonie. Nigdy nie sądziłem, że taka zwykła pieszczota – dotykanie i głaskanie czyjejś ręki – może być tak niesamowicie przyjemna. – A myślisz, że... To znaczy, czy to możliwe, żeby brak jedzenia mógł doprowadzić do jakichś... jakby to powiedzieć... zmian?

– To znaczy? Jakich zmian?

– No, na przykład... Nie wiem, jakichś takich wiesz... paranormalnych?

– Paranormalnych? – Wojtek zaczyna się śmiać. – Masz na myśli czytanie w cudzych myślach? Przenikanie przez ściany?

– Nie... no, może coś tak jakby.

– Nic takiego nie zostało udokumentowane. Ale z drugiej strony zmienia się cała chemia organizmu, który zostaje postawiony w sytuacji ekstremalnej, zmuszającej go do uaktywnienia wszelkich możliwych metod przetrwania. W tym być może także pewnych funkcji mózgu. Ale z pewnością nie mówię tego jako lekarz. Jako lekarz uważam, że takie zmiany bardziej mogą dotyczyć raczej samej psychiki niż hm... paranormalnych manifestacji. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. To ciekawe, a ty tak dużo o tym wiesz.

– Tak. Widzisz, ehm... – spogląda na mnie z zastanowieniem i kończy po chwili: – Widzisz, moja żona się tym zajmuje. Między innymi.

– Twoja... co?! – wykrzykuję, cofając gwałtownie rękę.

– Twoja żona? To ty masz żonę?

Oczywiście, że ma! To byłoby zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Skończony kretynie, naprawdę wyobrażałeś sobie, że coś takiego – spotkanie faceta ze snów, który ni stąd, ni zowąd zaczyna na ciebie lecieć – jest możliwe? Rany boskie, kalka z *Ironic Alanis Morissette*!

– Moja była żona – prostuje Wojtek. – Rozeszliśmy się trochę ponad pół roku temu, ale jesteśmy przyjaciółmi. To chyba najbliższy przyjaciel, jakiego mam.

– Aha – przyglądam mu się podejrzliwie. – I pewnie masz dwójkę ślicznych dzieci. Chłopczyka i dziewczynkę.

– Nie – uśmiecha się. – Nie mamy dzieci.

– No! To chociaż tyle! – wykrzykuję, ale reflektuję się zaraz: – Przepraszam. To znaczy, że... że co? Że ty jesteś bi, czy jak?

Żeby tylko nie był biseksem, żeby nie był biseksem... Nie cierpię biseksów. W ogóle nie wierzę w biseksualizm! To są albo geje, którzy udają, że nimi nie są, albo... Albo nie wiem co! No, może rzeczywiście część z nich czuje jednakowo silny pociąg i do dziewczyn, i do facetów. Ale z kimś takim niczego się nie zbuduje, wiem to nawet ja – król związkowego fiaska! Zawsze uważałem, że na kimś, kto się sam oszukuje, kto nie wie, czego chce, działa na dwa fronty, nie można polegać. Nie potrafiłbym się nawet z biseksem za przyjaźnić, a co dopiero...

– Nie. Jestem i zawsze byłem gejem.

– W takim razie... po co? Po co się z nią ożeniłeś? To miała być przykrywka, czy co?

– Nie wiem... Nie, nie będę cię oszukiwał. Wiem oczywiście. Po prostu uznałem, że zwiąkanie się z drugim facetem, że zbudowanie czegoś trwałego z innym mężczyzną jest niemożliwe. I pomyślałem, że to będzie dobre rozwiązanie. Elka była moją przyjaciółką od lat, rozumiałem się z nią jak z nikim innym. Pomyślałem, że kiedy się pobierzemy, zamieszkamy razem, jakoś się to ułoży. Ja będę miał jakieś swoje poboczne życie, będę rozładowywał seksualne potrzeby od przypadku do przypadku. Zresztą nie wiem, nie planowałem tego.

– I... i ona nie wiedziała? Nie powiedziałaś jej przed ślubem, że jesteś gejem?

– Nie.

– To... Przepraszam cię, nie miej mi tego za złe – mówię ze wzburzeniem. – Ale to po prostu obrzydliwe! Jak mogłeś jej to zrobić?

– Wiem. Masz rację. To było obrzydliwe. Dlatego powiedziałem jej o wszystkim kilka dni później. A ona powiedziała, że wie.

– Że wie? No to chyba jest jeszcze bardziej walnięta niż ty! Sorry – dodaję szybko.

Wojtek śmieje się głośno.

– Powiedziała mi, że jej zdaniem nie stworzy żadnego udanego związku z żadnym facetem hetero, bo wszystkie, które miała, nieodmiennie rozpadały się jeden po drugim. I że to może być szansa na normalne życie z kimś drugim.

– Normalne życie? Normalne? Aha. No i co?

– No i przez siedem lat rzeczywiście się udawało.

– Przez siedem lat? – wytrzeszczam oczy.

– Tak.

– A potem? Co się stało?

– Poznała kogoś.

– Ona kogoś poznała? A ty?

– A ja nie. Aż do niedawna – mruga do mnie lekko. – Widocznie na wszystko musi przyjść czas. Wyprowadziłem się jakieś sześć miesięcy temu z naszego mieszkania do wynajętej kawalerki, którą widziałeś. Zresztą tylko tymczasowo – dopóki nie znajdziemy kupca na to nasze wspólne lokum. Kiedy je sprzedamy i odzyskamy pieniądze, kupię sobie porządne mieszkanie. Na razie nawet nie zabrałem od niej wszystkich swoich rzeczy.

Dziwnie się czuję po tym wszystkim, co mi powiedział. Odnosimy do kuchni naczynia. Siadam na fotelu i przyglądam mu się z zastanowieniem. Czy ja naprawdę nie mogę spotkać nikogo, kto byłby po prostu normalny? Miał normalne życie? Lubił to co ja? Jakiegoś miłego, inteligentnego, przystojnego chłopaka, który potrafi stworzyć dobry, stały związek? Najlepiej wdowca! O, wdowiec byłby dobry! To by znaczyło, że wytrzymał w związku aż do końca, że przezwyciężyła go siła wyższa. Ale byłyby przesłanki, żeby wierzyć, że coś z tego może wyjść! Ale z drugiej strony... a ja sam?

Raczej nie można powiedzieć, żebym był wymarzoną księciem z bajki.

– Mogę się trochę rozejrzeć? – pyta Wojtek, kiwając głową w stronę regału.

– Pewnie – odpowiadam. Nie sądzę, żeby pan doktor znalazł tam coś ciekawego dla siebie.

Wojtek podchodzi do regału, przechyla głowę i zaczyna czytać tytuły książek i filmów, które tam stoją.

– O! – wykrzykuje. – Masz cały serial *Kosmos 1999*, wszystkie sezony! Uwielbiam ten film!

– Chyba żartujesz. Nikt go...

– Pewnie, że uwielbiam. Puszczała go u nas w telewizji, kiedy byłem w podstawówce! Uwielbiałem patrzeć na te wszystkie statki kosmiczne podwieszane na żyłkach i przesuujące się chybotliwie na tle namalowanego kosmosu. Zresztą wtedy wcale nie widziałem, że były na żyłkach. Dostrzegłem to dopiero niedawno, kiedy powtarzali ten serial na którymś kanale.

– Tak, ale to nie ma...

– ...znaczenia! No pewnie, że nie ma. To mu tylko dodaje uroku. I masz *Sliders*, cały sezon?

– Wszystkie trzy – odpowiadam z dumą. – Jerry O’Connell jest boski!

– Genialny! I masz też *Time Tunnel*! I *The Day When The Earth Stood Still*!

– Mam milion filmów s.f. z lat pięćdziesiątych! I wszystkie odcinki *Twilight Zone* – całą pierwszą serię. I *Outer Limits* – też komplet.

– Żartujesz? Skąd ty się wziąłeś? Masz więcej tych płyt ode mnie! Ale ja mam za to całą serię *Doktora Who*, a ty nie masz – Wojtek pokazuje mi język i spogląda na półkę zastawioną tomami. – A książki... Petecki!



– Kocham Bohdana Peteckiego! – mówię i zaczynam wyliczać: – *Kogga z czarnego słońca...*

– *Tylko cisza!* Czytałem tę książkę dziesięć razy!

– *Ludzie z gwiazdy Ferriego...*

– ...i *W połowie drogi!* – Wojtek dociera do końca półki.  
– No, nie! Ta jest moja ulubiona! I ją też masz?

– Która? – pytam, podchodząc do niego.

– *Inny wariant!* Czytałem ją w kółko w liceum!

– Nie wierzę... – wyjąkuję. – Czy ty wiesz, że to jest...

– Wiem! To najbardziej gejowska książka science fiction w historii polskiej literatury!

– C-co? – wykrztuszam, patrząc na niego okrągłymi jak spodki oczami.

– No, a nie? Zakochałem się w Jonsie! Chyba nigdzie nie czytałem takiego zmysłowego opisu męskiego ciała! Ta oliwkowa skóra, mięśnie, bicepsy, uda...

– Musiał być wysportowany – mówię zmartwiałymi ustami. – To astronauta, oni przechodzą treningi. Ten opis był potrzebny, żeby...

– A ten kawałek, w którym bierze prysznic z Hectorem? To, jak się dotykali, ocierali o siebie! Rany, stał mi bez przerwy!

– Tam było ciasno. Na statku nie było miejsca na dużą łazienkę. A prysznic musieli brać razem, bo trzeba było oszczędzać wodę...

– A to, jak Hector przyszedł do jego kajuty? Jak wskoczyli do łóżka? Pamiętasz? Kurczę!

– Wysiadło ogrzewanie – szepczę. – A Hector musiał omówić z Jonsem awarię reaktora. Wszedł do łóżka, żeby się ogrzać, bo był w samych slipach.

– A to, jak Jons zakładał Hectorowi opatrunek na udzie? Boże, prawie się spuściłem, kiedy to pierwszy raz czytałem!

Nie mogłem uwierzyć, że coś takiego wydrukowali w naszym kraju! A później, pod koniec, kiedy Hector...

### Zima 1988

– Podobało ci się? – pyta ojciec, kiedy wychodzimy na zaśnieżoną ulicę z kina Iluzjon.

Właśnie byliśmy na *Obcym ósmym pasażerze Nostromo*. Widziałem ten film pierwszy raz.

– Rany, tata! Jeszcze jak! – wykrzykuję z uczuciem. Jestem wniebowzięty, olśniony, zafascynowany, oszołomiony. *Obcy* jest moim zdaniem najnajwspanialszym filmem, jaki widziałem.

– Niesamowicie zrobione! – mówi ojciec, biorąc mnie za rękę, kiedy przechodzimy na drugą stronę ulicy.

Z ciemnego nieba wolno spadają na jezdnię wielkie płatki śniegu. Sklepowe witryny pełne są już świątecznych dekoracji. Wydaje mi się, że jest ich mnóstwo – choinek, migających lampek, kolorowych Mikołajów. Nie wiem jeszcze, że za kilka lat te dzisiejsze dekoracje będą wyglądały jak pokracczne rękodzieło przedszkolaka na tle feerii światła i barw zalewających nową Warszawę w okresie świąt. Na razie te, które widzę, wydają mi się cudowne. Nie mam porównania.

– A ten rozbity statek kosmitów! – wykrzykuję. – Fantastyczny! Skąd się wziął, jak myślisz?

– Nie wiem.

– Był bardzo stary – mówię. – Bardzo. Tak wyglądał. Starszy niż dinozaury!

– Bardzo możliwe – odpowiada ojciec.

Tata prowadzi mnie za rękę. Ma nagie dłonie. Wyjmuję na chwilę swoją rękę z jego, zsuwam czerwoną, wełnianą rękawiczkę z jednym palcem – zawisa na sznurku, który

mam przszyty wewnątrz kurtki — i znowu wkładam swoją dłoń w jego. Ręce taty są dużo większe od moich. Ciepłe.

— Ciekawe, dokąd mógł lecieć, zanim się rozbił? — zastanawiam się na głos. — Jak myślisz?

— Myślę — mówi ojciec — że to była operacja wojskowa.

— Wojskowa? — spoglądam na niego szeroko otwartymi oczami.

— Tak. Kosmici lecieli nad planetę swoich wrogów. Chcieli zrzucić jaja z larwami tego groźnego, obcego gatunku. Broń biologiczną. To była ich ostatnia szansa! Ci drudzy, źli, systematycznie niszczyli ich rodzinny układ planetarny. Przy życiu pozostało już bardzo niewiele dobrych komitów. Sięgnęli po ostateczną broń — zarodniki niezwykle groźnego, drapieźnego gatunku, na jaki trafili podczas międzyplanetarnych podróży. Wydawało im się, że potrafią go kontrolować. Ale popełnili błąd. Pilot — ten, który skamieniał w fotelu — został nosicielem. Drapieźnik wydostał się z jego klatki piersiowej i pilot zmarł. Pozbawiony nadzoru statek zmienił trajektorię lotu i rozbił się na tym kamienym globie.

— Tak! — mówię z podziwem. — Na pewno tak było! No, a ci źli kosmici?

— Źli kosmici wygrali.

— Szkoda — stwierdzam z westchnieniem i dodaję z granitową pewnością: — Ty wszystko wiesz. Wszystko.

— Nie, nie wszystko — odpowiada ojciec z uśmiechem.

Docieramy na Powiśle, do naszego mieszkania. W dużym pokoju stoi już choinka. Tata zawsze ubiera ją na tydzień przed świętami. Jest prawdziwa, pachnie jak szyszka do kąpieli. Sięga prawie do sufitu. Pomagałem mu ją ubrać — zawiesiłem łańcuch z kolorowego papieru, który zrobiłem w szkole na zajęciach praktycznych. Mój łańcuch był

drugi w klasie co do długości — miał prawie pięć metrów. Dostałem za niego piątkę.

Jemy kolację — tata smaży naleśniki, dwa rodzaje: z serem i z dżemem truskawkowym. Wolę te z dżemem, bo serowe mnie zatykają.

— A ja wolę z serem — mówi tata. — Widzisz, jaki z nas tandem? Świetnie się uzupełniamy.

Pewnie, że tak! Bo mam najfajniejszego tatę na świecie. I sam jestem najfajniejszym synem — tak mówi tata. Pomagam mu we wszystkim, jestem duży — mam już jedenaście lat. Wynoszę śmieci, odkurzam dywan. Dziś myję patelnię i talerze po kolacji. Bardzo dokładnie.

Potem tata rozkłada swoją wersalkę w dużym pokoju i wyjmuję pościel z pojemnika pod oknem. Robię to samo u siebie, tyle tylko, że moja kołdra jest schowana w tapczanie. Myję zęby i wskazuję do łóżka.

— Śpij już — tata zagląda do mojego pokoju. — Już późno.

— Jeszcze chwilkę — proszę. — Doczytam tylko do końca rozdziału.

Tata już mi nie czyta na dobranoc. Teraz czytam sam.

Przez ostatnie kilka wieczorów książkę Brozskiewiczza — *Ci z dziesiątego tysiąca*. Jest całkiem fajna, chociaż może nie najfajniejsza. Najbardziej lubię takie, od których nie można się oderwać. Kiedy je czytam, zapominam, gdzie jestem, nie widzę liter i wydrukowanych słów — znajduję się w książce. Nie mogę się doczekać, co będzie dalej, a zarazem szkoda mi, że książka się skończy. Takie książki często czytam drugi raz — zaraz po tym, gdy je kończę po raz pierwszy. Ale od tej można się oderwać. Poza tym mam przed oczami sceny z filmu — moment, kiedy Ripley wystartowała w kapsule ratunkowej, a obcy niespodziewanie wystawił szpony spomiędzy rur. A już się wydawało, że ma go z głowy.

Po chwili gaszę światło i zakrywam się kołdrą po czubek nosa. Pod kołdrą jestem bezpieczny. Za oknem nadal sypie śnieg – widzę białe spadające płatki, oświetlone uliczną latarnią na tle czarnego nieba. Wyglądają jak przesuwane się gwiazdy. Jakbym leciał gwiazdowym statkiem z ogromną prędkością – za szybko przesuwa się kosmos. Zasypiam.

Budzę się nagle. Śniło mi się coś strasznego, nie pamiętam dokładnie co. Jestem przerażony. Próbuję zwinąć się w kłębek, zawijam się w kołdrę, chowam pod nią głowę. Robi mi się gorąco.

– Tata! Tata! – krzyczę. – Boję się!

Cisza. Taty nie ma. Porwali go obcy, gdy zasnął, uprowadzili przez okno, przez balkon. Albo umarł we śnie. Na zawał, jak babcia, jego mama, o której mi opowiadał. Serce nie wytrzymało. Albo wyszedł z niego obcy, rozerwał klatkę piersiową, a teraz czołga się w ciemnościach, zbliża do mojego łóżka, ślina kapie z jego zębów, błyszczących jak srebrne noże.

– Ta-ta! Ta-taaaa! – krzyczę z całej siły. – Boję się!

Mógłbym do niego pobiec, ale to zbyt niebezpieczne. Nie potrafię zdobyć się na to, żeby wystawić nogę spod kołdry, wejść w czerni przedpokoju. Zaczynam płakać.

– Co? – woła tata z drugiego pokoju.

– Bo-oję się!!! – krzyczę. – Mogę z tobą spać?

– Dobra! Chodź! – odkrzykuje tata.

Raz, dwa, trzy... Na trzy odrzucam kołdrę, wyskakuję z łóżka i biegnę przez korytarz do dużego pokoju. Tu jest jasniej. Lampa na podwórku świeci tuż poniżej parapetu okna, światło układa się na suficie w bladżółty trapez. Tata leży w łóżku oparty na łokciu i patrzy na mnie. Włosy mu się odgniotły, na czubku głowy sterczy kogut. Ma przymknięte oczy.

– Tata jest goły – mówi nieprzytomnym głosem. – Daj mi majtki.

– Gdzie są? – pytam. Chcę już tam wejść do niego, schować się. Ale już się tak nie boję. Kiedy mnie widzi, jestem bezpieczny.

– Na fotelu.

Podbiegam do fotela, na którym leży ubranie taty.

– Nie ma – mówię, podnosząc spodnie, przekładając skarpetki.

– Oj, są – tata opada twarzą na poduszkę i mówi dalekim zduszonym głosem: – Gdzieś tam są. Daj. Nie będziesz ze mną spał, jak mam gołą pupę.

Zaglądam do środka spodni, wkładam rękę w nogawkę. Sprawdzam pod czerwonym golfem, który tata nosi w domu, i przekładam na bok jego podkoszulkę.

– Tata, nie ma – mówię z rozpaczą.

Cisza. Ojciec nie odpowiada. Wsuwam jeszcze rękę w zagłębienie między oparciem fotela i siedziskiem, ale nie znajduję niczego poza jakimiś okruciami. Podchodzę do wersalki i słyszę, że ojciec oddycha regularnie. Śpi. Podejmuje decyzję i po cichu wchodzę do łóżka – od strony nóg taty, przy ścianie. Kładę się cichutko, podnoszę kołdrę i wsuwam się pod nią. Przytulam do ojca. Po kołdrą jest ciepło i miękko, a tata jest gorący jak piec. Jego łóżko pachnie inaczej niż moje – trochę jak brudne pranie w koszu, trochę jak jego ubrania w szafie. Pachnie wodą kolońską i płynem po goleniu. Dotykam swoimi lodowatymi stopami jego łydek, zsuwam się niżej i wkładam je między jego stopy. Jestem stuprocentowo, bezwarunkowo bezpieczny. Jak Ripley w hibernatorze na samym końcu filmu. Nic mi nie grozi. A jutro sobota, można dłużej spać. Odpływam po kilkunastu sekundach.

Kiedy budzę się znowu, przez chwilę nie wiem, co się dzieje. W pokoju jest trochę jaśniej, pewnie już po ósmej. Leżę na plecach, a tata jest przytulony do mnie. Śpi na boku, przodem do mnie. Obejmuje moje ramiona swoim ramieniem, jego druga ręka jest za moją głową. Na moich udach leży jego noga, przyciska mnie. Czuję jego oddech na uchu. Coś uciska mnie w biodro, nie wiem, co to jest. Coś sztywnego. Wciskam rękę między mój bok i jego brzuch, sięgam niżej. Trafiam na obły, wilgotny i twardy, a zarazem miękki kształt. Tata mruczy coś przez sen. Żołądek mi się kurczy, czuję drgnięcie w podbrzuszu. Nie wiem co to, nie znam jeszcze tego uczucia, nie wiem jeszcze, co ono oznacza. Na dobre odkryję je dopiero za rok, nauczę się nim sterować. Teraz go nie rozumiem. Tata porusza biodrem, napiera na mnie tym twardym, obcym kształtem.

— Tata — mówię z lekkim przestachem. — Tata, brzuch mnie boli.

Bo myślę, że to właśnie to. Że boli mnie brzuch i muszę iść do łazienki. Ojciec się budzi. Przestaje oddychać, nieruchomieje. I nagle szarpie się gwałtownie, odrzuca kołdrę i wyskakuje z łóżka. Staje całkiem goły krok od łóżka, zasłaniając swojego fiutka obiema rękami. Na lewym policzku ma odgnieciony ślad po fałdach poduszki. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i ma taki wyraz twarzy, taki straszny wyraz twarzy...

— Spałem. Ja spałem... — odzywa się ochryple z paniką w głosie.

Nie wiem, co zrobiłem źle, w dole brzucha wciąż czuję te delikatne skurcze. Zaczynam płakać.

— Tata... — mówię.

Ojciec patrzy na mnie, oddychając szybko, po czym odwraca się tyłem i odchodzi kilka kroków.

– Idź do siebie – mówi.

– Ale...

– Idź do siebie! – wykrzykuje. – I przestań się mazać! Taki duży chłopak musi już spać sam!

Wychodzę szybko z bezpiecznego, ciepłego łóżka ojca i bez słowa biegnę do swojego pokoju. Zakrywam się kołdrą aż na głowę i ryczę po cichu. Zrobiłem coś złego, nie wiem, co to było, ale tata jest na mnie zły. Bardzo zły.

Od tego dnia ojciec przestaje mnie dotykać. Przestaje mnie przytulać, nawet całować inaczej niż tylko w czubek głowy. Przez długi czas bardzo brakuje mi jego dotyku. Ale kiedy pół roku później budzę się w nocy zlany potem i przerażony czymś, co mi się przyśniło, nie wołam taty i nie biegnę do niego. Wcale nie dlatego, że boję się położyć do jego łóżka, że boję się tego, że mnie znowu obejmie przez sen i przytuli tak mocno. Nie, tego się nie boję. To nie miało znaczenia, a nawet – w pewnym sensie – było przyjemne. Nie wołam go, bo wiem, że nie pozwoli mi do siebie przyjść, że nie będzie chciał mnie pocieszyć. Wiem, że mnie skrzyczy, że będzie zły. Powie, że się mażę, że jestem na to za duży. Więc zakrywam się kołdrą po czubek głowy i chowam pod poduszką.

I przez następne niespełna dwadzieścia lat jestem pewny, że wtedy ten okropny wyraz jego twarzy – że to była wściekłość. Gniew na mnie. Za to, że dotknąłem go tam, gdzie nigdy nie powinna zawędrować moja ręka. Ale teraz w nagłym przeblysku zrozumienia dociera do mnie, że mój ojciec był wtedy po prostu krańcowo przerażony. Śmiertelnie wystraszony tym, że mnie niechcący skrzywdził, gdy w półśnie, w nieświadomości zachował się przy mnie tak, jak pragnąłby zachować się przy innym mężczyźnie. Ale nigdy przy swoim synku.



•  
Wojtek jest pierwszym człowiekiem, któremu opowiadam to wszystko. Wtulony w jego ramiona, mówię o sprawach, o których sam nie myślałem od wielu lat. Które wydawały mi się zamknięte, nieistotne i nieistniejące. Opowiadam o tamtej zimowej nocy i o Mariuszu. Opowiadam o moim tacie. Zupełnie obcemu człowiekowi, którego — tak, być może — kocham. Ale — myślę — kochać kogoś to nie to samo, co go znać. Wojtek kołysze mnie w ramionach, przyciska do piersi, opiera brodę na moim czole.

— Oj, Mały — mówi cicho. — Lepiej by było, żebyś pogadał o tym z moją żoną... z Elką. Ona jest dobra w takie klocki.

— Z nikim nigdy o tym nie rozmawiałem. Nawet sam ze sobą — wzruszam ramionami.

— Myślę, że na pewno powinienes spotkać się z ojcem.

— Nie będzie chciał.

— To nieważne. Ty powinienes tego chcieć. Powinienes to zrobić, żeby spróbować go uwolnić.

— Uwolnić?

— Tak, tak myślę. Myślę, że przez te wszystkie lata karał się za tamtą noc. I jest suprocentowo pewien, że twoje gesty to jego wina.

— Przecież wiadomo, że z tym się człowiek po prostu rodzi. Mój ojciec na pewno to wie, nie jest idiotą. On...

— To nie ma znaczenia, ile on wie. Znaczenie ma to, co czuje. A czuje się winny. Bo dodatkowo — z tego co o nim mówisz i z tej książki — jasno wynika, że on sam swojego homoseksualizmu nigdy nie zaakceptował.

— Pewnie tak — zamykam oczy i wtulam twarz w zagięciu między jego obojczykiem a szyją. — Strasznie już późno. Kładziemy się?

— Chcesz, żebym został? Może lepiej będzie...

– Chcę – odpowiadam.

Jestem tego pewny jak niczego innego na świecie.

## XVI

– Kiedy cię wypiszą? – pytam, przyciskając słuchawkę do ucha.

– Za jakiś tydzień – odpowiada Małgosia. – Na razie nie mogę się nawet ruszać z łóżka. Bez przerwy coś we mnie wpychają – jedną kroplówkę za drugą. Ale lekarka powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

– A jakieś normalne jedzenie też dostajesz?

– Oj, mam, mam – śmieje się. – Dostaję. Na razie tylko trochę, ale całkiem dobre.

– Akurat – mówię ponuro. – Na szpitalnym jedzeniu to się człowiek tylko może pochorować. Jak już wstanę na nogi, to cię odkarmię. Szkoda, że nie mogę cię odwiedzić.

– Szkoda. Ale Jarek mnie odwiedza. Wiesz, ten chłopak ode mnie z pracy... Mówiłam ci o nim.

Milczę i zastanawiam się, co powiedzieć. Chłopak.

– Halo? Jesteś tam?

– Jestem.

– To dobry człowiek. Lubię go, a jemu bardzo na mnie zależy. Wiem to

Dobry chłopak. Zależy mu. Skoro mu tak bardzo zależy, dlaczego jej nie powstrzymał? Dlaczego patrzył tylko, jak się głodzi prawie na śmierć, i nic nie zrobił? Pewnie ją jeszcze zachęcał. Pewnie robiła to dla niego. Milczę.

– Mam – wzdycha Małgosia. – Ja już mam trzydzieści lat. Naprawdę jestem dorosła. Chcę kogoś mieć.

– Nie o to chodzi – mówię szybko. – Chcę, żebyś kogoś miała, żebyś nie była sama. Tylko jak on mógł tylko się przyglądać, kiedy ty...

— Próbował — odpowiada spokojnie moja córka. — Wierz mi, że próbował. Rozmawiał ze mną, nawet groził zerwaniem. Ale nic do mnie nie docierało. Nic nie było ważne. Teraz będzie inaczej. Obiecuję. Chciałabym, żebyś go poznała.

— Dobrze — mówię po chwili. — Poznam.

Odkładam słuchawkę na widelki i włączam telewizor, ale gaszę go po chwili. Leżę, patrząc w sufit. I kto by pomyślał, że to przez tego małego... przez Pawła stanie się coś dobrego. Sięgam po krzyżówkę, ale i ją odkładam po chwili. Wszystko dociera do mnie z opóźnieniem, niby to było dwa dni temu, a dopiero teraz... Nagle po policzkach zaczynają toczyć mi się łzy. Czuję taką ulgę, taką obezwładniającą ulgę. Poprawiam poduszki i gaszę światło. Kiedy zamykam oczy, uświadamiam sobie, że coś jeszcze zostało mi do załatwienia. Krzysztof. Układam głowę wygodniej na poduszce, gdy nagle w ścianę za mną coś uderza. Raz, drugi, trzeci... „Ooooch” — dobiega mnie cichy, zduszony głos. No i się zaczyna! Przekręcam głowę gwałtownie i otwieram szeroko oczy. Cholera jasna! Przecież to kurwicy można... I wtedy zaczynam się śmiać tak mocno, że aż mi w gardle rzeźi. Śmieję się na całe gardło, aż wersalka się trzęsie. W życiu się tak nie śmiałam, jeszcze mi się coś porobi — myślę i to mnie rozśmiesza jeszcze bardziej. Nagle w przedpokoju zapala się światło i w progu staje Paweł. Ma na sobie tylko gacie, w dodatku widzę, że całkiem porządnie wybrzuszony z przodu, i ten widok rozśmiesza mnie już tak bardzo, że prawie kaszlu dostaję ze śmiechu.

— Rany boskie! Miałem rację! — wykrzykuje Paweł. Odwraca się w stronę wejścia i krzyczy: — Wojtek! Ona ma jakiś atak! Chodź, zrób coś!

I zaraz na progu pokoju staje drugi facet, całkiem goły, tylko biodra ma okręcone jakąś szmatą. Obaj zagląдают przez

moment do mojego pokoju przez drzwi jak dwa psy do jatki. Dwóch prawie zupełnie gołych, obcych facetów w moim własnym mieszkaniu w środku nocy, a ja w łóżku. No to, to mnie już całkiem do góry podrywa. Zawodzę na cały głos jak hiena i za nic nie mogę przestać się śmiać. Zwariowałam — przez głowę przebiega mi całkiem trzeźwa myśl. — Z kretešem!

Ten drugi obcy facet podchodzi do mnie i coś mówi, macham do niego ręką, żeby sobie poszedł, żeby obaj sobie poszli w diabły, ale nie mogę nic powiedzieć z sensem, bo mnie tak ten rechot roznosi. A on podchodzi bliżej, Paweł chowa się za nim i tylko znad ramienia wygląda oczami jak dwa talerze. Tamten się pochyła nade mną i mu ta szmata — teraz widzę, że to normalna męska koszula — prawie z tyłka zjeżdża. Ledwo ją łapie w ostatniej chwili na podolku i obraca się na pięcie, lekko schylony, żebym ja przypadkiem nic nie zobaczyła. A ja to dopiero wtedy mam co oglądać, bo mu ta cała koszula w rękach z przodu została i mi przed samym nosem gołą dupą świeci. Brzuch to mi się prawie w precel skręca z tego śmiechu, rany boskie, jak żyję czegoś takiego nie miałam. Usmarłam się po pas, łzy mi ciurkiem lecą i aż ręką zaczynam w wersalkę tłuc. Obcy facet, cały czas schylony, z tym tyłkiem wypiętym, obiega Pawła i się za nim chowa, a Paweł mówi:

— Niech się pani nie przejmuje. To lekarz.

„To jest lekarz” — mi mówi. A wtedy ja to już prawie z łóżka spadam, bo to najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Żebym ja się nie przejmowała, że mi jakiś nieznajomy facet swoją wypiętą gołą dupę przed oczy podstawia, bo to jest lekarz. To przecież jakby on moją gołą dupę przypadkiem zobaczył, to ja bym się mogła nie przejąć, skoro lekarz. Ale że ja jego obejrzałam... Boże jedyny, rozerwie mnie chyba!

Biodro to już mnie całkiem na serio zaczyna boleć, bo się tak po tym łóżku turlam w tę i z powrotem. No i wreszcie po bardzo długiej chwili zaczynam do siebie dochodzić, chociaż mnie jeszcze co chwilę śmiech napada.

— Idźcież wy mi stąd! — udaje mi się w końcu wyrzucić.  
— Won! Won!

— Ale pani... — zaczyna Paweł.

— Won! — krzyczę. — Poszli won!

Wychodzą szybko, ten obcy przodem biegnie. A ja w końcu oddech normalny biorę i chichocząc jeszcze co chwilę, zaczynam poprawiać rozrzucone poduszki.

Rano Paweł zagląda po dziesiątej. Przynosi mi jajecznicę i świeże bułki. Rozkłada czystą ściereczkę na mojej kołdrze i stawia talerz.

— Ale nas pani wczoraj przestraszyła — mówi, kiedy zaczynam jeść.

Siada na fotelu, jedynym, co mi został, bo tamten drugi wyniósł w poniedziałek do tapicera.

— Weszło mi się zrobiło, i tyle — wruszam ramionami, gryzę kajzerkę i dodaję z pełnymi ustami: — Co? No, w końcu pretensje miałaś, że się nie uśmiecham.

— No i fajnie. Tyle że może byłoby lepiej, żeby nie odfajkowała pani całego dobrego humoru za jednym zamachem, ale jakoś go sobie rozłożyła na pewien czas — powiedzmy na dwadzieścia lat.

— Człowiek nie zna dnia ani godziny — odpowiadam krótko. — Kto to?

— Kto kto?

— Nie gadaj ze mną... — przelykam kęs i ciągnę dalej: — jak z głupią. Dobrą jajecznicę robisz, zawsze lubiłam taką nieściętą. No więc?

— Facet.

– Przecież widziałam, że nie żyrafa. Przyjdzie jeszcze czy znowu taki na raz?

– Przyjdzie. Mam nadzieję.

– No i dobrze. Dobrze mu z oczu patrzy.

Paweł przygląda mi się z rozdziawioną gębą, jakby mi się na czole trzecie oko otworzyło.

– Wiesz – mówię – na ludzi to ty tak lepiej nie patrz. Bo niespecjalnie inteligentnie wyglądasz z taką miną. Wypisz, wymaluj jak ta małpa, co ją Pippi Langstrump na ramieniu nosiła, jak się te małpy nazywają?

– Kapucynki – odpowiada wolno.

– A, no właśnie. Kłapucynka. Małgosia to zakochana była w tej małpie. Pan jakiś tam, nie pamiętam. Koniecznie chciała taką małpę mieć. Każdy odcinek *Pippi* w niedzielę musiała zobaczyć, kiedy była mała.

– Ja też. Pani to jest jednak niesamowita. Jak... jak ze *Strefy mroku*.

– Otworzyłbyś okno, duchota taka.

Paweł podnosi się powoli i idzie w stronę balkonu, oglądając się na mnie przez ramię.

– No, to kto to jest? – pytam, zgarniając kawałkiem bułki resztki jajecznicy z talerza.

– Lekarz. Przecież mówiłem.

– A mówiłeś! – pry cham śmiechem i dodaję bezmyślnie: – Nie o to mi chodzi. Ale doktor mówisz... No, to ci się przyda, nie?

Chłopak nieruchomieje przy balkonie.

– Przepraszam – mówię po chwili. – Ja zawsze coś chlapnę tym moim ozorem. Nie chciałam. Prędzej powiem, niż pomyślę.

– Nie szkodzi – odpowiada. – Chyba zaczynam się powoli przyzwyczajać. Moja ciotka jest zresztą taka sama. Kiedy

ją ostatni raz widziałem, to zanim powiedziała dzień dobry, oświadczyła, że mi się zakola powiększyły.

— No i co to takiego? — oświadczam dobrotliwie. — Chłop jak nie łysy, to żaden chłop.

— Nie jestem łysy! W ogóle prawie nie łysięję.

— No, może i nie — mówię ugodowo. — Ale dobrze, że rodzinę masz. A rodzice?

— Tylko ojciec — wzrusza ramionami. — Każdy ma jakąś rodzinę.

— No, niby — wycieram kawałkiem bułki talerzyk. — Zadzwoń do ojca, bo się pewnie zamartwia o ciebie. Kiedy ty z nim rozmawiałeś ostatnio?

Patrzy na mnie znowu, jakby mi indiański pióropusz wyrósł na głowie, i nic nie mówi. Dziwny chłopak.

## XVII

— Lato się kończy — stwierdza Wojtek, podciągając zamk bluzy pod szyję i spoglądając w zachmurzone niebo.

— Tak? — pytam przekornie. — Nie zauważyłem.

— Eh, ty — uśmiecha się szeroko i mierzwi mi włosy.

Na chodniku przy bramie stoi jakiś staruszek. Wyciąga szyję, kiedy słyszy nasze kroki. Wyjmuję pięć złotych z kieszeni i wciskam mu w rękę.

— Ja nie... — zaczyna mówić, ale mijamy go szybko i idziemy w stronę mojej klatki schodowej.

— Zastanawiam się — mówię powoli — czy...

— Nie — odpowiada spokojnie Wojtek. — To nie jest dobry pomysł. Mówię to jako weterynarz.

— Nie wiesz, co chciałem powiedzieć!

— Oczywiście, że wiem. I mówię ci, że to nie jest dobry pomysł. Tam mu jest lepiej, ma stałą opiekę. Poza tym to już jest naprawdę stary zwierzak. W dodatku ślepy. Taka

przeprowadzka byłaby dla niego większym stresem niż radością. Pewne rzeczy lepiej zostawić tak, jak są, nawet jeśli nie wydają się idealne. A ty i tak wracasz do pracy za kilka dni. Całymi dniami będziesz poza domem.

Wyjmuję klucze i otwieram drzwi wejściowe. Rzucam na niego okiem z ukosa. Skąd ten facet wie, co chciałem powiedzieć? Mam wrażenie, że czyta mi w myślach. Albo może to ja jestem — o zgrozo — tak totalnie przewidywalny. Kiedy docieramy na górę, w dole rozlega się odgłos szybkich kroków.

— Cześć — mówi na nasz widok zdyszana Małgośka.

Nadal jest straszliwie chuda, ale jej twarz nie wygląda już jak dziób ptaka. Leciutko się wypełniła i nabrała kolorów.

— Hej! Wypisali cię już? — pytam. — To świetnie!

Małgośka taksuje Wojtka spojrzeniem od stóp do głów przez chwilę.

— To ty jesteś tym lekarzem Pawła. Mama mi mówiła.

— Tak, to Wojtek. Mój... — odchrząkuję, ale Wojtek wpada mi w słowo.

— Facet — mówi z lekkim uśmiechem. — Jestem przyjacielem Pawła. Nie powinnaś jeszcze biegać, nie możesz złapać tchu.

— Wiem, ale przy bramie stał jakiś dziadek śmietnikowy. Dałam mu dwa złote, ale on złapał za rękaw mojej kurtki i coś zaczął do mnie mówić. Wystraszyłam się, właściwie nie wiem dlaczego. I uciekłam — wrusza ramionami dziewczyna. — A jak mama?

— Sama zobacz — wruszam ramionami. — Nie najgorzej, szczerze mówiąc, to jej nie poznaję. Nie może się doczekać tej endoprotezy, ale pewnie wiesz.

— Wiem. Wejdziecie ze mną?

— Może lepiej by było...

— Chodźcie. Mama się ucieszy.



## XVIII

Pojutrze, to już pojutrze — myślę. Mam serdecznie dosyć tego łóżka. Wyleżałam się za wszystkie czasy. I kto by pomyślał, że będę się tak cieszyła na operację? Wyłączam telewizor i odkładam pilota na szafkę przy wersalce. Kiedy sięgam po szklankę z herbatą, w przedpokoju rozlega się odgłos otwieranego zamka. No, nareszcie! Poprawiam szybko kołdrę i prostuję się lekko.

— Jesteśmy! — woła Paweł od drzwi.

— Jestem! — wtóruje mu Małgosia. — Mama?

— Jestem — odpowiadam.

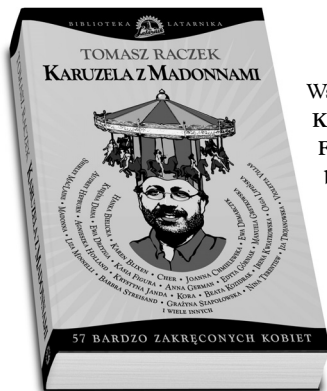
K  
KONIEC

## s p i s t r e ś c i

Przedmowa .....	7
Rozdział 1 – Koniec kwietnia .....	15
Rozdział 2 – Maj .....	35
Rozdział 3 – Jesień 1993 .....	98
Rozdział 4 – Koniec maja .....	120
Rozdział 5 – Lato 1975 .....	142
Rozdział 6 – Czerwiec .....	166
Rozdział 7 – Koniec czerwca .....	191
Rozdział 8 – Lipiec, sierpień .....	207



## BESTSELLERY LATARNIKA



### Tomasz Raczek KARUZELA Z MADONNAMI

WŚRÓD BOHATEREK: Hanka Bielicka, Ewa Demarczyk, Księżna Diana, Ewa Drzyzga, Urszula Dudziak, Kasia Figura, Anna German, Edyta Górniak, Audrey Hepburn, Krystyna Janda, Irena Kwiatkowska, Madonna, Krystyna Sienkiewicz, Joanna Szczepkowska, Grażyna Szapołowska, Violetta Villas i wiele innych

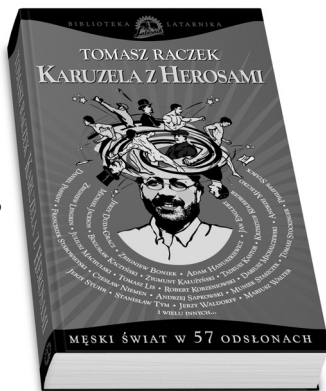
*Czytając „Karuzelę” nie jesteśmy zalewani potokiem plotek i banałów, ale istotnie wbijamy się pod powierzchnię psychiki artystek. Poznajemy je.*  
Wojciech Łada

### Tomasz Raczek KARUZELA Z HEROSAMI

WŚRÓD BOHATERÓW: Jerzy Andrzejewski, Jerzy Bralczyk, Jerzy Duda-Grac, Adam Hanuszkiewicz, Bogusław Kaczyński, Zygmunt Kałużyński, Tadeusz Kantor, Krzysztof Kolberger, Tomasz Lis, Andrzej Mleczko, Czesław Niemen, Jerzy Stuhr, Stanisław Tym, Jerzy Waldorff i wielu innych

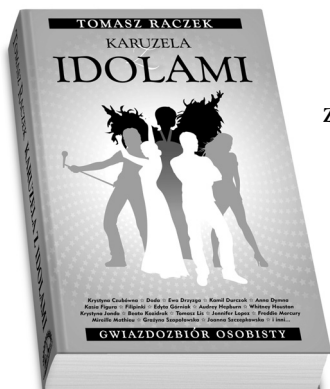
*Nie tylko przykład sztuki konwersacji doprowadzonej do wyżyn, lecz przede wszystkim sztuki zrozumienia drugiego człowieka. Trudnej, ale jakże pięknej.*

Marta Miziuro



### Tomasz Raczek KARUZELA Z IDOLAMI

Zbiór osobistych szkiców Tomasza Raczka na temat idoli, którzy ukształtowali jego wyobraźnię i wrażliwość. Znajdziecie tu przede wszystkim wielkie i głośne postacie XX wieku, ale nie tylko. Raczek sprytnie i z wdziękiem przemycił do swego gwiazdzbioru także kilkoro bohaterów zarówno z bardziej oddalonej przeszłości jak i z dnia dzisiejszego, doprowadzając poczet idoli aż do aktualnej bohaterki zażartych dyskusji, Dody.



Zygmunt Kałużyński  
**PAMIĘTNIK ORCHIDEI**  
Pożegnania

ZAPISKI OCALONEGO  
Z XX WIEKU

Specjalne wydanie głośnej  
i nagradzanej autobiografii  
Pana Zygmunta rozszerzone  
o fragmenty jego ostatniej,  
nieukończonej książki.



Zygmunt Kałużyński

**DO CZYTANIA  
POD PRYSZNICEM**

Intelektualista i buntownik przez lata  
wrzucał do szuflady teksty, wykraczające  
poza profil szanowanego krytyka filmowego.  
Wydobyliśmy je stamtąd...

**BESTSELLER:**

20.000 SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY

Zygmunt Kałużyński  
**KANON  
KRÓLEWSKI**  
JEGO 50 ULUBIONYCH FILMÓW

Wybór najlepszych recenzji  
filmowych drukowanych  
na przestrzeni niemal półwiecza  
na łamach tygodnika Polityka





## BESTSELLERY LATARNIKA

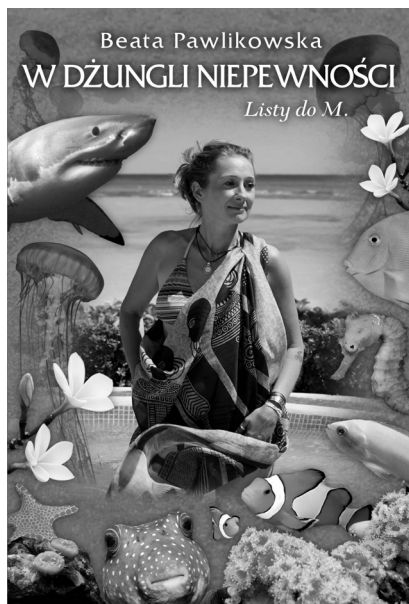
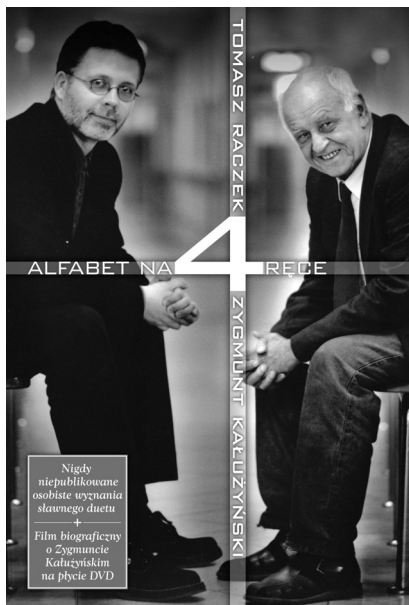
**Tomasz Raczek  
i Zygmunt Kałużyński**

# ALFABET NA CZTERY RĘCE

We wrześniu 2009 roku minęło pięć lat od śmierci Kałużyńskiego. Dopiero teraz poczułem się gotowy, by spisać nasze ostatnie rozmowy, nagrywane podczas choroby Zygmunta, gdy nastąpił czas w naturalny sposób skłaniający do prywatnej refleksji i podsumowania.

W tych dialogach wyszliśmy poza krąg tematyki filmowej i mówiliśmy o tym, co w naszym życiu najistotniejsze, tworząc swoisty alfabet najważniejszych dla nas słów, doświadczeń, zakłęb.

*(Tomasz Raczek)*



## Beata Pawlikowska W DŻUNGLI NIEPEWNOŚCI

Kontynuacja bestsellerowej serii poradników Beaty Pawlikowskiej, w której do tej pory ukazały się tomy *W dżungli życia* i *W dżungli miłości*. Tom trzeci cyklu jest zapisem wymiany maili prowadzonej przez Autorkę i Monikę, jedną z jej czytelniczek. Jest to prawdziwa historia o tym, że warto szukać swojego szczęścia, i o tym, że nie znajduje się ono ani w innych ludziach, ani w odchudzaniu, ani w pokonaniu żadnej przeszkody, którą człowiek przed sobą podświadomie stawia. To prawdziwa opowieść o pozbywaniu się wewnętrznych barier i odkrywaniu swojego prawdziwego „ja”.

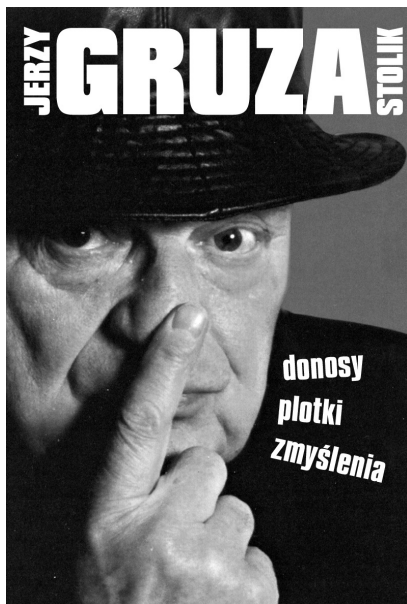
## Jerzy Gruza STOLIK

**Donosy na siebie,  
plotki o innych,  
zmyślenia własne.**

Uwielbiam książki bez akcji, bez początku, końca i chronologicznej kolejności. Lubię otworzyć książkę w dowolnym miejscu i czytać gdziekolwiek. W pociągu, w parku, przed snem. Rzucić ją w ką, znaleźć po roku i znów czytać.

Może się wydawać, że trudniej tak się czyta, ale na pewno łatwiej... pisze.

*Jerzy Gruza*



## Beata Pawlikowska W DŻUNGLI SMOTNOŚCI

Dlaczego człowiek staje się masochistycznym robotem, który sam sobie utrudnia i uprzykrza życie do tego stopnia, że czasami nie jest w stanie dłużej tego znieść? Dlaczego w ten sposób sam siebie doprowadza na skraj samobójstwa, załamania nerwowego, depresji, anoreksji, bulimii i innych nieszczęść? Dlaczego?...

Najważniejsze pytanie to dlaczego człowiek gubi swoją prawdziwą tożsamość i oddala się od swojego prawdziwego „ja” zamiast się do niego przybliżać. Wydaje mi się, że wiem dlaczego tak się dzieje i wiem co można zrobić, żeby ją odzyskać. Dlatego właśnie postanowiłam napisać tę książkę...

*Beata Pawlikowska*



BESTSELLERY

## Marcin Szczygielski Les Farfocles

Nowe jednotomowe  
wydanie dwóch powieści:

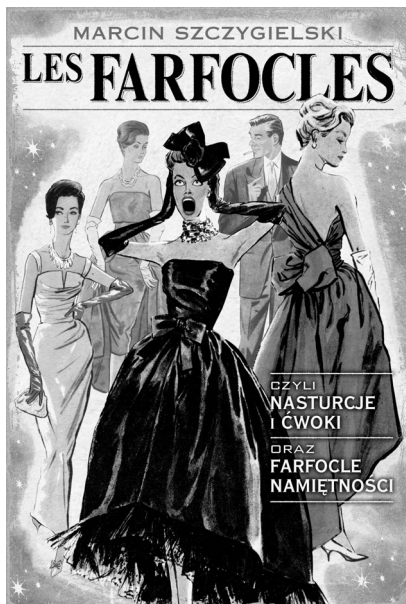
### NASTURCJI I ĆWOKÓW

– błyskotliwie opowiedzianej historii  
sercowo-kryminalnych perypetii  
stylistki jednego z najpopularniejszych  
magazynów dla kobiet.

oraz

### FARFOCLI NAMIĘTNOŚCI

– pełnej humoru, a zarazem wzruszającej  
kontynuacji „Nasturcji i ćwoków”, będącej  
współczesną opowieścią o miłości, zdradzie  
w epoce internetu i dorastaniu, na które  
nigdy nie jest za późno.



## Marcin Szczygielski PL-BOY<sup>2</sup>

Nowe jednotomowe  
wydanie dwóch powieści:

### PL-BOY

Sensacyjno-satyryczna opowieść o polskich  
mediach widzianych z perspektywy  
dwudziestoparolatka zatrudnionego  
w luksusowym miesięczniku dla mężczyzn.

oraz

### Wiosna PL-BOYA

– kontynuacja przygód bohaterów „PL-BOYA”,  
tworzących świat ekskluzywnych produktów  
zgodnie z zachodnimi zasadami i polskimi  
nawykami. I znowu jest śmiesznie i strasznie  
zarazem...

„Moja najbardziej pikantna lektura od lat!”  
Zygmunt Kałużyński, 2003 r.

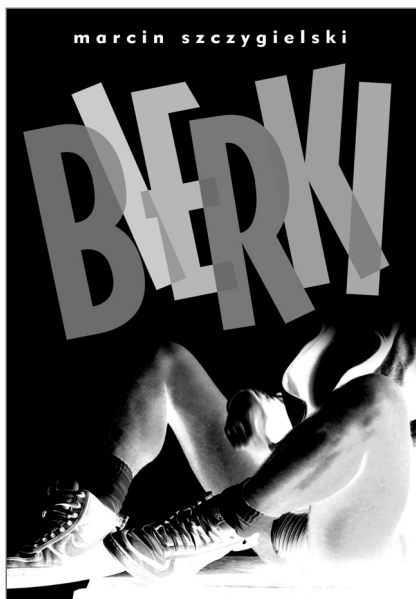
Marcin Szczygielski

# OMEGA

z ilustracjami

**Bartka Arobala**

Fantastyczno-przygodowa powieść dla wszystkich młodych duchem. Omega w dniu swoich 12. urodzin otrzymuje mail z linkiem do niezwykłej gry komputerowej. Uruchamia ją i zmienia rzeczywistość. Dobrze znane miejsca w Warszawie stają się polem walki, w której Omega mierzy się z niebezpieczeństwami, by pokonać wrogów i przywrócić świat do poprzedniego stanu.



Marcin Szczygielski

# BIERKI

Kroniki nierówności vol.2

Paweł jest uczniem, Anna jego nauczycielką. Stoją po dwóch stronach barykady i nie pałają do siebie sympatią. Coś jednak zaczyna ich łączyć – oboje zakochują się w tym samym mężczyźnie i oboje nawiązują z nim seksualną relację. Łańcuch wydarzeń, który połączy ich losy, spowoduje, że będą musieli opuścić swoje światy...

*Bierki*, druga po *Berku* część *Kronik nierówności* Marcina Szczygielskiego to powieść napisana w brawurowy i lekki sposób, choć mówi o sprawach, które na pewno nie są blahe. Przełamuje kolejne tabu, udowadniając, że podziały na światy homo i hetero są tylko umowne, bo w gruncie rzeczy wszyscy marzymy o tym samym i tego samego pragniemy.



